

Włodzimierz Dajcz

Balans na deptaku

Cykl Felietonów

Kwiecień 2012 rok

Wstęp

Z braku zgody na to, co się dzieje w Polsce wykiełkowała we mnie potrzeba upublicznienia wniosków z moich obserwacji życia politycznego. Zaowocowała cyklem felietonów zamieszczanych w internetowych serwisach dziennikarstwa obywatelskiego. Okazało się, że to, co pisałem, moje opinie na temat bieżących wydarzeń na politycznej i gospodarczej scenie nie były obojętne tysiącom czytelników, którzy nie tylko poświęcali swój czas na zapoznanie się z moim zdaniem na temat problemów nurtujących polskie społeczeństwo, a nawet żywo je komentowali. Były wśród tych spontanicznych uwag internautów wpisy podzielające mój pogląd, ale były też takie, które nie zgadzały się z tym, co pisałem. Nie jestem zwolennikiem żadnej z działających w Polsce partii politycznych, a jedynym kryterium, jakie stosowałem w publicystyce był zdrowy rozsądek, oczywiście w moim subiektywnym rozumieniu. Kiedy po dwóch latach przeczytałem na nowo moje artykuły doszedłem do wniosku, że nic nie straciły na aktualności, więc pomyślałem, że warto jeszcze raz udostępnić je Czytelnikom, tym razem w formie książkowej?

Włodzimierz Dajcz

Katastrofa

A.D.08.06.2010

Z wojennych ruin przyszło dźwigać kraj,
Choć ciężko było nikt nie narzekał.
Partia na ziemi obiecała Raj
W socjalizmie co szczęściem człowieka

Władza wprost piała z samo zachwyty,
Lecz do ideału wciąż daleko było,
Represji więcej zamiast dobrobytu,
A szczęście też nie nadchodziło

Gorzej się żyło z upływem lat,
Więc mocno burzył się lud roboczy.
Aż się rozsypał pojałtański ład.
Elektryk w stoczni płot przeskoczył.

Styropianowy etos u zarania zgasł,
Ale wspomnienia do dziś są żywe.
Jak sprytni do salonów wdarli się na czas,
Gubiąc naiwnych pod budkami z piwem.

Naród bezradny stał się wobec chwyków,
Którymi chciwość pchała do celu
Funkcjonariuszy, nowych celebrytów
Zawłaszczających dobra PRL-u.

Rozdwoiła się wkrótce ta nowa elita
Co po komunie zajęła kwatery.
Jedna grupa sutanny się księżej chwyta,
Druga w przedsiönku służy finansjery.

W mediach, co marnym gustom sprzyjają,
Walczą na pjary do upadłego.
Gromadę błaznów i klakierów mając
Dla pomieszania dobrego i złego.

O solidarności ludzkiej w krąg krzyczeli,
A wykazali każdy to przyzna.
Heroizm w walce o krzesło w Brukseli,
Pod sztandarami: Bóg, Honor, Ojczyzna.

Taka w szaleństwie jest tym metoda,
Że się przed niczym formacja nie cofa.
Więc, czy to ciągle kompromitacja?
Nie, to totalna już katastrofa.

Chłopcy malowani

A.D.30.06.2010

Nie łatwo zdobyć władzę, a utrzymać jeszcze trudniej. Utrzymaniu władzy totalitarnej służy miecz, demokratycznej karta wyborcza. W społeczeństwie demokratycznym zawodowi politycy nagminnie posługują się manipulacją, w celu wzbudzenia sympatii i pozyskania poparcia wyborców, zapewniającego im możliwość utrzymania się w krajowej elicie. Jednym ze skuteczniejszych na to sposobów jest umiejętne wykorzystywanie, powszechnego w społeczeństwie współczucia dla żołnierzy, składających daninę krwi i osieroconych żołnierskich rodzin. Każda śmierć jest niewypowiedzianą tragedią, ale też filarem Boskiej sprawiedliwości, bo bez żadnych wyjątków dotyczy każdego z nas. Wzmaga się więc wołanie, co jakiś czas o wycofanie naszego wojska, z niebezpiecznego teatru wojny do koszar w zaciszu. Tylko, kto tego zacisza miałby bronić, skoro armia po pewnym czasie zamieni się w gromadę funkcjonariuszy państwowych, wynagradzanych z budżetu.

Nie trzeba być wielkim strategiem, żeby wiedzieć jak bardzo żołnierz odizolowany w koszarach gnuśnieje, mimo udziału w ćwiczeniach na poligonie. Siłą rzeczy wartość bojowa armii trzymanej w zaciszu, ma się nijak do sprawności formacji wojskowych zahartowanych i ostrzelanych w autentycznej batalii na śmierć i życie. Inną ważną zasadą gier wojennych jest powstrzymanie wroga z dala od granic Ojczyzny. Brakiem rozwagi jest podejmowanie walki dopiero wtedy, kiedy nieprzyjaciel zapuka do drzwi. Takie nieszczęście zdarzyło się

nam niestety wielokrotnie. Naturalnym i słusznym działaniem jest, więc udział naszych żołnierzy w wojnie afgańskiej, gdzie obecnie toczy się bodaj najważniejsza konfrontacja Wolnego Świata z islamskim terroryzmem, zbrojnym ramieniem wojującego islamu. Udział w czynie zbrojnym przeciw fanatykom, dążącym do zniszczenia wielkiej, zachodniej cywilizacji jest naszym obowiązkiem, wynikającym z przynależności do krajów Zachodu i leży w naszym dobrze pojętym interesie. A to wiąże się także z gotowością do ponoszenia bolesnych ofiar. Niestety skłonność do agresji jest integralną cechą natury ludzkiej i najważniejszą z przyczyn prowadzenia wojen, od zarania dziejów po dzień dzisiejszy. Ludzkość z dawien dawna tworzy stosowne mechanizmy i powołuje instytucje, do utrzymania w ryzach ciemnej strony osobowości człowieka. Wadliwe działanie lub upadek tych systemów otwierają drogę do wzajemnego wyniszczenia się populacji. Nie inaczej było w Jugosławii, gdzie krwawy rozpad państwa nastąpił, po tym jak ono umarło w świadomości obywateli. Nie trzeba zresztą szukać daleko. Pod pretekstem udziału w meczach piłkarskich watahy wyrostków uzbrojonych w niebezpieczne narzędzia, toczą regularne bitwy ze sobą i policją, korzystając ze słabości rzekomo prawnego państwa. Aż ciśnie się na usta pytanie. Co by to było, gdyby udało się zwerbować tych wypasionych w dobrobycie zawiadków i po odpowiednim przeszkoleniu skierować przeciw talibom, mającym zwyczaj podrzynania gardeł jeńcom? Wracając do poważnych rozważań, o jakości życia politycznego w Polsce trzeba wspomnieć również kilku tysięcy zabitych, rok w rok na naszych drogach. Niestety żaden z „władców” nie załamuje rąk nad ich tragedią i nie nawołuje do wprowadzenia ograniczeń w ruchu samochodowym, bo strzeliłby sobie politycznego samobója. Wydaje się, że decyzję o ewentualnym wycofaniu naszego wojska z zagranicznych misji, powinniśmy podjąć wspólnie z sojusznikami w chwili, kiedy będzie to najbardziej korzystne dla utrzymania pokoju światowego.

Śmiech z pogrzebu

A.D.29.07.2010

Katastrofa pod Smoleńskiem niejedno ma źródło. Nie ulega jednak wątpliwości, że nie mogłaby zaistnieć bez tej zacieklej walki o władzę między głównymi nurtami rozdartego obozu solidarnościowego. Pomijając genezę tego podziału i upraszczając problem aż do bólu, można powiedzieć, że jedni starają się utrzymać kraj na ścieżce otwarcia, modernizacji i postępu a drudzy fanatycznie zaślepieni spychają Polskę na bezdroża ciemnoty, zabobonów i przesądów. Na przywódcę tego nurtu negującego fakty oczywiście wykreował się Jarosław Kaczyński, człowiek może inteligentny, ale z natury skłonny do destrukcji, autentyczny wojownik sięgający bez żenady do arsenału kłamstw, insynuacji i obietnic bez pokrycia. Propagując w swoim, słynnym przemówieniu sejmowym chore idee II RP głosił, co następuje: Nikt nie wmówi nam, że białe jest białe a czarne jest czarne. Czy to zwykłe przejęzyczenie? Być może, ale dziwnym trafem słowa te idealnie określają mentalność tego człowieka, który do głoszonych bzdur i bredni potrafi nie tylko przekonać innych, ale nawet samego siebie. Idzie za nim niestety wielka gromada zaciemnionych, odrzucających a priori naukowe dowody, klękających przed domyślnymi znakami cudownych wizerunków na niedomytych szybach i zagrzybionych ścianach domów. Katastrofa smoleńska nie ma precedensu w dziejach lotnictwa cywilnego, ze względu na rangę i znaczenie pasażerów, którzy ponieśli w niej śmierć. W takiej chwili zawsze na usta ciśnie się pytanie. Dlaczego? Niezależnie od tego, co ustalą specjaliści od badania wypadków lotniczych i prokuratorzy nie ulega wątpliwości, że jakiś cień odpowiedzialności pada na

Lecha Kaczyńskiego, jako kreatora tej wyprawy, konkurencyjnej wobec tej zorganizowanej przez premiera kilka dni wcześniej z udziałem Władimira Putina. Bracia Kaczyńscy grali kartą katyńską w walce o drugą kadencję Lecha w Pałacu Prezydenckim. Urzędujący prezydent dając się ponieść wyborczym emocjom naraził na szwank interes państwa, zabierając ze sobą wszystkich najważniejszych dowódców Wojska Polskiego i całą plejadę gwiazd z politycznego firmamentu. To nie ulega wątpliwości. Nie ważne czy przyczyną była rozbuchana ambicja czy też lekkomyślność. Jedno i drugie nie przystoi prezydentowi Rzeczypospolitej. Po masakrze smoleńskiej zrozpaczony brat prezydenta natychmiast podjął dość skuteczne działania dla wykreowania Lecha Kaczyńskiego na bohatera narodowego głosząc, iż poniósł śmierć męczeńską oraz sugerując, że katastrofa była rzekomo aktem zbrodniczym, owocem niecznej zмовы krajowych i zagranicznych wrogów bohaterskiego prezydenta, powstrzymującego imperialne zapędy agresywnego państwa rosyjskiego. Tego typu insynuacje stały się wodą na młyn dla podążających gromadnie, w ślad za prezesem PIS-u i radiomaryjnym ojcem dyrektorem rozsiewaczy sensacyjnych mitów, będących wytworem imaginacji i chorej wyobraźni. Wywołany tym sposobem efekt śniegowej kuli, przy mocnym wsparciu zgubionego po śmierci polskiego papieża Kościoła, doprowadził do powstania groźnego przesilenia politycznego w kraju. Omal nie zakończyło się ono zwycięstwem Jarosława w wyborach prezydenckich, co mogłoby wyrządzić Polsce niepowetowaną szkodę. Wbrew temu, co głosi brat i jego ludzie tragicznie zmarły Lech Kaczyński był prezydentem przeciętnym. Pogorszył znacznie relacje naszego kraju z głównymi państwami Unii Europejskiej, głosząc tezę o swoich poprzednikach rzekomo rozmawiających z zachodnimi sojusznikami na kolanach. Tymczasem sam był uległy wobec Litwinów utrudniających systemowo życie tamtejszym Polakom i wobec Ukrainy unikającej przyjęcia odpowiedzialności za straszliwą rzeź ludności polskiej na Wołyniu, przez bandy banderowców. To wszystko w połączeniu niefortunnymi wyprawami do Gruzji było wynikiem przywróconych do życia przez Kaczyńskich, a dawno już zbankrutowanych, operetkowych aspiracji mocarstwowych, jako alternatywy korzystnej dla Polski, pogłębionej integracji z silnymi państwami Trójkąta Weimarskiego. Pochówek na Wawelu był wyrazem buty i pychy Jarosława Kaczyńskiego i początkiem szerokiej akcji kreowania brata na bohatera, różnymi sposobami i narzędziami, nie wyłączając krzyża przed pałacem. Prezesowi PIS-u zawsze nie wychodziło pozytywne kształtowanie lepszej przyszłości, zabrał się, więc do pisania historii zgodnie ze swoimi słowami: Piszmy historię, bo inni napiszą ją za nas. Do napisania i rozpowszechniania katyńsko-smoleńskiego mitu zatrudnił całą pisowską frakcję sejmową, zajmującą się głównie rozszarpywaniem smoleńskiej tragedii. Pewien hitlerowski dygnitarz miał zwyczaj mówić: O tym, kto jest Żydem decyduję ja. Jarosław Kaczyński do niedawna jeszcze uzurpował sobie prawo, do decydowania, kto jest komunistą, a kto stoi tam, gdzie jeszcze niedawno stało ZOMO. Teraz szukając zemsty za śmierć brata próbuje przy pomocy swoich, pretorian wykreować i rozpowszechnić zafałszowany mit o wielkiej, silnej, rzekomo solidarnej Polsce, wyśnionej i budowanej przez braci Kaczyńskich i popierających ich patriotów, wbrew zdrajcom i zaprzańcom wywodzących się również z solidarnościowego pnia.

Ból krzyża

A.D.17.08.2010

Drewniany, niepozorny krzyż za sprawą żerujących na nim mediów stoi od wielu dni, w

centrum zainteresowania opinii publicznej w Polsce. Dziś taki świat, że liczą się tylko te obszary życia społecznego, które mają szczęście być obiektem przekazu medialnego. Dlatego właśnie wokół problemu związanego z tym krzyżem, kręcą się wszyscy liczący się uczestnicy życia publicznego i to wcale nie dlatego, żeby znaleźć jakieś godne wyjście z pogłębiającego się wciąż impasu. Chodzi natomiast o to, żeby korzystając z nadarzającej się, znakomitej okazji próbować wyciągać cudzymi rękami przysłowiowe kasztany z ognia. Krzyż przyniesiony przez polityków w krótkich spodenkach stał się zarzewiem eskalacji konfliktu społecznego, który wywodzi swoją genezę z przemian ustrojowych i społecznych z początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku i latami narastał. Dzieckiem w szkole mądra nauczycielka historii, nakazywała mi szukać zawsze, zasadniczych przyczyn spektakularnych wydarzeń dziejowych. Obserwując konflikt, którego widomy znak objawił się na Krakowskim Przedmieściu trzeba pamiętać, że razem z wolnością wydostały się z komunistycznej zamrażarki przedwojenne demony nacjonalizmu, antysemityzmu, nietolerancji i ksenofobi pochodzące nie tylko z endeckiego arsenału. Niektóre z tych przywar podniesione zostały przez radykalny odłam sprawujących władzę elit postsolidarnościowych, do rangi narodowej tradycji i troskliwie pielęgnowane, doprowadziły do odnowienia dawnych społecznych podziałów. Gdyby nie to, krzyż połączyłby Polaków w żałobie, po bolesnej stracie ludzi z kręgu najwyższych władz państwa i w zadumie nad niepewnością ludzkiego losu. Tak się jednak nie stało i na oczach całego społeczeństwa znacznego uszczerbku doznał autorytet Kościoła, a jego hierarchowie ze zdumieniem spostrzegli, że rząd dusz wymyka im się z rąk. Z jednej strony otrzymali tęgiego szturchańca od fanatycznej sekty Ojca Dyrektora, a z drugiej od wymyślonego przez katolickich publicystów pokolenia JP II, które pod wezwaniem Facebooka zebrało się zupełnie spontanicznie w sile kilku tysięcy ludzi, żeby oprotestować zawłaszczanie przy pomocy krzyża przestrzeni publicznej. Na tę nieprzyjemną nauczkę Kościół solidnie zapracował zapominając o słowach św. Pawła, że korzeniem wszystkiego zła jest chciwość pieniędzy, a Chrystus nasz Pan żadnych dóbr nie posiadał. Po wyjściu spod rygorów, niezbyt jednak dotkliwych ludowej władzy, Kościół stał się pieszczochem obdarzanym przez nowe elity gradem bogactw i przywilejów. Bogactwo, zbytek i luksus składały się na jeden z dwóch filarów podtrzymujących nową potęgę kleru, drugą miała być niemal kompletna władza nad społeczeństwem, sprawowana pośrednio przez ślepo mu oddanych prawicowych polityków. W imię tych interesów Kościół pozwala Jarosławowi Kaczyńskiemu używać krzyża, jako narzędzia szantażu mającego wymusić na władzach państwowych, wybudowanie tragicznie zmarłemu bratu wspaniałego pomnika, przed pałacem, na który Lech Kaczyński nie zasłużył. Pomniki buduje się ludziom wielkim, a braciom Kaczyńskim do wielkości daleko. Episkopat powinien wyciągnąć właściwe wnioski z tych zaskakujących wydarzeń i dokonać znaczącej korekty swojej super konserwatywnej linii politycznej, bo świat idzie w zupełnie innym kierunku, a uporczywe trwanie w nieprzystających do nowoczesności standardach może ograniczyć wpływy Kościoła, wyłącznie do armii zapiekłych fanatyków.

Co nam zostało?

A.D.31.08.2010

Ze zdumieniem i niesmakiem patrzyła Polska, kiedy w Gdańsku spadkobiercy pierwszej Solidarności toczyli swoje potępieńcze swary. Okazją była trzydziesta rocznica spisania umowy społecznej, inicjującej serię wstrząsów, które na oczach zdumionego świata obaliły pojałtański ład w Europie. Nie mają racji ci, co się zzymają na permanentny konflikt wśród starzejących się kombatantów, bo wynika on z naturalnego sporu o podział łupów. Zawsze tak było w dziejach ludzkości, że po obaleniu tyranii opromienieni chwałą zwycięzcy natychmiast dzielili się na odrębne frakcje i zwracali przeciw sobie. Taki, klasyczny przebieg porewolucyjnych komplikacji, wynika z naturalnej potrzeby społeczeństwa do wyłonienia nowego przywództwa. Umarł król, niech żyje król – chciałoby się zawołać, ale niestety mocno zmurszała dyktatura upadła z wielką ochotą, nie pozostawiając po sobie następcy.

Pozostał natomiast dość spory majątek narodowy, pochodna ucisku i wyzysku sił wytwórczych, trzymany twardą ręką w ubóstwie, na poziomie minimum socjalnego. O podział tego majątku zaczęła się słynna wojna na górze i po pewnych modyfikacjach trwa do dziś. Na szczęście zmienił się świat, mimo wszystko na lepsze, więc nieaktualne są francuskie standardy z 1789 roku, kiedy to dzieci zwycięskiej rewolucji zgilotynowały się nawzajem, torując drogę do władzy dyktatorowi Bonapartemu. Cała zabawa trwała zaledwie kilka lat. Po dwudziestu latach polskich zmagani nadal brak jest trwałego systemu władzy, a obowiązującym aktem prawnym łącznie z konstytucją, daleko rangi fundamentu ustrojowego Rzeczypospolitej, skoro są nieustannie kwestionowane przez poważne siły polityczne. Stąd właśnie się bierze słabość polskiego państwa, szarpanego bezkarnie na oczach społeczeństwa, przez rywalizujące o władzę i pieniądze frakcje wywodzące się z wierchuszki ruchu społecznego, który obalił poprzednią, rzekomo ludową władzę. Żaden ze ścierających się politycznych klanów, nie może osiągnąć takiej przewagi, która pomogłaby zapewnić stabilizację państwu, choć w ostatnich latach szala zaczęła przechylać się, na stronę sił liberalno-demokratycznych, preferujących model demokracji zachodniej. Nie może przystać na to nurt fundamentalistyczny, dążący do ustanowienia państwa guasi wyznaniowego. Wynika to z dominującej w Polsce roli Kościoła, dopieszczanego jak dotąd przez wszystkie rządy łącznie z lewicowymi, którego struktury zrosły się ze strukturami państwa, zapewniając sobie decydujący niekiedy wpływ na kształt politycznych decyzji. Wobec braku sukcesów w ewangelizacji, hierarchia kościelna chce wymusić przestrzeganie zasad wiary katolickiej, pod groźbą sankcji wykonywanej przez aparat państwa. W tym celu Kościół tak mocno zaangażował się w kampanii prezydenckiej na rzecz jednego z kandydatów, który miał w założeniu sprzyjać ustanowieniu w Polsce chrześcijańsko-narodowego systemu politycznego. Z wynikiem wyborów przyszło wielkie rozczarowanie i gniew owocujący antypaństwowym buntem na Krakowskim Przedmieściu, noszącym pewne znamiona pełzającego zamachu stanu. Na progu ustrojowej rewolucji zniewolony przez komunę Kościół wspierał potęgę dziesięciomilionowej Solidarności. Po trzydziestu latach Kościół jest wszystkim, Solidarność niczym. Tyle zostało nam z tamtych lat.

Znak Opatrzności

A.D.10.09.2011

Zdarza się niekiedy, że Opatrzność daje nam jakiś znak. Dzieje się tak, na ogół wtedy, gdy ulegając podszeptom diabelskich sług, omamieni marnym blichtrzem tego świata, oddajemy się we władanie ciemnej stronie mocy. Na potwierdzenie troski Najwyższego o ludzkie losy zabrzmiał głos biskupa Tadeusza Pieronka, który zapewne tknięty palcem Bożym, napomniął publicznie hierarchów Kościoła w Polsce. Wraz ze śmiercią Jana Pawła II skończył dla Kościoła czas heroiczny, liczony od napaści hitlerowskiej w 1939 roku, do ostatecznego upadku światowego komunizmu. Przez pół wieku Kościół był z Narodem a Naród z Kościołem. Przez ten czas walki i chwały prowadzili nas najwybitniejsi kapłani, jakich znała historia. Ta sama historia jednak uczy, że następcami geniuszy zostają na ogół ludzie przeciętni, a nawet mierni. Nie inaczej stało się po odejściu Stefana Wyszyńskiego i Karola Wojtyły. W momencie, kiedy przyszło wytyczyć nowy szlak, osieroceni hierarchowie wyraźnie się zagubili. Zamiast przekroczyć Rubikon nowoczesności, zawrócili do mrocznego Średniowiecza, gubiąc na dziejowym zakręcie nie tylko właściwy azymut, ale też dbałość o bogactwo duchowe, na rzecz zauroczenia udziałem w sprawowaniu władzy i gromadzeniu dóbr doczesnych, pozostawiając na dalszym planie troskę o zbawienie wieczne. Na dodatek hierarchowie popadli w triumfalizm i przekonani o własnej nieomyślności zaczęli jawnie wspierać stojących w szranki wyborcze prawicowych kandydatów, ściśle trzymających się linii politycznej określanej, jako społeczna nauka Kościoła. Było takich przypadków bez liku, więc nie ich ma sensu wymieniać. Należy jednak sięgnąć po jeden przykład bardzo znamieny. W przeddzień decydującego starcia o prezydenturę Lecha Wałęsy z Aleksandrem Kwaśniewskim księża w parafiach odprawiali wieczorne nabożeństwa w intencji zwycięstwa przywódcy Solidarności, noszącego wizerunek Matki Boskiej w klapie marynarki, nad odsądzanym od czci i wiary postkomunistą. Niestety Opatrzność nie wysłuchiwała modłów, dając wiernym powody do zwątpienia w tożsamość woli Episkopatu z wolą Wszechmogącego. Następnym przykładem zupełnego rozmijania się intencji Pana Boga z poglądami jego domniemanych przedstawicieli, mieliśmy całkiem niedawno w ostatnich wyborach prezydenckich, w których kler udzielił masowego poparcia Jarosławowi Kaczyńskiemu doprowadzając do sytuacji, że bliską spełnienia była groźba oddania najwyższego urzędu w państwie, w ręce szkodzącego Polsce politycznego awanturnika. Tego widać było za wiele nawet Miłosiernemu. Trudno, bowiem spokojnie patrzeć jak polski Episkopat powoli staje się zakładnikiem w rękach tego nieobliczalnego człowieka, wspierając go totalnie w bezpardonowej walce, o osłabienie instytucji demokratycznych, w nadziei na ustanowienie religijnego nadzoru nad poczynaniami państwa. Biskup Tadeusza Pieronek ujawnia polityczne powiązania harcerzy od krzyża z prezesem PIS-u potwierdzając tym samym sygnał mojej intuicji, która kazała mi napisać o nich, jako, politykach w krótkich spodenkach. Wychodzi, więc na to, że przedstawienie polityczne na Krakowskim Przedmieściu jest do samego początku, w najdrobniejszych szczegółach reżyserowane, a jego uczestnicy jawią się, jako nieświadome niczego marionetki, kierowane przez niewidocznych aktorów tego spektaklu. Nadszedł czas, żeby wymienić imiennie tych manipulatorów pociągających za sznurki.

Substytut

A.D.21.09.2010

Polska nadal nierządem stoi, bo choć minęły wieki w mentalności Polaków niewiele się zmieniło. Widać to jak na dłoni na scenie Krakowskiego Przedmieścia, gdzie w najlepsze toczy się żaloszny spektakl na oczach zdumionej Europy. Przegrany w wyborach prezydenckich pupil bloku narodowo-katolickiego nie uznał swojej porażki i szukając zasłony dla trawiącej go nienawiści, do zwycięskiego przeciwnika wymyślił, że Bronisław Komorowski wygrał przez nieporozumienie. Tym samym zakwestionował wolę wyborców potwierdzoną przez konstytucyjne organy, powołane do przeprowadzenia wyborów i zatwierdzenia ich wyników, stawiając przeciw prawomocnym decyzjom tych instytucji twierdzenie, że on wie lepiej. Własne przekonanie wystarczyło mu za podstawę do zakwestionowania wyników wyborów i wezwania prezydenta do zejścia ze sceny politycznej. Wydawałoby się, że postępowanie Jarosława Kaczyńskiego zakrawa na kabaret. Niestety ta fanfaronada przestaje być śmieszna, kiedy przyjrzymy się dokładnie, kto za nim stoi, a wtedy dostrzeżemy, że prezes PIS-u to widoczny znak potężnego bloku narodowo-katolickiego, który zbyt mocno się zaangażował w kampanię wyborczą swego pupila, żeby teraz tak łatwo zrezygnować z profitów, jakie zamierzał osiągnąć, dzięki jego wyborczemu zwycięstwu. Skoro nie udało się wygrać, stratedzy obradujący jak zawsze za zamkniętymi drzwiami, postanowili dać pohasać awanturnikowi, patrząc życzliwie przez palce jak okładając prezydenta smoleńskim krzyżem, usiłuje wykurzyć go najpierw z Pałacu, a później ze stanowiska. Od dawna już hierarchowie Kościoła upatrzili sobie braci Kaczyńskich, jako najlepszych gwarantów swoich interesów, ale dopiero po tragedii smoleńskiej poszli na całość słusznie mniemając, że współczucie spontanicznie okazywane ofiarom katastrofy i ich rodzinom przełoży się na wyniki głosowania i pozwoli przynajmniej zachować dotychczasowe zdobycze, a po przyszłorocznych wyborach przejąć pełnię władzy. Proboszczowie wysłali w tym celu najaktywniejszy, kościelny wolontariat do zbierania podpisów dla Jarosława Kaczyńskiego, polecając rozdawać wydrukowane w ogromnych ilościach podobizny tragicznie zmarłej prezydenckiej pary. Episkopat nie ukrywa, że dąży do zaostrenia przepisów ustawy zakazującej aborcji i zdelegalizowania metody in vitro, leczącej bezpłodność, a później zakazu rozpowszechniania i stosowania środków antykoncepcyjnych, Dzieje się tak, dlatego, że księża hołdujący rozpasanej konsumpcji, zmienili się z duszpasterzy w wielmożów, dążących do wymuszania, przestrzegania przez wiernych kanonów wiary i społecznej nauki Kościoła, pod groźbą sankcji karnych, w tym także w stosunku do wiernych innych wyznań i osób niewierzących. Nie chce się wierzyć, że znany arcybiskup przemyka luksusowym mercedesem torując sobie drogę wśród swoich diecezjan policyjnym kogutem. Dzięki Bogu nie został jednak prezydentem człowiek, który krzyż nazywa substytutem pomnika swojego brata i zapala pod Pałacem kolejne znicze, podsycając żenujące wygłupy coraz bardziej szalejących fanatyków. Patrząc na chaos ogarniający państwo chciałoby się zawołać. Hierarchowie nie idźcie tą drogą. Niestety, ale widać coraz wyraźniej, że żyjemy w kraju substytutów. Zamiast zdrowego budżetu państwa rząd oferuje kolejny marny substytut. Kościół preferuje substytut ewangelizacji, a kulawa demokracja wykreowała substytut klasy politycznej. O tempora! O mores!

Tańczący na deficycie

A.D.06.09.2010

Nie mów nic zabawa trwa. Te banalne słowa popularnej ongiś piosenki najlepiej oddają beztruskę postsolidarnościowych elit zarówno tych trzymających władzę, jak i tych gorszego sortu, usiłujących im tę władzę wydrzeć za wszelką cenę. W Warszawie tyka nieustannie licznik, prezentujący zatrważającą dynamikę narastania długu publicznego. Widoczny znak spróchniałych fundamentów państwa zainstalowano w stolicy, z inicjatywy profesora Balcerowicza tego samego, który przed dwudziestoma laty uruchomił proces szalonej prywatyzacji, prowadzący do bezprzykładnego zaniżenia wartości majątku narodowego. Wraz ze zwycięstwem Solidarności skończył się priorytet dla zaciskania pasa, a wyłoniła się przestrzeń dla wybujałej konsumpcji, coraz częściej ponad stan. Niestety upadająca gospodarka nie była w stanie udźwignąć ciężaru społecznych oczekiwań, więc z konieczności kolejne rządy finansowały rosnące wydatki budżetu, środkami uzyskanymi z wyprzedaży majątku narodowego i emitowania papierów dłużnych.

Nowe długi rosły w milczeniu. Nagłaśniano natomiast ponad miarę ciężar długów zaciągniętych przez Edwarda Gierka, nie informując o wartości majątku, jaki został wygenerowany, dzięki zagranicznym kredytom, przeznaczonym w lwiej części na unowocześnienie polskiej gospodarki. Nikt z wieszających psy na komunie nie zająknął się, że kosztem niskiego poziomu życia obywateli kraj spłacił wierzycielom równowartość zaciągniętych pożyczek, a wielkość pozostała do spłacenia to koszty obsługi długu, w postaci lichwiarskich często odsetek. Ze spirali zadłużenia udało się wyjść dzięki z trudem wynegocjowanej rezygnacji komercyjnych banków, z części zysków od powierzonych Polsce kapitałów. Patrząc na przykre doświadczenia należało powstrzymać się od ponownego zadłużania państwa, ale nowa prawie demokratyczna władza, nie tylko roztrwonila srebra rodowe, lecz nie umiała też powstrzymać rosnących żądań wpływowych grup społecznych, w obawie przed utratą elektoratu, rozbudowując przy okazji biurokrację do granic absurdu.

Prorządowi ekonomiści obiecywali, że równolegle do wzrostu gospodarczego będzie się zmniejszał deficyt budżetowy. Stało się dokładnie odwrotnie. Pożyczanie pieniędzy na sfinansowanie bieżących wydatków nabrało cech systemowych. W ślad za generującym coraz większe zadłużenie budżetem państwa ochoczo poszły samorządy, wydając pożyczone pieniądze na prawo i lewo, często na sfinansowanie zadań o charakterze propagandowym.

Jak się bawić to się bawić? Coraz liczniejsze i bogatsze banki po przechwyceniu całości obrotu pieniężnego z tytułu wynagrodzeń pracowniczych, rzuciły się udzielać kredytu każdemu, kto zapragnął, bez sensownych zabezpieczeń. Szeroką falą wróciła zmarginalizowana przez komunę lichwa. Zaroiło się o lombardów i firm pożyczających gotówkę na drakońskich warunkach. Miejsce przegranych ideologii zajął prymitywny konsumpcjonizm, zjawisko o cechach religii bez Boga. Wyznaniem wiary stało się kupowanie, a świątyniami ogromne sklepy pełne towarów, w większości naznaczonych cechami zbędnego balastu. W stosunkach międzyludzkich dawną rzetelność zastąpiło cwaniactwo, a wyłudzenie awansowało do rangi metody prowadzenia działalności gospodarczej. Co stało się etosem, który przyświecał przed laty opozycji demokratycznej, która zapoczątkowała demontaż światowego systemu komunistycznego? Kto dziś jest depozytariuszem ideałów, które legły u podstaw potężnego zrywu społecznego z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku?

Na pewno nie Kościół zafascynowany posiadaną władzą i uwikłany w gromadzenie dóbr doczesnych. Na pewno nie historyczni przywódcy Solidarności, którzy po latach obrośli w tłuszcz i są wyobcowani z ludu wcale nie mniej, niż przywódcy partyjni, których obalili. To może dźwigają etos wzbogaceni gdańscy liberałowie? A może dziennikarze karmiący się skandalami, albo tysiące celebrytów zaludniających miliony telewizyjnych okienek i okładek kolorowych czasopism. Nie mów nic, dobrze jest, zabawa trwa. **O, sancta simplicitas!**

Ostatnich gryzą psy

A.D 17.10.2010

Obdarzając nas wolną wolą Opatrzność sprytnie uwolniła się od odpowiedzialności za światowy bałagan. Można, zatem przyjąć, że ogólny nieład jest rozwiązaniem systemowym, ma charakter trwały i może być tylko doraźnie modyfikowany. Żywiół rządzący światem ma wbudowane pewne mechanizmy, które uaktywniają się w okolicznościach otwierających pole zagrożenia samolikwidacją. Na to Wszechmogący pozwolić by nie mógł, bo to jest sfera jego wyłącznych kompetencji.

Tę dość optymistyczną tezę potwierdza inny chrześcijański dogmat o tym, że bez woli Boskiej człowiekowi włos z głowy spaść nie może. Kto wie czy hierarchowie polskiego Kościoła nie znaleźliby tu odpowiedzi na nurtujące ich pytanie o nieskuteczność wznoszonych do Stwórcy modłów, w intencji zwycięstw wyborczych polityków, deklarujących wprowadzenie w Polsce modelu ustroju i systemu społecznego, przez nich akceptowanego? Gdyby nawet Opatrzność miała zamiar wtrącać się bezpośrednio do naszego życia, to angażowanie Absolutu do pilnowania interesów kapłańskiej korporacji, należałoby uznać za bezczelne nadużywanie modlitewnej formy, jak się wydaje zarezerwowanej dla samokrytycznej rozmowy samego z sobą, w duchowym obcowaniu ze Stworzycielem nieba i ziemi.

W świetle tej tezy powstanie Solidarności było pewnym rodzajem autokorekty Systemu w miejscu, gdzie powstały ku temu najkorzystniejsze warunki. Wywołany strajkiem w stoczni wstrząs światowego nieładu miał wtórny charakter, po pęknięciu zmurszałych jego struktur, spowodowanych wyborem szlachetnego kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową. Świat wykorzystał w biegu antykomunistyczny zryw Polaków oczyszczający pole globalizmowi, natychmiast zapominając o ich zasługach, bo cena wdzięczności nigdy nie dorównywała cenie nienawiści.. Stąd trafność sentencji, że ludzie nienawidzą nas nie za zło, które im uczyniliśmy, lecz za zło, którym oni obdarzyli nas.

Solidarność spełniwszy swoje zadanie przestała być światu potrzebna, więc szybko rozpadła się pozostawiając, po sobie nic nieznaczącą hybrydę. Ludzie z woli losu wyniesieni z zamętu dziejów na piedestał powołali, do życia mit styropianowego etosu, rzekomo stanowiącego podwaliny nowego, niby bardziej sprawiedliwego systemu społecznego.

Niestety mit pozostaje tylko mitem, nowy system okazał się repliką przedwojennego dzikiego kapitalizmu, a Polska mniej ważnym satelitą w orbicie finansowej oligarchii. Panoszą się zwalczany niegdyś przez marksistów wyzysk człowieka przez człowieka, pogłębiają się sankcjonowane przez nowy obyczaj i prawo nierówności społeczne, a miarą

wartości człowieka stała się zasobność jego portfela. Po katastrofie smoleńskiej widać jak na dłoni fiasko wydumanej wyższości moralnej, nowej klasy politycznej bez skrupułów walczącej o własne, egoistyczne interesy pod załganym szyldem, że Polska jest najważniejsza. W kraju trwa postsmoleński zamęt. Fundamentalisci katoliccy organizują potężne procesje żądając intronizacji Chrystusa na króla Polski. Natomiast bezwstydnymi media ogłaszają triumfalnie, cynicznego gówniarza handlującego środkami odurzającymi królem dopalaczy. Patologia urasta do rangi normalności. Liczy się tylko obecność na pierwszym planie, a ostatnich gryzą psy. **Nec Herkules contra plures.**

Upadłość elit.

A.D.24.10.2010

Tuż przed ogłoszeniem stanu wojennego Lech Wałęsa odrzucając na posiedzeniu Komisji Krajowej Związku Solidarność, niesatysfakcjonujące go ustępstwa komunistycznego rządu, zapowiedział butnie targanie się po szczękach z politycznym przeciwnikiem. Stan wojenny przytłumił na jakiś czas polityczne namiętności. Musi jednak nad związkiem wisieć jakieś fatum, skoro zaraz po wielkim triumfie doszło w obozie zwycięzców do ostrej wewnętrznej rywalizacji, o podział przejętej masy upadłościowej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Na nic się zdały nauczki w postaci porażek wyborczych, utraty większości parlamentarnej i prezydentury. Rozpad formacji postsolidarnościowej okazał się nie tylko całkowity i ostateczny, ale doszło na jego gruzach do powstania wrogich sobie i zwalczających się wzajemnie obozów. Jest w tym pewna historyczna prawidłowość. Nie bez racji Józef Wisarionowicz głosił tezę o nasilaniu się walki politycznej, w miarę postępu w budowie najlepszego z ustrojów. Zaognienie od początku istniejących sprzeczności, w wyrosłej na posiadającym lewicową genezę robotniczym proteście prawicowej formacji politycznej, nastąpiło po ostatecznym odsunięciu od władzy, sił politycznych wywodzących się z poprzedniego systemu społecznego.

Nie sposób było bez końca gonić komuchów, czerwone pająki i ich epigonów, szukając społecznego poparcia we wrogości do czegoś, co istniało jeszcze tylko w głowach zakompleksionych, fanatycznych autsajderów. Trzeba było niestety znaleźć sobie nowego wroga. Pod ręką byli liberałowie, dawni koledzy, którzy pierwsi opanowali struktury państwa, ku niezadowoleniu potężnego Kościoła, przeciwnego panoszącemu się pod ich rządami w Polsce, rozpasanemu konsumpcjonizmowi, nihilizmowi i relatywizmowi moralnemu. Dlatego właśnie hierarchia całą siłą poparła braci Kaczyńskich, wraz z ich chorą ideą IV Rzeczypospolitej. Ta zbudowana z prawicowych fanatyków partia przeniosła wypróbowane na postkomunistach metody agresji, opartej na insynuacjach, półprawdach, kłamstwach i pogardzie dla politycznego przeciwnika, przy pomocy skrajnie tendencyjnych dziennikarzy posługujących się brutalnym językiem, na nowy front walki wewnątrz solidarnościowej.

Ścierają się, więc w bratobójczych zmaganiach „prawdziwi Polacy z „bezbożnymi” liberałami. Nie trzeba chyba przypominać jak bardzo ta wojenka szkodzi Polsce. Niestety, ale właśnie tej szarpaninie na szczytach władzy „zawdzięczamy” katastrofę

smoleńską i wzrost konfrontacyjnych nastrojów w społeczeństwie, z początkiem wysypu niespełna rozumu mścicieli, gotowych targnąć się na życie ludzkie, w imię jakiejś wydumanej obrony zafałszowanych ideałów. Lider tego agresywnego ugrupowania w swojej niesłychanej, wręcz groteskowej bezczelności obarcza własnymi winami adwersarzy, okładając ich, czym tylko można, nie wyłączając krzyża. Hucpa, jakiej nie było od czasów generalissimusa. Bezwzględny arogant z miną obrażonej, nabarmuszonej primadonny skarży się na rzekome krzywdy zadane formacji „prawdziwych Polaków”, przez aktualnie trzymających władzę dawnych kolegów i rzekomo wspierające ich komercyjne media. Ubolewa nad niedocenianiem rzekomych zasług tragicznie zmarłego brata i na odmowę przekształcenia w jego pomnik Pałacu Prezydenckiego, wraz z przyległościami. Panoszy się prezes w mediach i na sejmowych pokojach, nietykalny niczym święta krowa, omijany przez bezlitośnie atakowanych politycznych rywali, jak nieświeże jajeczko, ze strachu przed przypadkową perforacją.

To przedstawienie na szczytach władzy mogłoby być nawet zabawne dla ludu, gdyby nie obywało się kosztem jego aspiracji do bardziej godnego życia. Nie zanoszą się póki, co na zakończenie tej ponurej, żenującej i szkodliwej rywalizacji chyba, że dojdzie do jakiegoś kompromisu prawdziwych, działających za kulisami antagonistów, czyli aspirującego do rządu dusz Kościoła z bezideową, chciwą finansjerą. Dziś u zwartych w klinczu, szalejących w mediach polityków na próżno by szukać autentycznej troski o publiczny interes wynikającej ze szlachetnej idei działania **pro publico bono**.

Wspólnota śmierci

A.D.02.11.2010

Niezbadane są wyroki Boskie. W roku przeznaczonym na wielkie świętowanie, jak piorun z jasnego nieba wstrząsnęła krajem nad Wisłą wiadomość o smoleńskiej katastrofie. Porównanie tej masakry elit do trzęsienia ziemi, jest jak najbardziej uprawnione, Tam pod Smoleńskiem zadrżała ziemia od niewyobrażalnego uderzenia prezydenckiego tupolewa, wywołując pomieszany z niedowierzaniem szok. Zanim ktokolwiek zdołał ochłonąć wielka powódź zabrała kolejne ofiary. Podobnie do przebiegu ruchów sejsmicznych nastąpiły, po tym najsilniejszym, smoleńskim dalsze, wtórne wstrząsy. Na obwodnicy berlińskiej autokar wiozący z ciepłych stron Europy sytych wrażeń turystów, roztrzaskał się o filar betonowego wiaduktu. Jak by mało było tych nieszczęść, kierowca przeładowanego do granic możliwości busa rzucił pojazd na zatracenie w gęsty tuman mgły. Te z pozoru zupełnie odrębne, tragiczne zdarzenia łączy przynajmniej jeden związek przyczynowy, którego początku można by się doszukać w historycznych wydarzeniach sprzed trzydziestu lat. Tamten bezkrwawy przełom dziejowy legł u podstaw istniejącego dziś systemu społeczno-ustrojowego. Jednym z najważniejszych rezultatów zmian ustrojowych była wymiana elit. Pezetperowska nomenklatura bezpowrotnie odeszła w przeszłość. W jej miejsce na piedestał wspięli się doradcy strajkujących w stoczni robotników spychając na drugi plan autentycznych liderów Solidarności. Właśnie nowi dygnitarze stanowili trzon delegacji podróżującej do Katynia, by oddać hołd prochom pomordowanych przez NKWD polskich oficerów. Taki był oficjalny cel

wizyty. Nie wolno jednak zapominać, że starannie wyselekcjonowany skład delegacji miał wzmocnić rangę tego wydarzenia, które było pomyślane, jako efektowny początek kampanii wyborczej, ubiegającego się o reelekcję Lecha Kaczyńskiego.

W ten sposób rodziny katyńskie, najwyżsi dowódcy Wojska Polskiego i inne osoby stojące na czele najwyższych urzędów w państwie zostali wciągnięci do wyborczej gry. Pomijając techniczne przyczyny katastrofy, bo jakiegokolwiek by nie były u podłoża tego nieszczęścia zabrakło rozsądku, staranności i dbałości, które musiały ustąpić miejsca zapalczywości i presji o osiągnięcie celu, którym było utrzymanie Pałacu Prezydenckiego. Siłą rzeczy niezbyt szerokie może być grono korzystające z opłacanych przez podatnika samolotowych wojaży po szerokim świecie. Za własne pieniądze po obaleniu żelaznej kurtyny, podróżuje po świecie samolotami wzbogacona, nowa klasa posiadająca. Plasująca się niżej w nowej hierarchii społecznej, kształtująca się dopiero klasa średnia stanowi na ogół klientelę firm autokarowych. To z pośród nich pochodzą ofiary masakry autokaru wiozącego turystów z niedostępnej niegdyś dla Polaków Hiszpanii. Szaleńczy trend indywidualnej motoryzacji i możliwość zdobycia mocą pieniądza wszelkich dyplomów i uprawnień, owocuje wysypem na drogach setek tysięcy kierowców, którzy z braku predyspozycji i poczucia odpowiedzialności nigdy nie powinni usiąść za kierownicą. Zgoła inaczej było z ofiarami zmiażdżonego w zderzeniu z potężną ciężarówką, przeładowanego do granic możliwości busa. Jechali w nim robotnicy obrabowani z ludzkiej godności. Trzydzieści lat wcześniej oni, ich ojcowie i krewni stanęli do konfrontacji z komunistyczną władzą w imię poprawy szarej i smutnej rzeczywistości. Los jednak zakpił sobie z nich okrutnie, bo po latach ustrojowych zmian, są tak samo daleko od zrealizowania swoich oczekiwań jak wtedy, a stali się w dodatku pariasami, po utraceniu gwarancji stałego zatrudnienia. Zdani są teraz na łaskę i niełaskę chciwych pracodawców szarej, a tak naprawdę złodziejskiej strefy. To oni okazali się ofiarami masakry spowodowanej eksplozją ludzkiej chciwości, wyzwolonej nieświadomie, jakby z puszkii Pandory, przez strajkujących w tamtych dniach robotników. Tak wyglądają dziś w Polsce polityczne Zaduszki. Tylko śmierć w swym okrucieństwie, jest zdolna zrównać rozwarstwione polskie społeczeństwo i nie przeszkodzą jej w tym, nawet największe i najbardziej wymyślne pomniki stawiane nowym dygnitarzom. **Memento Mori.**

Podsycanie nienawiści A.D.11.11.2010

Seriale mydlane zawładnęły zbiorową wyobraźnią, gapiącej się w telewizory gawiedzi i od lat wypełniają znaczące obszary w ramowych programach stacji telewizyjnych. Fascynację milionów widzów budzą, nie tyle wątpli i naciągane fabuły tych kiczowatych w końcu widziadeł, jak oglądani dzień po dniu ci sami celebryci, traktowani często z większym zainteresowaniem i sympatią niż członkowie własnych rodzin. Najlepsze scenariusze pisze jednak samo życie. Wystarczy stanąć z mikrofonem i kamerą na reprezentacyjnej scenie sejmowej, żeby bez zbędnych wydatków na scenografię i gaże aktorów nagrywać kolejne odcinki niekończącego się reality- show. Aktorzy-naturszczycy sami się garną do obiektywu

kamery, a sprytni dziennikarze wybierają z tej galerii przeróżnych postaci najbardziej charakterystyczne, przyciągające uwagę widzów swoją osobliwością.

Stara to prawda, że najlepiej sprzedają się informacje z posmakiem sensacji. Wynika to zawiłości ludzkiej natury, często z niezrozumiałych powodów wynoszącej banialuki zaczerpnięte z krainy fantazji, nad naukowo udowodnione prawdy. Trudno, więc się dziwić mediom penetrującym te obszary życia publicznego, gdzie dominują insynuacje, konflikty i konfrontacje. Ścieranie się poglądów jest istotą demokratycznej debaty, ale tylko do momentu, kiedy merytoryczne argumenty ustępują miejsca niedobrym emocjom budzącym demony, wśród, których chciwość i nienawiść zdają się być głównymi siłami napędowymi, zapewniającymi funkcjonowanie współczesnego świata. Przy braku w skali globalnej silnego centrum, zdolnego do skutecznego propagowania jakiegoś nośnego modelu systemu światowego, opartego na pozytywnych wartościach, nieład ewoluje w stronę totalnej anarchii i wszechogarniającego chaosu. Media są jedną z tych sił, które popychają ludzkość w tym właśnie kierunku.

Nie u nas mieści się epicentrum światowego szaleństwa, ale to, co się dzieje w Polsce wpisuje się w światowy system, jest jednym z jego modułów. Wyniki kolejnych wyborów ujawniły głębię społecznych podziałów. Powinno to dać wiele do myślenia wyłonionym po upadku komunizmu elitom i tak się stało. Nowa klasa polityczna wyciągnęła jednak z tego zaskakująco negatywne wnioski, które skłoniły kształtujące się formacje, do wykorzystania tych podziałów w celu osiągnięcia politycznych korzyści. Od wybrańców narodu należało spodziewać się jednak działań, prowadzących do zbudowania takiego państwa, gdzie znajdzie się godne miejsce dla każdego obywatela. Niestety okazało się to dla nowych elit zbyt trudne i dla nich samych nieopłacalne, dlatego rzuciły się do poniewierania politycznego przeciwnika. Pierwsze ćwiczenia w emitowaniu nienawiści postsolidarnościowe elity urządziły sobie na gnębieniu postkomunistycznej lewicy. Z czasem te same metody przeniesione zostały na forum społecznej debaty. Mocnego wsparcia udzieliły im komercyjne media żywiące się permanentnym konfliktem. Media publiczne wyszarpywane sobie przez główne siły polityczne, również nieustannie pogłębiają ideologiczne podziały funkcjonując według starej zasady, kończącej w 1555 roku wojny religijne. Czyja władza tego religia, zmodyfikowanej do maksymy, czyja władza tego ideologia? Mieniające się światłymi rządzące elity, zamiast dążyć do zbudowania zgodnie funkcjonującego, wielokulturowego społeczeństwa, bez żenady podbijają bębenek podnoszący zwykłe emocje, do poziomu określanego potocznie, jako ostatnie słowo do bicia. Media idą za nimi w ślad. Celuje w tym Radio Maryja, dopuszczając do głosu w wieczornych audycjach wyłącznie słuchaczy traktujących ludzi wychylających się poza dogmaty kościoła, jako przedstawicieli Antychrysta na ziemi, Nie lepiej zachowują się komercyjne stacje telewizyjne, dając możliwość wypowiedzenia się do milionowej widowni, wciąż tym samym, sfrustrowanym fanatykom i pieniaczom ziejącym wprost nienawiścią. Wszystko to dla podniesienia słupków oglądalności, a co za tym idzie pozyskania więcej złotodajnych reklam Akcja rodzi reakcję i tak dokoła, Niestety na dalszą metę do niczego dobrego doprowadzić to nie może. **Qui kentum seminabunt et turbinem metent.**

Wyprzedaż godności

A.D. 18.11.201

Scena polityczna pełna jest miernych aktorów, gotowych grać nawet poślednie role, za bodaj czapkę gruszek w oczekiwaniu, aż któryś z ważnych reżyserów zwróci na nich uwagę i być może zaangażuje, do przedstawienia o większej randze. Przedmiotem marzeń rozpolitykowanych pretendentów jest eksponowane miejsce, na partyjnej liście wyborczej gwarantujące występy na scenie głównej, czyli sali sejmowej. Nielatwo wspiąć się na polityczny piedestał, przy obowiązującym obecnie porządku prawnym, preferującym wyłącznie liderów dużych ugrupowań politycznych, którzy osobiście układając listy wyborcze, praktycznie jednoosobowo decydują o składzie osobowym naszego parlamentu i karierach działaczy swoich partii. Przypomina to do złudzenia organizację struktur mafijnych, gdzie o wszystkim decyduje szef, a żołnierze tylko wykonują rozkazy. Dlatego w polskiej polityce podobnie jak mafii, nie ma miejsca na myślenie i wygłaszanie własnych opinii, nawet na wewnętrznych forach partyjnych. Musiało to doprowadzić do znacznego zubożenia myśli politycznej, skoro liderzy słuchają tylko specjalistów od politycznego pijaru, a kierownicze gremia partyjne zajmują się niemal wyłącznie podejmowaniem takich działań, które mogą zaowocować podniesieniem słupek sondażowych.

Trudno się dziwić, że w tych realiach wszyscy politycy danej formacji występujący w mediach, mówią wyłącznie językiem swoich szefów, nie wysilając się nawet do ubrania we własne słowa ich złotych myśli. Towarzyszy tym wypowiedziom obawa, żeby coś nie przekreślić i nie narazić się niepotrzebnie suwerenowi. Słuchając tych medialnych popisów politycznych klakierów człowiekowi patrzącemu trzeźwo na świat pozostaje tylko uśmiechnąć się z politowania. Życie polityczne dostarcza, na co dzień niezliczonych ilości przykładów potwierdzających niskie morale ludzi bądź, co bądź reprezentujących państwo polskie. Zdarzają się jednak bardziej spektakularne przypadki politycznego samoupokorzenia. Bardzo pouczająca jest tu historia błyskotliwej kariery i bolesnego upadku pewnego sędziego z małego powiatowego miasta. Na fali bezprzykładnego sukcesu wyborczego Polskiego Stronnictwa Ludowego w wyborach parlamentarnych 1993 roku, nikomu nieznanemu działacz ludowy z głębokiej prowincji, awansował na stanowisko prezesa Najwyższej Izby Kontroli, czyli objął jedno z kluczowych stanowisk w państwie.

Ludowcy nie utrzymali się przy władzy w następnej kadencji, lecz po niefortunnych rządach Akcji Wyborczej Solidarność zarysowała się perspektywa powrotu do władzy w koalicji z postkomunistami. Usunięty ze stanowiska przez wywodzącą się z Solidarności ustępującą większość sejmową dawny sędzia związał swoje nadzieje ze spodziewanym zwycięstwem Sojuszu Lewicy Demokratycznej, bowiem marzyło mu się objęcie teki Ministra Sprawiedliwości. Kiedy niepełne zwycięstwo SLD otworzyło drogę do ponownego objęcia władzy przez układ lewicowo-centrowy, panu sędziemu marzyło się nawet stanowisko szefa rządu. Ostatecznie musiał się zadowolić godnością wicemarszałka Sejmu, co pozwoliło mu jednak utrzymać się w kręgu największych osobistości życia politycznego, a po wpadce Waldemara Pawlaka awansować na niekwestowanego lidera ludowców.

U szczytu kariery zawiodła go jednak polityczna intuicja i niekompetentni doradcy, a może zaszkodziło też owocujące próżnością i arogancją upojenie skalą sprawowanej władzy. Coś w tym musiało być, skoro przez nikogo nieatakowany zablądził na własne życzenie wśród życiowych meandrów. Zapędził się w koziego róg przeprowadzając do Brukseli, a partię pozostawił niejako na łasce losu i na pastwę żadnych zemsty rywali. W efekcie popełnionych kardynalnych błędów, które nie powinny się przytrafić tak doświadczonemu politykowi, cała władza wymknęła mu się z rąk. Na pocieszenie jednak pozostała wysoko opłacana posada posła Parlamentu Europejskiego, lecz niestety tylko do końca kadencji. Szukając ostatniej deski ratunku dla zachowania unijnej synekury, były dygnitarz wpadł w objęcia Jarosława Kaczyńskiego, przyjmując posadę jednego z jego pretorianów. Chcąc ratować resztki dawnego splendoru powołał do życia polityczną kanapę pod nazwą Polskie Stronnictwo Ludowe Piast i mianował się jej marionetkowym prezesem. Nadeszła jednak

chwila, kiedy suweren, który sam znalazł się w opałach zażądał od wasala odrzucenia pozorów i formalnego potwierdzenia przynależności do Prawa i Sprawiedliwości. Wezwany do złożenia hołdu eurodeputowany pokornie i bez szemrania uczynił to, bredząc coś przed kamerami o wywodzącej się z Żoliborza skrajnie prawicowej formacji braci Kaczyńskich, jako o jedynej, prawdziwej partii ludowej. Jako przegrany polityk mógł z honorem wrócić do swego, prestiżowego przecież zawodu, a jednak połykając dla pieniędzy dławiące go upokorzenie, postanowił trzymać się nadal klamki znanego z politycznego awanturnictwa lidera PiS-u, przyjmując do wiadomości, że **fata nolentem trahunt**.

Czarna groteska

A.D.24.11.2010

Przelała się przez kraj przedwyborcza maskarada. Czwierć miliona amatorów budżetowego tortu, wspomaganych przez kilkakrotnie większą armię pomocników i kibiców ruszyło w Polskę, w poszukiwaniu klucza zdolnego otworzyć im drzwi do przychylności wyborców. Na ich potrzeby pracował rosnący w siłę z roku na rok, wyspecjalizowany biznes oferujący na potrzeby agitacji przeróżne gadżety opatrzone nazwiskami kandydatów, oraz ulotki, plakaty i audiowizualne spoty. Spin doktorzy i inni fachowcy od wizerunku medialnego łamali sobie głowy, nad stworzeniem produktów zdolnych do zawładnięcia świadomością elektoratu, a w efekcie o skierowanie ręki trzymającej długopis do kratki przed nazwiskiem tego, a nie innego kandydata. Na drogi i bezdroża Rzeczypospolitej wyjechały tysiące samochodów załadowanych materiałami wyborczymi, docierając nawet tam gdzie zazwyczaj diabeł mówi dobranoc. Listonosze dźwigali przepastne torby wypchane kolorowymi ulotkami, na których kandydaci prezentowali swoje walory w nadziei, że lud nie tylko przeczyta, ale też uwierzy i pobiegnie ochoczo do wyborczych lokali. Tam gdzie nie dotarli pocztowi doręczyciele zjawili się krewni i koledzy pretendentów do lokalnych gremiów władzy, żeby osobiście zachwalać ich predyspozycje i społeczną wrażliwość. W miastach wytwornie ubrani i nienagannie wyretuszowani idole życia politycznego patrzyli z góry na przechodniów, jakby chcieli dać im do zrozumienia, że mają niepowtarzalną szansę zrobić dobry użytek ze swoich głosów, oddając je właśnie na nich, bo zgoda buduje a Polska jest najważniejsza. Im bliżej było sądnego dnia tym bardziej rosło napięcie, jak w filmach Alfreda Hitchcocka, gdzie na początku jest trzęsienie ziemi, a potem napięcie rośnie, Znakiem czasu jest dyskusja programowa w Internecie, gdzie kandydaci mogą do woli i wzajemnie obrzucać się błotem, dla przeciwwagi hymnom pochwalnym wypisywanym na agitkach. Programy telewizyjne i radiowe przepełnione były wyborczym spamem, konkurującym skutecznie z reklamą coraz gorszej jakości produktów globalnej gospodarki. Z jakością samych polityków też nie było najlepiej.

Trudno było uważnym obserwatorom życia publicznego doszukać się w powodzi sloganów, zapowiedzi konkretnych i realnych inicjatyw, zmierzających do rozwiązania problemów, uwierających społeczeństwo, a szczególnie tych skierowanych ku przyszłości. Nikt, dosłownie nikt nie zająknął się na temat skutecznego powstrzymania dynamiki wzrostu długu publicznego, przyjmującego z dnia na dzień kształt zaciągającej się samoczynnie pętli, na szyi polskiego państwa. W przeddzień wyborów jak kraj długi i szeroki odbyło się tysiące

libacji, na których kandydaci na wójtów i radnych podejmowali swój elektorat chlebem i winem, a może raczej mocnym alkoholem, często niepewnego pochodzenia i prawdziwą wyborczą kielbasą. W niedzielę zwerbowani do współpracy pomocnicy dowozili do wyborczych obwodów docenionych nareszcie alkoholików i beneficjentów ośrodków pomocy społecznej, wynagradzając ich w alkoholu za wyborczą przysługę. Wybory jak zwykle bez udziału milczącej większości, przebiegły bez większych zakłóceń, a w ich wyniku 50000 wybrańców uzyskało na cztery lata klucze do gminnych budżetów. Zapewne będą wpłacane tam przez nas pieniądze dzielić sprawiedliwie, JAK DO TEJ PORY. Na zakończenie medialnego wieczoru wyborczego odbył się groteskowy spektakl. Liderzy czterech głównych sił politycznych zgodnie ogłosili zwycięstwo, Każdy swoje. Po takim podsumowaniu może człowiekowi pozostać tylko absmak, bo nawet małe dziecko wie, że zwycięzca może być tylko jeden i to jest właśnie ta czarna groteska. Tak naprawdę dwa największe ugrupowania o solidarnościowym rodowodzie, które od dłuższego czasu okładają się wzajemnie, czym tyko mogą straciły klika milionów wyborców. Być może jest to pierwszy znak pozytywnych przemian na politycznej scenie, Jeśliby tak się stało, nie byłoby żal lasów wyciętych do wyprodukowania papieru zużytego na wyborczej wojence, choć z tej masy zmarnowanego drewna można by ułożyć w pryzmę wyższą od figury Chrystusa Króla. **Sit autem sermo vester, EST, est; non, non.**

Dogmat nieomyślności

A.D.2.12.2010

Boska Opatrzność kreując człowieka na swój obraz i podobieństwo, wyposażyła nas w wolną wolę na znak specjalnej łaski, czyniąc w ten sposób istotę ludzką zdolną do twórczego myślenia z prawem do wyboru światopoglądu. Brak jednak racjonalnych przesłanek, że Pan Bóg uczynił człowieka równym sobie, więc dogmat o ludzkiej nieomyślności przez kogokolwiek i w jakiegokolwiek sprawie nie znajduje żadnego uzasadnienia. Pozostaje jednak człowiekowi zdolność do poszukiwań, która jest niesłychanie wielkim darem wyróżniającym populację ludzką, wśród całego ożywionego i nieożywionego świata. Już starożytni filozofowie głosili, że błędzić jest rzeczą ludzką. Od tamtych czasów nic się nie zmieniło i nadal historia cywilizacji zapisywana jest, jako ciąg mniejszych i większych błędów i pomyłek. W tym również błędów i wypaczeń popełnionych przez najwybitniejszych dostojników Kościoła. W niczym nie przeszkadza to zastępom teologów ogłaszać stanowisko Watykanu, jako prawdę objawioną, podpierając się nawet rzekomą inspiracją Ducha Świętego, dla nadania mu kanonu niepodważalności. Tak się składa, że aktualnie w nauczaniu naszego Kościoła zaniedbuje się ewangelizację i wspieranie wiernych w obliczu pokus płynących z pławiącego się w nadmiernej konsumpcji zachodniego świata, na rzecz walki o narzucenie społeczeństwu kościelnemu modelu współżycia seksualnego. Słuszną ideę ochrony życia bezzasadnie rozszerza się, na ograniczenie zakresu kontaktów seksualnych wyłącznie do prokreacji, potępiając i uznając za grzeszne wszelkie metody zapobiegania ciąży i traktowanie aktu seksualnego, jako przyjemności. Doktrynę tę teologowie opierają na fundamencie dogmatu o nieomyślności papieża w sprawach wiary, przypisując w ten sposób człowiekowi to, co należy wyłącznie do Boga. Szczególnego smaczku tej godnej lepszej

sprawy krucjacie dodaje fakt, że katolicycy duchowni z racji pozostawania w obowiązującym ich z woli Kościoła celibacie, nie powinni mieć żadnych doświadczeń w sferze życia seksualnego. Do zdecydowanej walki ze stosowaniem wszelkich środków, zapobiegających niechcianej przez szukających w seksie wyłącznie przyjemności heteroseksualnych par i potępiania kochających inaczej, doszedł w ostatnich latach zdecydowany sprzeciw duchownych katolickich, także wobec metody in vitro z założenia i w efekcie promującej życie, dającej bezpłodnym do tej pory parom szansę na poznanie radości ze spółżenia i posiadania własnego potomstwa. Dla twardogłowych teologów interwencja medycyny prowadząca do pozaustrojowego zapłodnienia nie jest błogosławieństwem Stwórcy, pomagającym ludziom w spełnieniu swojej powinności przedłużenia życia na ziemi, tylko ingerencją w zakres boskich kompetencji. Powołują się też na dopuszczenie do obumierania niektórych zarodków, jakby takie samo zjawisko nie miało miejsca podczas i po naturalnym zapłodnieniu kobiety. Kościół hierarchiczny ma prawo do publicznego głoszenia swojego stanowiska w tych kluczowych dla populacji ludzkiej problemach, ale wierni także powinni być dopuszczeni do wyrażania własnych poglądów w tak istotnych dla siebie sprawach. Niestety hierarchowie nie tylko nie dopuszczają wśród kościelnych dołów, do jakichkolwiek dociekań i dyskusji/ nie podważającej przecież prawd wiary/, na temat społecznej nauki Kościoła, ale wykorzystują swoje znaczące wpływy polityczne, do wymuszania na organach ustawodawczych państwa stanowienia aktów prawnych, które przymuszają społeczeństwo pod groźbą sankcji, do przestrzegania prawa narzuconego przez wszechmocny Episkopat. Nie jest to nic innego jak powrót do średniowiecznej polityki nawracania pogan i innowierców ogniem i mieczem, tylko w łagodniejszej, współczesnej formie. Istnieje wystarczająco dużo dowodów na to, że nie da się jednak zapanować nad duszą ludzką przy pomocy ustaw sejmowych i państwowych sankcji. Wydaje się, że z lepszym skutkiem można by nauczać lud boży własnym przykładem, wyrzeczeniem się władzy, bogactwa i luksusu, służeniem Bogu i ludziom zamiast mamonie i żądzom. Tylko czy współczesny Kościół, który jest częścią hołdującego konsumpcji dzisiejszego świata, stać na to? **Ad augusta per angusta.**

Balans na deptaku

A.D.09.12.2010

Wieść gminna niesie, że kiedy Pan Bóg stworzył świat podzielił go na krainy, które przydzielał kolejno narodom, zabiegającym o najbardziej dogodne do zamieszkania miejsca na ziemi. Polacy klóćąc się zawzięcie nie potrafili uzgodnić wspólnej propozycji zostało, więc im za karę przydzielone siedlisko, przez które miały potrzebę przemieszczać się inne narody. Od tej pory Polska pełniła przemiennie rolę pola manewrów i bitew dla obcych armii, bądź gościńca dla szukających lepszego życia wędrowców. Położenie geograficzne przez całe tysiąclecie determinowało dzieje naszego narodu, ale jakieś przekleństwo musi też wisieć nad Polakami skoro za każdym razem, kiedy zabraliśmy się do budowania solidnych zrębów państwowości nadszła jakaś nawałnica, po przejściu, której pozostawały na naszej ziemi ruiny i zgłiszcza. Hasały tu wojska tatarskie, tureckie, wołoskie, szwedzkie, ruskie, pruskie i francuskie. Wypychali nas na wschód niemieccy osadnicy. Szarpali na kresach Kozacy. Decydowali o naszych losach mocarze w Wiedniu, Wersalu, Jałcie, Moskwie i Poczdamie. Prawem kaduka trzech cesarzy podzielili nasz kraj między siebie. Powtórzyli ten haniebny czyn Hitler i Stalin, najwięksi zbrodniarze wszechczasów, a koniec wojny między nimi przyniósł nam niemal pół wieku sowieckiego zniewolenia.

Nie jest, więc łatwo Polakowi być dyplomatą na deptaku, skoro przepychający się przechodnie pozbawiają go znamion godności. Wielkim osiągnięciem było wejście do NATO i Unii, równoznaczne z zakotwiczeniem kraju w najlepszym towarzystwie tego świata. Niestety kolejne polskie rządy i prezydenci popełnili mnóstwo błędów typowych dla wychodzących przed szereg neofitów. Zapomnieli, że w polityce nie należy kierować się emocjami. Churchill mówił, że Anglia nie ma wiecznych przyjaciół i wrogów, tylko wieczne interesy.

Niestety ciesząc się z niespodziewanej roli ważnego asystenta Ameryki, polscy przywódcy o naszych interesach najwyraźniej zapomnieli. Pierwszą poważną nauczkę od Amerykanów otrzymali Polacy, w zamian za swoje zaangażowanie w Iraku, gdzie miały na nas czekać intratne naftowe kontrakty. Tymczasem amerykańskie obietnice okazały się tak samo realne, jak miraż widziane na irackiej pustyni. Nie znaczy to wcale, że błędem było wysyłanie tam polskiego wojska, skoro wszystkim wiadomo, że powstrzymywanie terroryzmu z dala od zjednoczonej Europy, jest bardziej racjonalne niż walka z nim na własnym podwórku. Nie bez znaczenia jest też dla naszego bezpieczeństwa możliwość przetestowania pododdziałów armii w prawdziwej, współczesnej wojnie, bo jak wiadomo wojsko w koszarach gnuśnieje, traci walory operacyjne i bojowe. Należało natomiast zabezpieczyć sobie wcześniej rekompensatę odpowiednią do poniesionego wysiłku zbrojnego. Tak się nie stało, a w dodatku na kpinę zakrawa utrzymywanie wiz wjazdowych do Stanów dla Polaków mimo tego, że obywatele wszystkich innych państw Unii dawno już tych wiz nie potrzebują. Jeszcze większy serwilizm wobec USA prezentowali bracia Kaczyńscy, wierząc ślepo w dobre intencje mocarstwa, którzy w świetle publikacji depesz dyplomatów amerykańskich ujawnionych przez Wiki Leaks, dali się zachęcić do psucia interesów rosyjskich w strefie obejmującej kraje dawnego imperium sowieckiego. Polityka, jaką prowadził prezydent Lech Kaczyński, zresztą na ogół alternatywna wobec działań rządu, zbyt daleko wykraczała, poza zaangażowanie konieczne dla ochrony naszych interesów i zakończyła się kompletnym fiaskiem. Upadły plan zorganizowania bloku państw postradzieckich prowadzących niezależną od Rosji politykę energetyczną. Nie działa rurociąg Odessa- Brody- Gdańsk. Kosztownym niewypałem okazał się zakup litewskiej rafinerii Możejki. Polska mniejszość na Litwie nadal boryka się z dyskryminacją, a z entuzjazmem popierany w Polsce Juszczenko w beznadziejny sposób stracił władzę na Ukrainie, lecz zdążył jeszcze przyznać tytuł bohatera Banderze, katowi 100 000 Polaków zamordowanych przez UPA na Wołyniu. W wyniku tych nieprzyjaznych dla Rosji kroków i zbliżenia z Gruzją, Polska została na własne życzenie kompletnie wyrugowana z wielkiego i rozwojowego rynku. Z powodu zbyt dużego w porównaniu do dużych krajów unijnych naszego zaangażowania, w powstrzymywanie rosyjskiego niedźwiedzia, pozostajemy z ogromnym deficytem w bilansie handlowym z naszym wschodnim sąsiadem, dostarczającym nam gros surowców energetycznych. Tymczasem nasz amerykański sojusznik osiągnąwszy swoje cele, dzięki między innymi działającej na przedpolu odnawiającego się rosyjskiego imperium Polsce, bezprecedensowo zbliżył się do Moskwy, dając nam bolesnego kuksańca rezygnacją z lokalizacji w naszym kraju elementów tarczy antyrakietowej. Dopelnieniem upokorzenia było zignorowanie rocznicowych uroczystości na Westerplatte i oficjalne powiadomienie o zerwaniu umowy w sprawie owej słynnej tarczy w dniu 17 września, dokładnie 70 lat od dnia napaści sowieckiej na nasz kraj. Po latach niezachwianej, ślepej wiary w Amerykę obudziliśmy się z ręką w nocniku. Kłania się, więc stara maksyma: Nie szukaj wroga blisko a przyjaciół daleko. Wprawdzie dzieli nas z Rosją otwarty jeszcze rachunek wyrządzonych nam krzywd, ale od Kremla zaczyna wiać nieco cieplejszy wiatr, trzeba, więc tę odwilż wykorzystać do ułożenia sobie lepszych stosunków, z potężnym sąsiadem, poprawiając jednocześnie relacje z USA. Non scholae sed vitae discimus.

Dramat wyboru A.D.16,12.2010

Był mroźny i śnieżny grudzień 1981 roku. Po blisko pół wieku bolesnych eksperymentów na żywym ciele narodu, drżał w posadach na naszych oczach system społeczno-gospodarczy, dumnie ogłoszony ustrojem sprawiedliwości społecznej. Ten system, który w założeniu genialnych ideologów miał zapewnić ludzkości, po wszystkie czasy niczym nieograniczony dobrobyt. Mimo buńczucznych zapowiedzi, szczerze rozdawanych obietnic, nagłaśniania nielicznych, autentycznych sukcesów, oraz głębokiego skrywania o wiele liczniejszych porażek, nie udało się. Kraj ogarniała pełzająca rewolucja. Trwająca wiele miesięcy fala strajków i eskalacja żądań płacowych doszczętnie wyniszczyła słabnącą z dnia na dzień gospodarke. Każdy, kto żądał więcej, większy zyskiwał poklask i podnosił poprzeczkę społecznych oczekiwań, na poziom pozostający w sferze niemożliwych do spełnienia marzeń. Z dnia na dzień radykalizowała się postawa czołowych przywódców Solidarności. Na naradzie w Radomiu Wałęsa zapowiadał targanie się z władzą po szczękach, Nikt już nie panował nad postępującą anarchią. Na większość funkcjonariuszy wszechobecnej dotąd i wszechwładnej partii komunistycznej padł blady strach. We wtorek 8 grudnia zaśnieżona Warszawa szokowała mnogością antykomunistycznych napisów na murach. Telewizja kłamie – informowały przyjezdnych liczne graffiti. Najbardziej widoczne było jednak hasło Solidarność. Przyciągało wzrok ostrą czerwienią farby. Widniało na murach, przystankach w rządowych gmachach, a nawet na korytarzu przed wejściem do gabinetu ministra. - Rząd chce zagłodzić naród. - Ukrywa żywność, żeby głodni ludzie zwrócili się przeciw walczącej Solidarności – głosiły wypisane hasła, których już nikt nie ścierał, nie zrywał i nie polemizował z nimi w rządowych mediach. Ta bezradność reżymu wyglądała na mocno podejrzaną. Czulo się, że to może być cisza przed burzą. W sklepach można było zdobyć tylko chleb i mleko. W przydrożnych gospodach zabrakło nawet zwykłej wódki, a za szybą chłodniczej lady tkwiła smętnie trzęsąca się galaretką. Wysocy urzędnicy ministerstwa karnie czekali w bufetowej kolejce na skromne kanapki śniadaniowe. Dla spóźnionych zostało już tylko drożdżowe ciasto. Minister Rolnictwa Jerzy Wojtecki przyjął mnie w gabinecie, w towarzystwie kilku dyrektorów departamentów. Towarzyszyli mi: Stanisław Boczek sekretarz Komitetu Wojewódzkiego partii i wicewojewoda Franciszek Jaciubek. Było to pierwsze z zapowiedzianych kilku spotkań na rządowym szczeblu. Następnym rozmówcą miał być generał Czesław Piotrowski - Minister Górnictwa i Energetyki. Wyglądało na kuriozum, że mnie opozycjonistę porywającego się na wymuszenie zmian, w uchwale Rady Ministrów powołującej do życia potężny kompleks paliwowo-energetyczny, pomagali funkcjonariusze reżymu, którzy załatwili mi spotkania z najwyższymi dostojnikami w państwie. To już nie byli ci dawni, niedostępni dygnitarze. Osobiście przekonałem się, że znajdująca się pod silną społeczną presją władza, była wtedy otwarta na konstruktywne rokowania z opozycją na każdy temat, no może z wyjątkiem zerwania zależności od Związku Radzieckiego i opuszczenia obozu państw socjalistycznych. To była nowa, jakość, u tych dogmatyków jeszcze wczoraj ślepo kierujących się marksistowsko-leninowską doktryną. Nie ulegało wątpliwości, że to Solidarność wydostawszy się spod wpływu tonującego nastroje społeczne Kościoła, otwarcie dąży do totalnej konfrontacji. Świadczyło o tym fiasko mediacji

prymasa Józefa Glempa na spotkaniu Wałęsy z Jaruzelskim i odrzucenie prośby generała o dziewięćdziesiąt spokojnych dni. W grudniowym, mroźnym powietrzu wisiała zapowiedź jakiegoś kataklizmu. Mimo tych niepokojących zwiastunów ogłoszenie stanu wojennego było dla mnie szokiem, a ascetyczny generał jawił mi się podstępny zdrajcą. Z upływem czasu, po odtajnieniu, niektórych ważnych informacji zrozumiałem, przed jakże dramatycznym wyborem musiał wtedy generał stanąć. Mógł biernie czekać na bieg wydarzeń, które potoczyłyby się jak w kalejdoskopie. Lada dzień mogły wystąpić przerwy w dostawach ciepła i prądu, paraliż transportowy i głodowe rozruchy. Partyjny beton zaczynał groźnie pomrukiwać. Prośba z ich strony o bratnią pomoc towarzyszy radzieckich była już tylko kwestią czasu. Nie zdarzyło się, bowiem dotąd, żeby Sowieci zawahali się przed krwawą interwencją w swojej strefie wpływów, jeśli ich hegemonia została poważnie zagrożona. Nie było żadnych przesłanek, że Moskwa tym razem zachowa się inaczej. Władcy z Kremla nie mogli pozwolić, żeby rewolta nad Wisłą odcięła im drogę do baz własnej armii, stacjonującej w zachodniej Polsce i Niemieckiej Republice Demokratycznej. Nie zdarzyło się nigdy jeszcze **w historii, żeby mocarstwa ościenne pozostawały obojętne wobec postępującej anarchii** u swoich sąsiadów. W obliczu tylu realnych zagrożeń stojący na czele państwa człowiek musiał podjąć jakieś kroki, które przywróciłyby ład społeczny w kraju. Każde działanie ma jednak swoją cenę, często wysoką. Jak świat światem suwerenom zdarzało się podejmować decyzje, które osiągały zamierzony cel za cenę przelanej krwi. Nie inaczej bywało w Polsce. Dlatego generał sięgając po wojsko, swój ostatni atut w tej dramatycznej grze, musiał liczyć się z tym, że może spaść na niego odium krwawego dyktatora i cokolwiek by nie zrobił, nie uniknie odpowiedzialności za zło, które się wydarzy. Ostatnim atutem, jaki posiadał była armia, a wprowadzenie stanu wojennego jednym ratunkiem przed dziejowym kataklizmem. Perfekcja, z jaką go zaplanował i wprowadził zadziwiła zagranicznych strategów i analityków. Grudniowa, sroga aura pomogła Wojciechowi Jaruzelskiemu ostudzić gorące głowy rewolucjonistów, a wystąpienie prymasa stonowało konfrontacyjne nastroje wywołane wyjściem żołnierzy na ulice miast. Niestety bez przelewu krwi się nie obyło. Może to była cena za późniejsze pokojowe odzyskanie wolności? Odsądzany od czci i wiary generał zapisał się jednak także pozytywnie w annałach historii, jako ważny uczestnik procesu demokratycznych przemian i być może w ten sposób zmazał w oczach Opatrzności swoje wcześniejsze winy. Dlatego powinna się wstydzić swojego zachowania, ta żalosna zbieranina rzucająca obelgi pod jego domem, złożona ze spóźnionych o dziesięciolecie pogromców komunizmu, trawionych nienawiścią dziennikarzy, pazernych bufonów i zwykłych łobuzów.

Nolite iudicare, ut non iudicemini.

Ucho igielne
A.D.23.12.2010

Boże Narodzenie, to nie tylko czas radości z narodzin przyszłego Zbawiciela, ale też chwila refleksji nad wolą i nadzieją Boga Ojca, zsyłającego swego Syna między ludzi, żeby przez śmierć i zmartwychwstanie otworzył nam bramę niebios, którą lekkomyślnie sami przed sobą zatrzasnęliśmy. Warto o tym pomyśleć stojąc przed drzwiami do stajenki, gdzie w bydlęcym żłobie złożyła Bożę Dziecię Miriam, kobieta z żydowskiego rodu Dawida. Warto

się zastanowić, czego oczekiwała od nas ludzi Opatrzność, jakiej zmiany naszego ego w obliczu ofiary bez precedensu i powtórzenia. Zanim jednak ofiara się dokonała, Jezus podczas swojej wędrówki wśród ludzi obdarzył nas drogowskazami, których przestrzeganie ma zabezpieczyć każdego człowieka, przed zboczeniem z drogi zbawienia, na szlak prowadzący do wiecznej zguby. Czy dziś po upływie dwóch tysięcy lat od tej cichej nocy, kiedy anioł oznajmił pasterzom nowinę o przyjściu na świat Dzieciątka Jezus spełniłyśmy, choćby w jakiejś części nadzieje Wszechmogącego i przybliżyliśmy się, chociaż o krok do wzoru, próbując przynajmniej postępować zgodnie z nauczaniem jego Syna? Gdzie jesteśmy dziś, my uważający się za chrześcijan Polacy, a gdzie są namaszczeni przez Kościół następcy uczniów Jezusa? Oglądając się za siebie zobaczymy, że jesteśmy tak samo grzeszni jak wtedy, a następcy apostołów podobnie, jak wielu z nas zagubili się wśród beneficjentów konsumpcyjnego stylu życia. Czy miejsce ich jest w pałacach wyposażonych we wszelkie dobra goniącego za pieniądzem świata? Niestety nasi pasterze i przewodnicy duchowi wpisują się dziś, w wybudowany na podłożu chciwości system społeczny. Kościół w Polsce zagubił się już w ostatnich latach pontyfikatu Jana Pawła II. Wielka feta i triumfalizm papieskich wizyt w Ojczyźnie, nie przelożyły się na pogłębienie religijności wśród ludu bożego. Kler natomiast ohocho włączył się do podziału masy upadłościowej PRL- u siejąc zgorzenie przekrętami, dokonanymi na styku z Komisją Majątkową, rozpatrującą materialne roszczenia Kościoła.

Przedsiębiorczy proboszczowie uczynili z posług religijnych wysoko wyceniony towar sakralny, stosując stałą takse za odprawienie mszy, udzielenie ślubu, chrzest dziecka czy ceremonię pogrzebową. Niczym innym jak hipokryzją nie można tłumaczyć wymowę słynnego powiedzenia, „co łaska” na zapytanie wiernego o wysokość opłaty za posługę, gdyż formuła ta znajduje zastosowanie wyłącznie do ewentualnego podwyższenia ceny. Koszty finansowe towarzyszą katolikowi na styku z Kościołem od urodzenia aż do śmierci. Każda okazja jest dla księży dobra do zbierania jakiś datków, rzekomo na utrzymanie świątyni. Nawet obraz Matki Boskiej wędrujący z domu do domu przynosi dochód plebanowi. Nie sposób pominąć wysokich opłat za miejsce na katolickich cmentarzach i swoistym 10 % haraczu, od wartości wzniesionych na mogiłach nagrobków. Nie słychać przy tym, żeby którykolwiek z proboszczów i biskupów złożył swoim ofiarodawcom jakieś sprawozdanie, z dochodów i kosztów parafii czy diecezji, nie mówiąc już o jasnogórskich paulinach, którzy obracają krociami. Brak przejrzystości finansowej w Kościele jest jednym z największych jego grzechów. Widać kapłani nie czują potrzeby wykazania się gospodarnością w obracaniu darami wiernych i dochodami, jakie przynosi im kościelny majątek, a może mają coś wstydliwego do ukrycia. Innym nie mniejszym grzechem jest udział duchownych w zarządzaniu państwem. Formalnie rozdzielony, jest Kościół faktycznie częścią państwa i to nadrzędną w stosunku do innych jego organów. Politycy niezależnie od ideowej orientacji ścigają się w nadskakiwaniu Episkopatowi w spełnianiu jego życzeń i żądań. Dzieje się tak z przekonania, że wbrew duchowieństwu wyborów w Polsce wygrać się nie da. Tymczasem kler niezmiennie popiera partie i kandydatów o skrajnie prawicowych, ksenofobicznych czy wręcz fanatycznych poglądach. Ambony stały się miejscem otwartej przedwyborczej agitacji, a przykościelne kółka w założeniu mające pogłębiać wiarę ich uczestników, wykorzystywane są przez proboszczów do naboru aktywu pozyskującego głosy elektoratu, na wskazanego przez nich kandydata.

Prawdziwym chwastem zakorzenionym na kościelnej niwie jest radiomaryjna sekta Tadeusza Rydzyka. Propagandowa tuba ojca dyrektora dawno już zawładnęła umysłami proboszczów i stanowi dla nich codzienny instruktaż, jakie słowo mają głosić w swoich świątyniach. Potępiają, więc bezbożne ich zdaniem państwo rzekomo zbudowane na antywartościach. Ich zdaniem prawo w Polsce nie powinno być dziełem parlamentu tylko dziełem samego Boga, a zapominają o słowach Chrystusa, co nakazywał cesarskie oddać

cesarzowi, a co boskie Bogu. To z Torunia trafia na ambony i na katechezę fanatyzm, ksenofobia, antysemityzm i niechęć, a nawet nienawiść do myślących inaczej. Rocznicą narodzin Dzieciątka Jezus niesie jednak nadzieję na zmiany w duchu chrześcijańskiej miłości. Ta nadzieja zawarta jest we frazach listu ojca Ludwika Wiśniewskiego, w słowach księdza Kazimierza Sowy, ojca Pawła Gużyńskiego i wywiadzie księdza biskupa Tadeusza Pieronka, Niech sobie ich ozdrowieńcze słowa wezmą do serca wojowniczy księża, bo inaczej trudno in będzie precyzyjnie się przez owe ucho igielne. **Pax hominibus bonae voluntatis.**

Wirus chciwości A.D.05.01.2011

Boska Opatrzność w swojej niesłychanej dobroci obdarzyła duszę ludzką zespołem pozytywnych cech opartych, na bazie szlachetności, które miały przybliżyć człowieka do wizerunku samego Stwórcy, kształtując każdego z nas na jego wzór i podobieństwo. Wszecmocny zapewne osiągnąłby swój cel, gdyby wcześniej nie zbuntowały mu się anioły, które potraktowane przez Najwyższego, jako upadłe zostały strącone z nieba w jakąś głęboką otchłań, gdzie skupiły się wokół najsprytniejszego z buntowników, Szatana. Ten niesłychanie ambitny i mściwy Duch Ciemności podważając dzieło Boże, podstępnie zaszczerpił w duszy człowieka złośliwy wirus chciwości, który rozmnażając się metodą pączkowania i podziału, kieruje poczynaniami nosicieli, utrzymując świat w stanie permanentnego chaosu.

Właśnie, dlatego wszystkie systemy społeczne wymyślone do tej pory i wprowadzone w życie przez ludzi, już od zarania skażone są szatańską infekcją. Nie inaczej jest z kapitalizmem nadbudowanym liberalną demokracją, któremu drzwi do naszego kraju otworzył ruch ludu pracującego Solidarność. Podobnie jak w innych systemach społecznych, wszystko w odnowionej III Rzeczypospolitej się kręci, dwoi, troi a nawet dziesiąta wokół budżetu państwa. Ten twór finansowy zwany niegdyś skarbem państwa, przypomina wiecznie pusty worek bez dna, z którego każdy chciałby czerpać. Wszyscy jednak jak ognia unikają odprowadzenia doń należnej fiskusowi części dochodów. Nic, więc dziwnego, że budżet charakteryzuje się permanentnym deficytem, na którego pokrycie demokratycznie wybrana władza zaciąga coraz większe kredyty. Nieszczęściem dla finansów państwa jest krótkowzroczność i nieodpowiedzialność rządzących elit, które niezależnie od politycznej orientacji, w trosce o wysokość słupeków sondażowych, wypłacają więcej beneficjentom budżetu niż zdołają ściągnąć od płatników. Z tej prostej przyczyny, z chęci przypodobania się wyborcom, władnym odsunąć od rządów partię sprawującą władzę i dopuścić do rządzenia inne ugrupowanie, deficyt nabiera charakteru systemowego, jest zaprogramowany i odnawialny.

Niewydolność finansowa państwa nabrała cech systemowych, po wprowadzeniu w życie słynnych czterech wielkich reform, przez rząd koalicyjny Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności w latach 1997-2001, z premierem Jerzym Buzkiem na czele. Reformatorska inicjatywa rządu nie tyle wynikała z przyczyn merytorycznych, co z rewolucyjnej pasji

likwidacji wszystkich rozwiązań ustrojowych, które według napalonych reformatorów, jako skażone komunistyczną proveniencją, powinny natychmiast i na zawsze zniknąć z polskiego krajobrazu politycznego. Nie było siły, która mogłaby powstrzymać te nie do końca przemyślane i budzące sporo wątpliwości zmiany. Nielicznym i zresztą słabo brzmiącym głosem, wskazującym na brak merytorycznych przesłanek dla kierunku i sposobu proponowanych, przez AWS i Unię zmian ustrojowych zarzucano, że pochodzą od obrońców zbrodniczego komunizmu. I stało się. Domorośli reformatorzy zafundowali nam głębokie zmiany w wielu dziedzinach życia, z których najgorsze skutki społeczne przyniósł nowy podział administracyjny kraju. Nie wdając się w szczegóły, najbardziej kosztowne okazało się przywrócenie powiatów i powiatowej biurokracji. Tworzenie nowych struktur administracyjnych było korzystne dla postsolidarnościowych elit, które umacniały się obdarowując swoich zwolenników, utworzonymi właśnie stanowiskami i etatami w 350 powiatach i 16 Urzędach Marszałkowskich. W ciągu kilku lat liczba urzędników samorządowych zwiększyła się kilkakrotnie, a wynagrodzenia podwoiły się i nadal wzrastają znacząco rok do roku.. W tym samym tempie rosła administracja państwowa i podległe jej służby tylko po to, żeby usatysfakcjonować ciepłymi posadami etosowych kombatantów, rodziny i przyjaciół, oraz najgłośniejszymi krzyczącymi, świeżo nawróconymi zwolennikami nowego ładu. Ta administracyjna potęga pochłonęła dochody uzyskane ze sprzedaży zagranicznym koncernom państwowego majątku, stworzonego w PRL-u kosztem nędznego życia zdecydowanej większości Polaków.

Niestety wzrastał się ciągle apetyt biurokratycznego molocha, więc, żeby go zaspokoić trzeba było zaciągać nowe, coraz większe długi. Rozmnożono do granic absurdu fasadowe rady nadzorcze i zarządy państwowych spółek pasożytujących na majątku, którego jeszcze nie udało się sprywatyzować. Na koszty utrzymania administracji nałożyły się dodatkowo gratyfikacje świadczone kilkudziesięciotysięcznej armii radnych, którzy za udział w posiedzeniach nieetatowych przecież organów samorządowych, pobierają nieopodatkowane wynagrodzenia, często w wysokości średniej płacy krajowej. Zniszczono w ten sposób etos społecznego zaangażowania, co natychmiast zaowocowało patologią kupowania głosów wyborców, nierzadko za alkohol oraz wyparciem z rad epigonów szlachetnej idei poświęcania wolnego czasu na działanie dla dobra ogółu. Motorem społecznej aktywności stał się pieniądz, a udział w organach przedstawicielskich wszystkich rodzajów i stopni, sposobem na pozyskanie dodatkowych dochodów i uprzywilejowanej pozycji społecznej. Pozycji dającej dostęp do gabinetów nowych dygnitarzy rozdających apanaże i wystawiających przepustki na pokoje lepszej, uprzywilejowanej kasty. A to wszystko niestety kosztuje coraz więcej. **Qui tacet, consentire videtur.**

Polityczna katastrofa

A.D.13.01.2011

Wszystko układało się w logiczną całość. Bohaterski prezydent z grupą swoich sojuszników, trzymających władzę w państwach, wyrosłych po rozpadzie Związku Radzieckiego na dawnych polskich Kresach, wspierał bohaterską Gruzję w walce z odnawiającym się rosyjskim imperium. Mobilizował do tej walki postsowieckie republiki na Zakaukaziu, zadając w ten sposób dotkliwe ciosy Rosji, która zdaniem jego brata zabija i to nie pojedynczo. Nachrzaniał pilota, który odważył się odmówić lądowania w Tblisii i pozwolił wywieźć się na front secesyjnego konfliktu, wprost pod lufy karabinów separatystów, gubiąc po drodze ochronę BOR-u. Dał się w ten sposób wykorzystać przez sprytnego gruzińskiego sojusznika. Nieważne, że naraził siebie i kraj na śmieszność, bo mile łaskotała jego dumę każda przykrość, jaką zrobił władcom Kremla, jeśli udało mu się poczynić jakieś antyrosyjskie zamieszanie w dawnej, radzieckiej strefie wpływów, do której Moskwa nadal rościła sobie pretensje. Psując stosunki z głównymi państwami Europy opieszałością w składaniu podpisu pod Traktatem Lizbońskim, wszedł jednocześnie ponad głowami przywódców zachodnich w permanentny konflikt z Rosją. Za rządów braci Kaczyńskich nasze stosunki ze wschodnim mocarstwem były najgorsze, od odzyskania przez Polskę suwerenności. Musiało się to odbić handlowymi retorsjami eliminującymi praktycznie polski eksport do kraju, któremu musimy płacić bająnskie sumy za ropę i gaz. Polityka napinania mięśni przeciw Imperium Zła i próba budowy bloku antyrosyjskiego na zachodnich rubieżach, tego uzbrojonego po zęby mocarstwa atomowego, nadawała się wyłącznie na scenariusz do marnej operetki. U podłoża tej szkodliwej dla kraju gry leżała śmieszna megalomania, groteskowa buta i zupełne lekceważenie realizmu politycznego, a może nawet zwykła głupota. Takie numery nie przechodzą nawet w polskim społeczeństwie podatnym przeciw na spiskowe teorie, cudowne znaki Opatrzności i mniemanie o specjalnej atencji dla Polaków u samego Pana Boga. Szybko okazało się, więc, że bracia bliźniacy doszli do władzy przez nieporozumienie, na wywołanej sprytnie fali populizmu i obietnic bez pokrycia, Jarosław utracił, więc tekę premiera, zamotany we własne sieci, a Lech od początku swojej prezydentury cieszył się znikomym poparciem społecznym. Wojenka z Rosją toczona na bogoojczyźnianej płaszczyźnie, połączona z rozdrapywaniem dawno zabliznionych ran, a szczególnie zbrodni katyńskiej miała służyć reelekcji Lecha i powrotowi Jarosława na szczyt politycznej drabiny. Mocnym akcentem początkowym na drodze do restytucji IV Rzeczypospolitej Kaczyńskich miała być uroczystość katyńska. Ciosem dla tych planów okazała się jednak zapowiedź udziału w rocznicowych uroczystościach premiera Władymira Putina i wspólnego z polskim premierem złożenia hołdu pomordowanym przez MKWD polskim oficerom. Ta wiadomość eliminowała praktycznie z głównych obchodów skonfliktowanego z Moskwą Lecha Kaczyńskiego, a na to bracia bliźniacy zgodzić się nie mogli tracili, bowiem swoistą katapultę, która miała urzędującego prezydenta wynieść na pierwsze miejsce w przedwyborczych sondażach i stworzyć mu szansę do zachowania Pałacu na następne pięć lat. Kancelaria została, więc poderwana na równe nogi i zobligowana do zaplanowania alternatywnej uroczystości w katyńskim lesie, która miała przyćmić tę z udziałem premierów Polski i Rosji. Być może tak by się stało, gdyby do rywalizacji nie wtrącił swoje trzy grosze ślepy los. Resztę wiemy z raportu komisji badającej przyczyny tragicznego upadku prezydenckiego samoloty TU-154M, podczas próby lądowania na spowitym we mgle, prymitywnie wyposażonym lotnisku Smoleńsk-Północ. Po opóźnionym wylocie z Warszawy mimo ostrzeżenia o stanie pogody nad docelowym lotniskiem, wykluczającym bezpieczne lądowanie, działający pod presją piloci Tupolewa, mimo ostrzeżeń podjęli próbę lądowania popełniając szereg błędów, które nie powinny im się przydarzyć. Los jednak jest bezlitosny. Jeśli tylko może się stać coś złego na pewno się stanie. U podłoża smoleńskiej tragedii piętrzy się góra wzajemnej nienawiści, wyrrywających sobie styropianowy etos i szarpiących się o władzę kombatantów chwalebnych wydarzeń sprzed trzydziestu lat, dziś odcinających kupony od efektów spontanicznego zrywu

robotników, walczących o poprawę warunków życia. Dalej widać skutki nieładu społeczno-gospodarczego panującego w kraju gdzie rządzi powszechna chciwość, a pogoń za pieniądzem stała się celem nadrzędnym, Nieważne, że zgromadzenie na pokładzie jednego samolotu całego najwyższego dowództwa Wojska Polskiego i połowy krajowej elity politycznej, było szalenie nieodpowiedzialnym i lekkomyślnym krokiem godzącym w żywotne interesy państwa. Żądza władzy była silniejsza. Nic, więc dziwnego, że 10 kwietnia 2010 roku, w okolicach ukrytego w tumanie gęstej mgły Smoleńska, polska lekkomyślność i bałagan wsparte rosyjskim bardakiem i niechlujstwem wydały tragiczny plon. **Est modus in rebus/sunt certi denique fines/.**

Jacy jesteśmy?

A.D.20.01.2011

Wojna w wydaniu postsolidarnościowych elit toczona na rumowisku smoleńskim z szokującą masakrą w tle, dostarcza specjalistom od nauk społecznych, niebywałą ilość materiału poznawczego, do badań nad rzeczywistym, niezakłamanym obrazem polskiego społeczeństwa. Młyny nauki nieśpiesznie jednak działają. Zanim, więc z tej mąki będzie chleb każdy z nas, jako członek tej społeczności musi w oparciu o własne doświadczenia, wzbogacone argumentami toczącej się w mediach gorącej dyskusji, podjąć próbę zbudowania sobie na własne potrzeby modelu społeczeństwa, w którym przyszło mu żyć. W zamierzonych już czasach PRL-u, pod totalitarną pokrywką toczyła się nieustannie szeptana dyskusja polityczna. To, co zakazane nabierało z dnia na dzień szczególnej wartości i urastało do roli narodowego mitu. W ten sposób doszło wśród ludu do rehabilitacji skompromitowanych, po wrześnieowej klęsce prawicowych formacji politycznych, wydzierających sobie przed wojną władzę, w atmosferze potępieńczych swarów, prześladowań opozycji, a nawet krwawych zamachów i pacyfikacji. Zamach majowy jest wymownym przykładem rozlewu polskiej krwi przez Polaków. Dlatego jest kompletną bzdurą traktowanie krwawych represji wobec narodu, jako właściwości wyłącznie lewicowych reżymów. No cóż, tak to już jest, że dawny prześladowca wydaje nam się lepszy od tego, który aktualnie daje nam w skórę. Nic, więc dziwnego, że czując na plecach ubecki bat, szybko zapomnieliśmy o przedwojennym wyzysku żyjącego w biedzie społeczeństwa, przez pławiących się w luksusie kapitalistów i arystokratów, Poszła w niepamięć hanbiąca paniczna ucieczka prawicowego rządu i znacznej części elit, przed nadchodzącymi armiami wroga, Zapomnieliśmy o tym, że wódz naczelny pozostawiwszy walczącą armię, salwował się haniebną ucieczką z najechanego przez wrogów kraju, Zafałszowana legenda II Rzeczypospolitej, która przetrwała w komunistycznym zamrażalniku odżyła z całą siłą po upadku Związku Radzieckiego, żandarma utrzymującego w karności i posłuszeństwie cały obóz socjalistyczny.

Z braku nowoczesnej ideologii, solidarnościowy przewrót przywrócił do życia przedwojenne skamieniałości polityczne. Typowym przedstawicielem tego nurtu jest dzisiaj partia polityczna mieniąca się obłudnie Prawem i Sprawiedliwością. Kierownictwo tej populistyczno-demagogicznej formacji opiera się na tej części społeczeństwa, która pozostaje

skażona zbankrutowaną ideologią bogoojczyźnianą, wywodzącą się pachnącego stęchlizną zaścianka, opartą o mity i praktyki mrocznego średniowiecza. Wystarczył krótki pisowski epizod w rządzeniu państwem, żeby dowiedzieć się, iż owo prawo uderza w myślących inaczej, a owa sprawiedliwość znajduje zastosowanie do tylko do mniejszości społecznej, ślepo tkwiącej w wywodzących się z feudalizmu, miłych PiS-owi dogmatach. Trzeba pamiętać o korzeniach tej formacji, żeby zrozumieć zaciekłość, z jaką liderzy tej partii atakują rząd Platformy Obywatelskiej, który mimo obciążenia odpowiedzialnością za nietrafne kierunki i błędy transformacji, jest w tej chwili jedyną siłą, która próbuje iść w kierunku nowoczesności, modernizacji i postępu społecznego i chce związać Polskę na stałe ze Światem Zachodnim, który jest źródłem i motorem napędowym współczesnej cywilizacji. Partia braci Kaczyńskich wyrosła na glebie przesiąkniętej fanatyzmem, nietolerancją i ksenofobią i z tej przyczyny staje się dla demokracji niebezpieczna. Jej liderzy w zacierzwieniu budzącym się z poczucia misji w szerzeniu jedynie słusznych poglądów nie liczą się z nikim i z niczym. Sprawiają wrażenie, że może przyjść taki moment, kiedy nie zawahają się użyć wszelkich, dostępnych środków, żeby osiągnąć swój cel. Tym celem jest zdobycie władzy i urządzenie ładu społecznego na wzór i podobieństwo totalitarnych prawicowych reżymów wyznaniowych. Jarosław Kaczyński, kiedy z sejmowej trybuny nie waha się zarzucać przeciwnikom politycznym zdrady polskich interesów czuje wsparcie swoich podatnych na tanią demagogię wyborców i podtrzymuje ich w ten sposób w stanie permanentnego wrzenia i gotowości do kolejnego marszu z pochodniami na Krakowskie Przedmieście w celu przygotowania do odzyskania pod znakiem krzyża Prezydenckiego Pałacu. Idąc na ich czele przeistacza się groźnego awanturnika zdolnego podpalić kraj. Pozbawiony wsparcia fanatyczno-religijnego bloku jest tylko małym zakompleksionym człowiekiem, który zbiegiem szczególnych okoliczności zyskał nienależne mu znaczenie. Ne sutor supra crepidam!

Rachunek sumienia

A.D.27.01.2011

Dawno już cywilizowany, zachodni świat porzucił doktrynę o odpowiedzialności sprawującego władzę suwerena przed Bogiem i historią. Wychwalana przez siły polityczne narodo-zachowawcze, przedwojenna konstytucja kwietniowa w ten sposób definiowała odpowiedzialność prezydenta II Rzeczypospolitej, który zakończył swoją misję w obliczu totalnej klęski poniesionej we wrześniu 1939 roku, połączonej z niesławną rejteradą za granicę, najwyższych dygnitarzy upadłego w jednej chwili, butnego wcześniej państwa. Jak widzimy historia obeszła się z nimi łaskawie, przywracając po półwieczu peerelowskiej banicji do narodowego panteonu. Tyle osądu historii, a wyroki sądów boskich nie zostały jeszcze oficjalnie ogłoszone. Nie pierwsze to świadectwo bezsilności Temidy wobec władzy, dlatego lud musi, co jakiś czas brać jurysdykcję w swoje ręce, wymierzając często dotkliwie kary, bez wcześniejszego ogłaszania wyroków. Dotyczy to szczególnie tych władców, którzy dostatecznie długo sprawują pełnię władzy, żeby zdążyła osiągnąć masę krytyczną wielkość nieudacznictwa, niedotrzymanych obietnic i zwykłych niegodziwości. Tak się składa, że od

ponad dwudziestu lat władzę w Polsce sprawują postsolidarnościowe elity, z przerwami dla rządzącej w podobnym stylu i z tym samym skutkiem postkomunistycznej socjaldemokracji.

Na drodze powrotnej do kapitalizmu towarzyszyły nam zaserwowane przez nowe władze dwie fale reform, które niczym tsunami zburzyły zręby starego porządku czyniąc tyle samo dobrego, co złego. Zgodnie z porzekadłem, że sukces ma wielu ojców a porażka jest sierotą kolejne rządy uprawiały piarowską propagandę sukcesu. Nikt natomiast nie chciał wziąć na swoje barki niemałego bagażu niepowodzeń. Długo można by wymieniać negatywne skutki eksperymentalnego majstrowania przy gospodarce. Nie sposób jednak nie wspomnieć o beztróskim zniszczeniu całych branż przemysłowych, wśród, których likwidacja potężnej gospodarki morskiej i kompletny upadek przemysłu włókienniczego, oraz porzucenie budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu, to tylko trzy przypadki z długiej listy niechlubnych dokonań zadufanych w sobie reformatorów. Nowi animatorzy życia gospodarczego postawili z braku spójnej koncepcji przemian, na deregulację gospodarki narodowej, która w ich założeniu miała przynieść na gruzach systemu nakazowo-rozdzielczego wyzwolenie inicjatywy, owocującej powstaniem tysięcy nowych podmiotów gospodarczych, dźwigających w szybkim tempie dochód narodowy na wyżyny, dzięki eksplozji wzrostu gospodarczego. W efekcie tej beztróskiej zabawy uprawianej pod hasłem, że najlepszą polityką przemysłową jest brak polityki przemysłowej, a panaceum na wszystkie bolączki szybka i kompletna prywatyzacja, owa deregulacja poszła tak daleko, że niemal z dnia na dzień przybyło kilka milionów bezrobotnych, którzy gładko przeszli na garnuszek ZUS-u i rozbudowanej w pośpiechu sieci ośrodków pomocy społecznej. W tym miejscu trzeba szukać początku całej serii zagrożeń dla systemu emerytalnego, który nie był w stanie wchłonąć armii pozbawionych pracy przez rząd, młodych emerytów i jeszcze młodszych, ratujących się przed koniecznością korzystania z kuchni brata Alberta, przymusowych rencistów. Tutaj też należy szukać jednej z głównych przyczyn permanentnego deficytu finansowego i potężnego bodźca wzrostu długu publicznego. Godzi się przypomnieć o roli w tych przemianach profesora Leszka Balcerowicza, głównego architekta nowego ładu, a może chaosu gospodarczego, który teraz bez pardonu krytykuje obecny, neoliberalny rząd powoli zawracający z drogi, bezkrytycznej afirmacji tezy o nieograniczonej zdolności rynku do samoregulacji. Na zabrakło udziału charyzmatycznego profesora, piewcy dobrostanu wyrastającego z samych rzekomo dobrodziejstw, płynących z prywatyzacji w drugim etapie reformowania, podjętym przez rząd Akcji Wyborczej Solidarność, kierowany przez Jerzego Buzka, a nadzorowany przez związkowego guru Mariana Krzaklewskiego. Słynne cztery wielkie reformy tego rządu pogłębiły chaos gospodarczy w kraju i nadały nowy impuls wzrostowi zadłużenia, zaczynającemu grozić załamaniem się finansów państwa. O reformie samorządowej, która wygenerowała drenującą budżet gigantyczną administrację już pisałem. Nie od rzeczy będzie przypomnieć też o wstydliwie dziś przemilczanych obietnicach złotej jesieni, dla beneficjentów tak zwanego drugiego filara ubezpieczeń, mających wypoczywać sobie w ciepłych krajach po życiowych trudach. Zupełnie niedawno podobne obietnice o wypoczynku dla Polaków na egipskich i tunezyjskich plażach składał prezes największej opozycyjnej partii. Tymczasem licznik długu publicznego tyka nieubłaganie i rosną wciąż obszary chaosu gospodarczego, mającego ważne źródło w bylejakości i lukach tworzonego and hoc przez parlament prawa. Może, więc nadszedł czas na rachunek sumienia dla postsolidarnościowych elit, żeby uprzedzić wielce prawdopodobny gniew ludu, który w odróżnieniu od Boga i historii rzeczywiście może rozliczyć suwerenów, a czyni to dość często boleśnie. Tym bardziej, że styropianowy etos zaczyna toczyć od środka rak, pod postacią fanatycznej sekty smoleńskiej. **Gravioira manent.**

Syndrom Stokłosa

A.D.03.02.2011

Po dwudziestu latach transformacji ustrojowej państwa niewiele nam już pozostało widocznych znaków poprzedniego systemu. Zmiany w bazie i nadbudowie wymusiły również przemiany społecznej mentalności. W dzisiejszej Polsce, kramarzy i oszustów, w kraju ogłupionym agresywną i bezczelną reklamą medialną, niewiele ostało się ludzkiej rzetelności, która wsparta na etycznych filarach czuwała, żeby należne dać rzeczy słowo. Wprawdzie nadal dumnie brzmią słowa: senator Rzeczypospolitej, ale znamion wielkości nie w nazwie trzeba szukać, a w treści. W chwili ponownego wyboru do Senatu ściganego przez prawo Henryka Stokłosa, zamknął się pewien etap psucia społeczeństwa polskiego wciągniętego w tryby globalnego systemu, opartego na wyniesieniu ludzkiej chciwości do rangi motoru napędowego światowej, oszalałej konsumpcji, a bogacenia się do najważniejszych życiowych celów. Widać dziś jak na dłoni, że wynoszona pod niebo przez media zachodniego świata liberalna demokracja, okazała się być wylęgarnią i hodowlą politycznych i moralnych karłów. Świat aż roi się od spektakularnych przykładów lekceważenia przez polityków, uważających się za demokratów, podstawowych norm moralnych i dobrych obyczajów. Przykro patrzeć jak z roku na rok ten bezideowy i areligijny system pochłania nasz kraj. W kotle kramarskiej mentalności prawie wszystko nabiera cech towaru, a to, co nie mieści się w tej kategorii odrzucane jest na społeczny margines, przeznaczony dla dziwaków i autsajderów. Karta wyborcza, która miała być symbolem i atrybutem podmiotowości i godności obywatelskiej stała się jednym z wielu kuponów, który tak jak inne można wymienić na towar.

Odkąd wybrańcom zasiadających w państwowych i samorządowych organach władzy zaczęto płacić, coraz większe pieniądze za sprawowanie społecznych dotąd funkcji, a dostęp do rządu zaczął procentować wieloma innymi profitami, ruszyła na listy wyborcze potężna armia amatorów konfitur, skutecznie usuwając z pola zarządzania miastem i wsią, państwem i regionem, ludzi dysponujących nie tylko wiedzą, ale też zdolnością do myślenia kategoriami interesu publicznego. Ich miejsca zajęli cwaniacy kierujący się wyłącznie własnym interesem. Skoro mandaty parlamentarzystów i radnych stały się poszukiwanym towarem uzyskały również cenę na rynku, jako nowego rodzaju niematerialne produkty, przynoszące jednak całkiem wymierne materialne korzyści. Zapłata za znak ułatwiający zdobycie przepustki do gremiów rozdzielających dobra, została wyszacowana w miejscach pracy, pieniądzach i alkoholu. Zaczęło się na dobre już na przełomie wieków. Najpierw nieśmiało w małych wiejskich obwodach oddalonych od głównych gminnych szlaków. Po nocnej libacji wkraczała do lokalu wyborczego pijana horda. Pobrane od komisji karty wyborcze wypełniał przewodnik stada i wrzucał do urny na oczach oniemiałych ze zdumienia członków komisji wyborczej. Z wyborów na wybory rynek obrotu głosami wyborców doskonalił się. Nieoczekiwanie wzrosło znaczenie środowisk patologii i mętów społecznych. W dniach wyborczych stają się oni godnymi szacunku obywatelami, dowożonymi do lokali wyborczych, przez kandydatów na radnych lub członków rodzin przyszłych wójtów i burmistrzów małych miasteczek. W drodze powrotnej dowozi się ich do zakamuflowanych melin z alkoholem niewiadomego pochodzenia i wyżerką. W średniej wielkości miastach głosy kupują się raczej za pieniądze, a w metropoliach działa pajęczna sieć utkana przez wpływowych ludzi biznesu, zainteresowanych przepchnięciem do władz posłusznych sobie

ludzi. To ostatnie działanie ma już charakter mafijny. Mam niechcianą satysfakcję z wczesnego rozpoznania skutków tej nowej, pozbawionej cech interesu publicznego zabawy w demokrację. Korzystając z własnych doświadczeń i obserwacji napisałem książkę pod znamienym tytułem „Kasa chorych”, gdzie na konkretnych przykładach pokazałem degrengoladę samorządowych władców, którzy kupując sobie mandaty w organach gmin, nie czuli się już odpowiedzialni przed swoimi wyborcami, którym przecież zapłacili za przysługę. Sprawując zakupioną za jakieś marne grosze władzę, skupili swoją uwagę i starania na trosce o korzyści, jakie mogą odnieść z racji uprawnień nabytych, podczas przeciskania się przez wyborcze sito, na przeznaczone dla władzy fotele. Tu trzeba właśnie szukać jednego z najważniejszych źródeł korupcji niszczącej państwo polskie. Dziś kwitnący proceder marketingu wyborczego, nabiera niejako formy instytucjonalnej, skoro bezkarnie można handlować wyborczymi kartami. Udowodnił to biznesmen Stokłosa, który butny siłą posiadanych pieniędzy i dojsz do funkcjonariuszy państwowych najwyższej rangi, nie raz na oczach wszystkich łamał bezkarnie prawo, a w efekcie zamiast w więzieniu zasiadł w senatorskich ławach. Na podstawie tego wyrazistego przykładu kupczenia obywatelską godnością można śmiało powiedzieć, że nie pieniądze są w służbie demokracji, lecz demokracja bezwstydnie służy mamonie. Nikt nie może podważyć tej konkluzji, po tym jak senator Stokłosa zakpił sobie publicznie z rzekomego państwa prawa. **Perditissima respublica plurimae legis.**

Parada oszustów A.D.10.,02.2011

Każda rewolucja burzy swoją Bastylię i niczym z puszką Pandory, uwalnia z za jej murów nie tylko twórczych reformatorów, ale też siły destrukcyjne trzymane dotychczas w ryzach totalitaryzmu. Łamiąc rygle obalonego systemu społecznego likwiduje też, albo przynajmniej osłabia bariery obyczajowe, stwarzając wolne pole dla anarchizacji życia politycznego i społecznego. Wezwanie płynące od nowych elit, żeby brać sprawy w swoje ręce trafiło na podatny grunt i zaowocowało tysiącami pomysłów na zdobycie mamony. W upadłym systemie społecznym obywatel miał dwie możliwości, żeby wspiać się na nieco wyższy poziom konsumpcji. Mógł próbować przy pomocy serwilizmu i hipokryzji próbować zwiększyć swoje szanse na społeczny awans, aż do zasilenia szeregów płatnych donosicieli, albo szukać szczęścia w przestępczym procederze, Trzecia droga do umiarkowanego wzbogacenia się nazywana szarą strefą, była dopiero w powijakach i miała niewielki wpływ na życie społeczno-gospodarcze kraju. Po solidarnościowym przewrocie wszystko diametralnie się zmieniło. Szara strefa z roku na rok obejmowała coraz ściślej swoją pajęczą siecią życie gospodarcze kraju. Pierwszym sygnałem wysłanym do raczkujących przedsiębiorców krajowych i zagranicznych inwestorów, było zlikwidowanie przez solidarnościowe władze wydziałów PG, czyli specjalnych komórek do zwalczania przestępczości gospodarczej w komendach policji. -Wszystko, co nie jest zabronione (prawem) jest dozwolone- tym hasłem zwolniono potencjalnych przedsiębiorców od przestrzegania niepisanej zasady rzetelności, która przez całe wieki przyświecała wytwórcom

dóbr spychając hochsztaplerów gospodarczych na społeczny margines. W nowym ładzie a może bezładzie społeczno-gospodarczym, importowanym z Zachodu przez solidarnościowe elity, ów margines szybko przeistoczył się w potężny potencjał wytwórczo-handlowy. Zatrudniający wysokiej klasy specjalistów do fałszowania towarów, speców od marketingu pomagających wciskać klientom kit zamiast prawdziwego produktu, oraz całe brygady prawników, którzy w tradycyjnym rozumieniu tego słowa powinni stać na straży prawa, a konstruuja za duże pieniądze, na zlecenie nieuczciwych producentów i handlowców zabezpieczenia prawne, chroniące przed odpowiedzialnością za oszukańcze praktyki. Zamiast towarów z prawdziwego zdarzenia tak zwany wolny rynek oferuje nam marne substytuty, ale za to w kuszących oko eleganckich opakowaniach, zachęcających do kupna ukrytych w nich marnej, jakości produktów. W oszołamiająco oświetlonych ladach chłodniczych wykonanych ze szkła i chromowanej stali, wyklada się bajecznie szeroki wachlarz wędlin i wyrobów wędliniarskich, w których prawdziwe mięso jest tylko dodatkiem do wypełniaczy i chemicznych składników nadających trwałość, smak, a przede wszystkim budzący apetyt wygląd. Przy okazji aplikuje się substancje wiążące wodę i zwiększające przez to objętość i wagę produktu. Zresztą samo mięso naszpikowane jest antybiotykami i stymulatorami wzrostu jeszcze za życia zwierzęcia, żeby utrzymać go przy życiu i zapewnić optymalne przyrosty masy mięsnej, przy niesłychanym zagęszczeniu obsady zwierząt w budynkach służących do tuczu, a urągających wszelkim normom sanitarnym i humanitarnym zasadom. To samo dotyczy pozostałych działów produkcji żywności: Nadmuchanego pieczywa, serów twardych z dodatkiem olejów, owoców i warzyw naszpikowanych herbicydami i pestycydami, oraz pędzonych nadmiarem związków azotowych, podawanych do gleby bądź do liści roślin. Nie da się wymienić w krótkim felietonie choćby najważniejszych fałszerstw producentów i handlowców, bo jest to zjawisko wszechogarniające i stosowane powszechnie, bo producent, który chciałby wytwarzać towar spełniający normy przyzwoitości, nie wytrzymałby konkurencji ze strony oszustów. Zjawisko fałszowania obejmuje dziś wszystkie dziedziny życia społecznego..Lekarze oferują nam w ramach ubezpieczenia namiastkę leczenia, zapraszając na skuteczną walkę z chorobą do prywatnych gabinetów. Nauczyciele uczący marnie w państwowych szkołach zachęcają dziatwę i rodziców, do brania drogich prywatnych korepetycji. Idące już w setki prywatne wyższe uczelnie zamiast uczyć studentów na magistrów, produkują taśmowo dyplomy magisterskie i wręczają je swoim studentom za pieniądze płacone, jako czesne. Wyroby domowego użytku porażają swoją nietrwałością, bowiem produkowane są z myślą o szybkim zużyciu i rotacji generującej zapotrzebowanie na kolejne produkty przemysłowe. Cały ten kramarski rynek spaja w jedną całość oszukańcza, natrętna i niesłuchanie głośna reklama w mediach propagujących, za ogromne pieniądze wymyślne zachęty do udziału w oszukańczych grach, których organizatorzy jawnie wyłudniają od naiwnych ludzi ciężko zarobione pieniądze, A wszystko to funkcjonuje za sprawą gigantycznego zadłużenia państwa, samorządów, firm i zwykłych ludzi, Na tym potężnym zafałszowanym, współczesnym straganie żerują banki, które rozmnożyły się błyskawicznie niczym australijskie króliki. Taki jest dziś świat, **A capite and calcem.**

Szlachetne zdrowie
A.D.17.02.2011

Ten tylko się dowie, ile kosztujesz jak się zepsujesz – tak zapewne pomyślałby sławny Jan z Czarnolasu, gdyby w dzisiejszych czasach musiał korzystać z usług lecznictwa finansowanego przez Narodowy Fundusz Zdrowia. U schyłku PRL-u powszechna, bezpłatna służba zdrowia, naznaczona biurokratyczną skazą realnego socjalizmu, nie była w najlepszym stanie, dając powody pacjentom do utyskiwań. Narzekano głównie na rosnącą plagę łapownictwa wśród lekarzy, wykonujących w szpitalach skomplikowane operacje. Prywatne praktyki i płatne etaty w spółdzielniach lekarskich stanowiły jednak tylko margines opieki medycznej, dostępny lepiej sytuowanym, lub mocno zdesperowanym pacjentom. Transformacja ustrojowa zaowocowała powszechnym chaosem w służbie zdrowia. Trzeba było coś z tym zrobić, więc natchnieni reformatorzy z Akcji Wyborczej Solidarność działający pod egidą premiera Jerzego Buzka wymyślili cztery wielkie reformy, a wśród nich też nieudaną jak inne, reformę służb medycznych. W wyniku bałaganu spowodowanego powołaniem Kas Chorych wielokrotnie się zadłużyli szpitale, a dostępność przysługujących pacjentowi z tytułu ubezpieczenia usług lekarskich, pogorszyła się w niebywałym stopniu, zmuszając chorych do szukania ratunku w prywatnych gabinetach lekarzy. Głębokie zmiany w systemie zdrowotnym nie dla wszystkich okazały się niekorzystne. Prawie cały, znaczący przecież wzrost nakładów na lecznictwo został wpompowany w kieszenie lekarzy, którzy odgrywając główną rolę we wdrażaniu nowego systemu, skierowali zwiększony strumień środków finansowych na własne wynagrodzenia, a kiedy tego było im za mało nie zawahali się nawet opuścić na jakiś czas chorych.

Kolejne fale podwyżek płac zostały wymuszone przez pazernych medyków groźbą odejścia od łóżek pacjentów i pozostawieniu ich na pastwę losu, W rezultacie zarobki lekarzy wielokrotnie się w krótkim czasie, nieadekwatnie do stojących niemal w miejscu dochodów emerytów i rencistów, stanowiących zasadniczą część szeregów chorych, szturmujących publiczne placówki służby zdrowia. Przychodnie fortyfikują się przed pacjentami limitami przyjęć, wyznaczonymi na podstawie zakontraktowanych przez Narodowy Fundusz Zdrowia usług medycznych. Doszło już do tego, że na poradę u specjalisty, czy poważniejsze badanie przy użyciu specjalistycznego sprzętu, trzeba oczekiwać dłużej niż pół roku, co stawia pod znakiem zapytania jakąkolwiek skuteczność leczenia pozaszpitalnego, a skierowanie do szpitala można dostać tylko w nadzwyczajnych okolicznościach, kiedy życie pacjenta jest zagrożone. Zdarzają się nawet odmowy przyjęcia pacjentów z zawałem lub innym schorzeniem grożącym śmiercią. Na wykonanie niektórych operacji trzeba cierpliwie czekać nawet kilka lat, o ile zwłokę wytrzyma schorowany organizm pacjenta. Ci sami lekarze, którzy z braku limitów omawiają przyjmowania chorych w państwowych przychodniach, szeroko otwierają prywatne gabinety, gdzie za cenę od 100 do 300 złotych można uzyskać natychmiast pomoc, niedostępną w placówkach działających na kontrakcie NFZ. W ten sposób mieszkający w luksusowym domu i jeżdżący wypasioną bryką lekarz drenuje kieszeń ledwie wiążącego koniec z końcem, schorowanego staruszka, z którego harówki powstały za PRL-u setki szpitali, tworząc miejsca pracy dla dzisiejszych krezusów medycznych.

Wymyślając kretyńskie limity domorośli reformatorzy oddali znaczną część pacjentów opłacanych przez fundusz placówek, w ręce zachłannych na mamonę medyków, korzystających bezwstydnie w swojej prywatnej praktyce z w wyników badań i analiz, wykonanych bezpłatnie, na ich zlecenie przez państwowe szpitale i laboratoria. Nie przeszkadza w niczym ten chory system, uprzywilejowanej elicie trzymającej władzę, obsługiwaną i leczoną przecież, na specjalnych prawach poza kolejnością. Na porządku dziennym szerzy się nepotyzm przejawiający się w przyznawaniu szybkich terminów wizyt osobom wskazanym przez lekarzy, oraz rodzinom i znajomym pracowników służby zdrowia.

Na kuriozum wygląda sytuacja, kiedy na początku roku, w dniu rozpoczęcia zapisów do specjalistów, pierwsi w kolejce pacjenci uzyskują terminy dopiero w drugiej połowie roku, bo pierwsze półrocze jest już zajęte przez uprzywilejowanych. Przypomina to, jako żywo ostatnie lata upadłego socjalizmu, kiedy wszystkie deficytowe towary sprzedawano znajomym spod lady. Dziś jednak wygląda to znacznie gorzej, bo najbardziej deficytowym towarem stały się usługi medyczne, co nie miało miejsca nawet w wyśmiewanej dziś przez apologetów nowego systemu socjalistycznej rzeczywistości. Oczywiście wszystkie te dolegliwości nie dotyczą w żadnym stopniu wyhodowanej przez liberalny kapitalizm klasy nowobogackich, których stać na ratowanie zdrowia w najdroższych prywatnych klinikach, pod opieką najlepszych, zarabiających krocie lekarzy. Może już czas zatrzymać tę wyrastającą z rozpasanej chciwości ludzkiej, chorobę niszczącą zdrową dotąd tkankę społeczną. **Medice eura te ipsum.**

Stan nierównowagi

A.D.20.06.2011

Wszyscy ludzie byliby mniej więcej sobie równi, gdyby Zły Duch psujący na każdym kroku szyki Opatrzności nie zatrzał świadomości człowieka chciwością. Ta paskudna przypadłość była przyczyną pierwszej w dziejach rewolucji społecznej, której ofiarą padła wspólnota pierwotna. Wtedy po raz pierwszy, pragnienie posiadania wzięło górę nad potrzebą współdziałania, w zapewnieniu społeczności ludzkiej dostatku i bezpieczeństwa. Od tego, bezprecedensowego wydarzenia trwa nieustanny balans, którego celem jest utrzymywanie społecznej nierównowagi na poziomie, gwarantującym niedopuszczenie do powstania masy krytycznej grożącej wybuchem rewolucji. Chciwość jest stymulatorem nierównego podziału dóbr. Jej córki, bieda i bogactwo to główne siły kształtujące całą złożoność tego świata. Zadaniem globalnego establishmentu jest kontrolowanie społecznej nierównowagi na świecie. Służy temu system, który pomaga utrzymać w karności biedotę, kwestionującą nieustannie przywileje i dostatek bogaczy, oraz usiłującą powstrzymać, na ogół nieskutecznie pazerność posiadaczy dóbr. Świat wypełniony oceanem nędzy otacza wrogością i zawiścią nieliczne wyspy bogactwa. Bogacze brzydzą się biedą. Uciekają przed nią do własnych dzielnic mieszkaniowych, luksusowych kurortów, posiadłości niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. Bieda rozlewa się wokół nielicznych siedlisk szczęścia, wciskając się w każdą szczelinę, draży tunele i tysiącami przemysłnych sposobów sączy się nieustannie, przez zapory prawne, administracyjne i obronne, umieszczone na granicy stworzonego przez zachodnią cywilizację dobrobytu. Zbudowanego często na bezwzględnej eksploatacji i wyzysku społeczeństw, stojących na niższym szczeblu cywilizacji. Zarząd globalnej finansjery świadomy niszczącej siły zdeterminowanych nędzarzy, stara się utrzymać dysproporcje między poziomem życia w obu strefach na poziomie delikatnego przesiąkania, marzących o lepszym życiu imigrantów z krajów, leżących w bezpośrednim sąsiedztwie cywilizacyjnych centrów Zachodniego Świata. Jest jakaś forma sprawiedliwości dziejowej w tym naporze na przestrzeń dostatku, zdesperowanych mieszkańców dawnych kolonii, szturmujących nieustannie bariery, zagradzające im drogę do dawnych metropolii, które zbudowały u siebie dostatek kosztem bezwzględnego wyzysku ludności, skolonizowanej reszty świata. Nielegalna imigracja z krajów Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu stanowiła do tej pory wentyl bezpieczeństwa, kusząc mirażem lepszego życia najbardziej aktywną część społeczeństw, żyjącym w skrajnym ubóstwie. Tyle tylko, że dziesiątkom milionów ludzi wegetującym na pograniczu z bogatą Unią, przestało już wystarczać marzenie o podróży do

krainy dostatku. Zapragnęli bez dalszych płonnych oczekiwań zapewnić sobie lepszy byt u siebie w kraju, wystarczająco bogatym jeśliby tylko odebrać bajeczne majątki dyktatorom, od dziesięcioleci trzymających władzę przy pomocy aparatu represji i dzięki potędze armii. Rewolucja w regonie Morza Śródziemnego przenosi się z kraju do kraju korzystając z pośrednictwa cyberprzestrzeni. W erze triumfu globalnej informacji nie wiele znaczą graniczne kordony, straże i zasieki. Dlatego tak szybko arabska rewolta objęła kolejne kraje, które jak się niesłusznie nam wydawało, miały być ostoją spokoju, stabilności w rękach silnej władzy. Szermującym hasłami o konieczności przestrzegania praw człowieka, czołowym przywódcom krajów cywilizowanego Zachodu nie przeszkadzało łamanie tych praw, przez skorumpowanych dyktatorów, dopóki ci dbali o interesy zachodnich, naftowych spółek. Miarka się jednak przebrała, Cywilizacja elektronicznych obrazków stawia o każdej porze i godzinie przed oczami nędzarzy, pławiących się w dobrostanie Amerykanów i Europejczyków. To wystarczy, żeby wzbudzić w uciemiężonych gniew i desperację, które wsparte głodem wyprowadzają na ulice setki tysięcy ludzi. W obronie władzy i przywilejów satrapowie nie wahają się przed rozlewem krwi. Krew polała się we wszystkich krajach, gdzie ludzie odważyli się zaprotestować przeciw nędzy i bezprawiu, a w Libii doszło nawet do masakry zgotowanej poddanym przez rządzącego już ponad czterdzieści lat pomyłonego fanatyka, pułkownika Muamara Kadafiego, którego, całymi latami głąskali po głowie przywódcy wolnego świata, tylko, dlatego, że ropa zalega w wielkiej obfitości pod piaskami libijskiej części Sahary. Wygląda na to, że oligarchowie i politycy zajmujący się utrzymywaniem światowego chaosu pod kontrolą przyspali, co nieco i wypuścili na moment z rąk instrumenty zapewniające utrzymanie w świecie chwiejnej nierównowagi, będącej jakże niepewnym fundamentem globalizmu, obecnego światowego systemu społeczno-gospodarczego. Co będzie dalej pokaże czas, Jedno jest pewne, że każda rewolucja oprócz nadziei niesie ze sobą wiele cierpienia? **Qui tacet consentire videotur.**

Oświaty kaganek A.D.03.03.2011

Wyśmiewana dziś i pogardzana władza ludowa, nie tylko głosiła upowszechnienie oświaty, ale też od swego zarania zmobilizowała wszystkie siły, do likwidacji otrzymanego w spadku, po przedwojennej Najjaśniejszej II Rzeczypospolitej, panoszącego się w mieście i na wsi analfabetyzmu, ciemnoty i zacofania. Od powszechnego nauczania czytania, pisania i rachowania dorosłych, na specjalnych kursach, przez entuzjastycznie i misyjnie nastawionych nauczycieli, rozpoczęła się rewolucja oświatowa, która objęła swoim zasięgiem wszystkich obywateli, dając im równe szanse do zdobycia wykształcenia w stopniu zgodnym z ich zdolnościami i predyspozycjami. Ta nieznaną dotąd w tej skali akcja oświatowa, zaowocowała bezprzykładnym w dziejach awansem społecznym młodzieży, ze środowisk wywodzących się z dołów społecznych, dla których przekroczenie bariery dzielącej ją od lepszego świata było dotąd nieosiągalne. Wiatr historii przewietrzył skostniałe struktury społeczne, poluzował drzwi do szczelnie dotąd zamkniętych korporacji, zapewnił dopływ świeżej krwi do nadbudowy państwa. Tysiąc szkół

na Tysiąclecie oraz Polska krajem ludzi kształcących się, to nie były puste hasła, jak te głoszone przez jedną z frakcji postsolidarnościowych o wybudowaniu trzech milionów mieszkań. Na te zastępy solidnie wykształconych młodych ludzi CZEKAŁA PRACA, głównie w dynamicznie rozwijającym się przemyśle. Absolwenci szkół zawodowych, liceów i techników, nie mówiąc już o inżynierach i magistrach mogli czuć się dowartościowani, bo wszędzie byli przyjmowani z otwartymi ramionami. Idealnie jednak nie było, bo wynagrodzenia pracowników były zbyt niskie, żeby mogły zapewnić ludziom godziwe życie. Inwestycje miały bezwzględne pierwszeństwo przez konsumpcją, bo był to czas odbudowy i tworzenia majątku narodowego. To otwarcie, na żyjące dotąd w pogardzie i ucisku doły społeczne, nie tylko wzbogaciło gospodarkę narodową o doskonale przygotowaną kadrę inżynieryjno-techniczną, ale otworzyło drogę zdolnej młodzieży do sukcesów na niwie kultury, bardzo często na skalę międzynarodową. Reasumując: niezależnie od patologii totalitaryzmu wyciskającej także niechlubne ślady na kondycji oświaty i kultury, polska młodzież osiągnęła wysoki poziom wykształcenia i umiejętności. Kolejną rewolucję oświatową zainicjował swymi reformami rząd Jerzego Buzka. Z Zachodu powiało już wcześniej wolnością, jak okazało się później, nadmierną. Zmian na fali likwidacji pozostałości po komunie dokonali reformatorzy, pod kierownictwem ministra Handke, rektora Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i tamtejszego, aktywnego działacza Solidarności. Kierowany przez niego zespół zaprojektował i wdrożył reformę systemu oświaty w Polsce, usiłując osadzić w reanimowanych, przedwojennych, zupełnie dziś nieprzydatnych strukturach organizacyjnych przybyłego z Zachodu ducha liberalizmu, dodając mu jakby dla kontroli nauczanie religii, na wszystkich szczeblach szkolnej nauki. Dziś połowa wszystkich uczniów kończy wyższe uczelnie. Jeśli taki był zasadniczy cel reform, to został osiągnięty z zadziwiającą skutecznością. Tyle tylko, że oznaczało to zrujnowanie dotychczasowego, świetnie funkcjonującego systemu szkolnego i niesamowite wprost obniżenie poziomu nauczania, a co za tym idzie do znacznego zmniejszenia wiedzy absolwentów w porównaniu do pokolenia ich rodziców.

Stało się tak głównie, dlatego, o czym nawet małe dziecko wie, że możliwość przyswojenia sobie wiedzy na średnim poziomie posiada zaledwie 30 % absolwentów szkół podstawowym a tylko połowa z nich ma predyspozycje do zdobycia wiedzy na poziomie magisterskim. Masowy wysyp płatnych szkół, wyższych często tylko z nazwy, rozpoczął natychmiast seryjną produkcję magistrów, a właściwie jak to nie bez racji niektórzy mówią dyplomów magisterskich. Dziś taki dyplom może mieć każdy, kto zechce, jeśli ma pieniądze na czesne. Dotyczy to również maturzystów z bożej łaski neutralnych wobec matematyki, tej królowej wszystkich nauk, absolwentów płatnych kursów niedzielnych niepotrafiących napisać nawet prostego podania. Rosnąca jak na drożdżach substancja oświatowa wyprodukowała całe zastępy niedouczonej absolwentów, którzy z dyplomami w rękach rozglądają się bezradnie po świecie, gdzie nikt na nich nie czeka, bo ich po prostu nie potrzebuje. Co gorsze dotyczy to także magistrów z prawdziwego zdarzenia, którzy nadaremnie chwają się przed ewentualnymi pracodawcami swoimi dyplomami i tytułami, bowiem atrakcyjne miejsca pracy są gremialnie rezerwowane dla ludzi z układu.

Prędzej wielbłąd przecięśnie się przez ucho igielne niż obcy dostanie atrakcyjną, dobrze płatną pracę. Prawdziwymi potworkami zrodzonymi przez oświatowych reformatorów są zupełnie zbędne, nikomu niepotrzebne gimnazja, będące przechowalnią dorastających panienek, tracących czas na marzenia o karierach aktorek, piosenkarek, a przynajmniej modelek, którymi nigdy nie zostaną i chłopaków próbujących z braku lepszego zajęcia radości życia zakłętej w zakazanym alkoholu i narkotykach. Przy okazji tych nieprzemysłanych zmian zniszczono doszczętnie szkolnictwo zawodowe. Mamy, więc dziś w kraju więcej magistrów niż ślusarzy, tokarzy, hydraulików i innych niezbędnych fachowców razem wziętych. **Est modus in rebus.**

Papierowe orły

A.D.10.03.2011

Niewątpliwym sukcesem zmasowanych protestów polskich robotników z sierpnia 1980 roku, było podkopanie fortyfikacji, które dzieliły nas od bogatego, zachodniego świata. Trzeba było jednak jeszcze niemal dekady, żeby runął na dobre radziecki system, a wiatr historii przegnał znad Polski opary azjatycko-sowieckiej mentalności. Historia uczy, że z czasem w miejsce tych, co zburzyli stary porządek przychodzą reformatorzy, którym okoliczności towarzyszące przełomowi dziejowemu podsuwają idee do budowy fundamentu, pod nowy, lepszy, bardziej sprawiedliwy system społeczny. Niestety rewolucja nazwana później solidarnościową, nie wyłoniła elit zdolnych do stworzenia nowego modelu społecznego. Mówiło się wprawdzie o budowie Polski samorządnej, ale skończyło się na hasłach. Zabrakło nam w tej dziejowej chwili prawdziwych orłów zdolnych wznieść się wysoko, byстрым wzrokiem ogarnąć kraj i położyć podwaliny pod załążki nowego ładu. Skoro tak, kraj musiał przystać na orły papierowe. Wyniesieni nagle do władzy przez walczących o lepsze życie robotników dysydenci, z braku własnej wizji nowego jutra sięgnęli po wychodzące już z użycia wzorce ustrojowe zachodniego świata, a właściwie to otworzyli szeroko drzwi globalnemu kapitałowi, oddając mu niefrasobliwie cały kraj w niepodzielne panowanie. Deregulacja i prywatyzacja miały być panaceum na wszystkie wady kończącego swój żywot socjalistycznego ustroju. Jakże wygodne było zarządzanie tego rodzaju transformacją. Wystarczyło zlikwidować wydziały w komendach policji zwalczające przestępczość gospodarczą i rzucić hasło: bierzcie sprawy w swoje ręce, żeby wspólny majątek narodowy błyskawicznie padł łupem nowoczesnych szabrowników, wśród których nie zabrakło licznych przedstawicieli nowej klasy politycznej. Pomimo żenującej wprost bez troski nowych elit, traktujących majątek narodowy, jako masę upadłościową, rześki front atmosferyczny, co zakręcił się był nad Europą przyniósł naszemu krajowi dość mocny impuls rozwojowy.

Członkostwo w NATO i Unii zaowocowało wzrostem gospodarczym. Szkoda tylko, że profity z tego przechwyciły niemal w całości nowe elity, pozostawiając poza nawiasem minimum socjalnego miliony zubożałych ludzi, pozbawionych z dnia na dzień stałego zatrudnienia i pewności jutra. Postępujące rozwarstwienie społeczne wydaje się być poza zasięgiem wzroku, pozostających w klinchu, skonfliktowanych na amen głównych formacji, powstałych z podziału postsolidarnościowych elit. Główni liderzy tych walczących ze sobą zaciekle opcji, nie tracą samozadowolenia z efektów swych dokonań, obarczając odpowiedzialnością za wszystkie niepowodzenia swoich politycznych przeciwników. Przykłady narcyzmu klasy politycznej mogą człowiekowi z racjonalnym spojrzeniem na skrzeczącą rzeczywistość wzburzyć krew w żyłach. Prezydent Komorowski nie zdążył jeszcze znaleźć stałej siedziby, a już rzucił się nagradzać kolegów, żeby wyrównać dysproporcje powstałe, po uhonorowaniu przez poprzedniego prezydenta wiernych pretorian braci Kaczyńskich. Dorzucił, więc do stadka papierowych orłów Jana Krzysztofa Bieleckiego, jednego z kreatorów nieudanej transformacji ustrojowej, znanego z promowania polityki gospodarczej, prowadzącej między innymi do zniszczenia Państwowych Gospodarstw

Rolnych i całej gospodarki morskiej. Nepotyzm, a dobitniej mówiąc kolesiostwo jest jednym z filarów panującego nam nieładu społecznego. Wśród tysięcy wyrazistych przykładów rzuca się szczególnie w oczy kolejny kwiatek z Pałacu Prezydenckiego, gdzie jak się okazuje poprzednik obecnego prezydenta ułaskawił skazanego przez sąd biznesmena, który obrabował fundusz, powołany rzekomo do pomocy niepełnosprawnym, a tak naprawdę stanowiący furtkę do grabienia państwowych pieniędzy. Swoistego smaczku całej sprawie dodaje fakt, że ułaskawiony przestępca okazał się być współlnikiem zięcia, wynoszonego niemal na ołtarze przez prawicowych fanatyków Lecha Kaczyńskiego, kolejnego papierowego orła na niebie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Jak na ironię wymyślony przez Jarosława Kaczyńskiego układ, jako źródło wszelkiego zła III RP, zmaterializował się w najbliższym otoczeniu jego brata. Zapewne nigdy ta niegodziwość nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie często szaleńcza pogon mediów za sensacją, wyciągająca na światło dzienne pieczołowicie skrywane mniejsze i większe grzechy i grzeszki obrosłych w tłuszczczyk beneficjentów sierpniowych protestów, zglajszachtowanej dziś klasy robotniczej. **Naturam expellas furca tamen usque recurret.**

Tragikomedia narodowa A.D.17.03.2011

Polska jest kondominium rosyjsko-niemieckim rządonym przez zdrajców i zaprzańców. Oto ciężkie i lepkie od nienawiści słowa, które padają pod adresem prezydenta, premiera, rządu i większości parlamentarnej rzekomo Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Jakież to wredny wróg Polaków ośmiela się rzucać te i inne podobne kalumnie na demokratycznie wybrane władze naszego kraju? Kto się ośmiela lżyć wysokich przedstawicieli, wybrańców katolickiego narodu, który dał światu jednego z najwybitniejszych papieży, na spotkania, z którym przychodziły miliony ludzi w dziesiątkach krajów świata? Jacy to zewnątrzni wrogowie szkalują na oczach świata jedyne go znanego powszechnie, żyjącego Polaka, laureata pokojowej nagrody Nobla? Wrogów naszego państwa nie musimy szukać daleko. Oni, niestety są wśród nas. Wywodzą się z tego samego ruchu społecznego, wyrosłego na bazie społecznych protestów przeciwko komunistycznej władzy. Do części elit wywodzących się z nadania „Solidarności” należy dziś pełnia władzy w państwie polskim. Pozostali kombatanci z epoki styropianu pałają do swoich współbraci nienawiścią, o piekło większą niż kiedyś do totalitarnego reżymu. Obie te polityczne formacje zaciekle zwalczające się, na co dzień i od święta urządziły 16 marca w Sejmie żenujące widowisko, debatując nad polityką zagraniczną polskiego rządu. Wydaje się jednak, że debata to zbyt duże słowo na określenie kabaretowego widowiska, wystawionego na największej politycznej scenie krajowej. W czasie, kiedy minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski chwalił się okrutnie osiągnięciami rządu na euroatlantyckiej arenie, guru trzymający w ryzach fanatyczny, nacjonalistyczno-klerykalny odłam postsolidarnościowej prawicy, wyszedł ostentacyjnie z sali sejmowej, dając po raz kolejny wyraz lekceważenia szefa polskiej dyplomacji. Podobnie

jak wcześniej lekceważył sobie, a nawet bezceremonialnie obrażał premiera i prezydenta. Można i trzeba mieć wiele pretensji do rządzącej partii szczególnie za lawinowo rosnącą wciąż rozpiętość dochodów obywateli, prowadzącą do kształtowania się na nowo antagonistycznych klas społecznych, będących w zaniku pod koniec nieudanego, socjalistycznego eksperymentu, ale polityka zagraniczna jest akurat tą dziedziną, gdzie popełniono stosunkowo najmniej błędów i nie największego kalibru. Na szczęście niezbyt długo trwała mydlana opera nazywana IV Rzeczypospolitą, żeby jej reżyserzy, bracia Kaczyńscy zdążyli doszczętnie popsuć stosunki z sąsiadami, tak jak zerwali prestiżową dla Polski tradycją spotkań na najwyższym szczeblu z Francją i Niemcami, w ramach Trójkąta Weimarskiego. Wszystkie, kolejne rządy oprócz pisowskiego wykazały się realizmem i dalekowzrocznością w działaniach na międzynarodowej arenie, choć nie uniknęły wpadek, szczególnie w zakrawającym na służalczość serwilizmie wobec Stanów Zjednoczonych. Tak się składa, że większość tych błędów popełniła właśnie ta postsolidarnościowa frakcja, która podczas sejmowej debaty tak bezpardonowo atakowała swych styropianowych współbraci. Wystarczy przypomnieć awanturę gruzińską, w którą nadmierne zaangażowanie prezydenta skutkowało niekorzystnym dla kraju pogorszeniem stosunków z Rosją. Tyle tylko, że bezowocne drażnienie naszych dużych sąsiadów prezes Prawa i Sprawiedliwości uważa za cnotę. Nie dziwi krytyka poczynań obecnego rządu, jeśli na swoje źródło w trosce o pro publico bono, lecz żenuje poziom dyskusji, o ile dyskusją można nazwać ordynarne, chamskie inwektywy, pod adresem dawnych kolegów, a dzisiaj politycznych wrogów stojących im na drodze do władzy, której wcześniej na krótko, politycy spod znaku koronowanego ptasiego dzioba zdążyli posmakować. Wcale nie lepiej zachowywali się posłowie Platformy Obywatelskiej podczas przemówienia Grzegorza Napieralskiego, który nareszcie odważył się przypomnieć w Sejmie, że tak potępiane zadłużenie zagraniczne Gierka do pięt nie dorasta długom wygenerowanym przez nową klasę polityczną z tym, że kredyty gierkowskie poszły na inwestycje przemysłowe, dzięki, którym obecne władze mają, co sprzedawać zagranicznym koncernom. Słowa te, jakże prawdziwe zostały wybuczone przez beneficjentów, posiadających synekury na majątku ciężko wypracowanym za czasów pogardzanego przez nich PRL-u. Dygnitarze Platformy gardzą postkomunistami, a ich z kolei mają w pogardzie „prawdziwi Polacy” skupieni wokół prezesa Kaczyńskiego, a on sam jak się wydaje gardzi wszystkimi, nawet swoimi pretorianami spod znaku kadzidła i wazeliny. Niestety, nie wróży to dobrze Polsce, bo pogarda dobrym budulcem nigdy nie była, a połączona z nienawiścią zawsze okazywała się zarzewiem nieszczęść. **Mala causa silenda est.**

Gry interesów

A.D.24.03,2011

To nieprawda, że Polska jest najważniejsza. Ta słynna fraza jest tylko zakłamanym parawanem, za którym ukryto zbiór całkiem osobistych, egoistycznych interesów grupy ludzi, żądnych wielkich osobistych sukcesów, starających się zdobyć tyle władzy ile potrzeba do ich urzeczywistnienia. - Ja jestem najważniejszy – oto prawdziwe credo wyrażące na wszystkie sposoby z ludzkiej natury, która jednak stara się skutecznie stosować swoisty kamuflaż, ukrywając swoje egoistyczne dążenia, plany i działania pod szlachetnym płaszczkiem interesu społecznego. Człowiek nie kieruje się, więc na ogół altruizmem tylko instynktem samozachowawczym, który każe unikać takich działań, które mogłyby mu w jakikolwiek sposób zaszkodzić. Należy pamiętać o tej niezwykle ważnej przesłance, przyglądając się chaosowi panującemu niepodzielnie na naszym świecie, gdyż bez niej nie sposób zrozumieć cokolwiek z tego, co się dzieje nie tylko w Libii czy w Warszawie, ale też w gminie Pikutkowo Małe. Z zalewu medialnych doniesień niezwykle trudno człowiekowi wyrobić sobie trafny pogląd, co do przyczyn wydarzeń raz po raz wstrząsających naszą cywilizacją, niczym trzęsienia ziemi wyspami Japonii. O ile jednak kataklizm, który nawiedził Kraj Kwitnącej Wiśni, wywołując tam porażającą katastrofę humanitarną, miał swoje źródło w procesie ciągłych przeobrażeń naszej planety i zaistniał bez wpływu, przynajmniej aktywnego, czynnika ludzkiego, to przyczyny awantur wojennych leżą tylko i wyłącznie w owej skłonności człowieka, do stawiania swoich egoistycznych interesów nad dobro ogólne. Wojenna pożoga trawiąca miasta libijskie i pochłaniająca tysiące istnień ludzkich, toczy się na oczach świata, właśnie w imię pozostających ze sobą w sprzeczności wąsko pojętych interesów, rywalizujących ze sobą rekinów globalnej finansjery. Wspierających ich światowych mocarstw, a także często dla zaspokojenia chorobliwych ambicji, ludzi na szczytach władzy. Muammar Kadafi to jeden z wielu odrażających dyktatorów, oszalałych na punkcie swojej rzekomej wielkości, którzy sprawują pełnię władzy w państwach, zorganizowanych na zasadzie totalnego podporządkowania sobie społeczeństwa, bez posiadania wyborczej legitymacji. Świat zachodni stawiający rzekomo na pierwszym planie prawa człowieka, nie jest w stanie narzucić swojego systemu wartości, otaczającym go zewsząd totalitaryzmem, więc prowadzi z nimi swoistą grę przy pomocy przysłowiowego kija i marchewki.

Polityka uprawiana w tym stylu przez możnych tego świata, byłaby może skuteczna, gdyby nie naturalna rywalizacja między nimi o strefy wpływów, szczególnie w tych rejonach kuli ziemskiej, gdzie występują strategiczne surowce w wielkiej obfitości. Najważniejszymi z tych kopalni, są nośniki energii, a wśród nich ropa i gaz. Najbardziej zaś pożądanym obok żywności środkiem płatniczym, jest dla totalitarnych reżymów broń, której potrzebują w dużej ilości dla utrzymania zdolności bojowej armii. Armia jest oczkiem w głowie każdego satrapy. Siły zbrojne rzekomo przeznaczone do obrony przed zewnętrznym wrogiem, tak naprawdę służą do utrzymania w bezwzględnym posłuszeństwie własnego narodu.

Dopóki taki satrapa mocno dzierży władzę i zapewnia nieprzerwaną dostawę kopalni, pożądanych przez zachodnią cywilizację, może liczyć na uznanie, a nawet honory ze strony najważniejszych przywódców tak zwanego wolnego świata. Najlepszym potwierdzeniem tej tezy jest czterdziestoletnie panowanie nad Libią półkownika Kadafiego, któremu nie raz wybaczano wspieranie światowego terroryzmu. Tolerowano na jego rękach krew niewinnych ludzi, a wśród nich 270 pasażerów samolotu rozerwanego nad Szkocją, przez bombę podłożoną rekami jego agentów. Ten uchodzący za bezwzględnego tyrana i psychopatę oficer, wyniesiony przez wojskowy zamach stanu, na sam szczyt władzy w zasobnym w ropę arabskim państwie Afryki Północnej, przyjmowany był wielokrotnie z wielką atencją i celebrą przez europejskich mężów stanu. Przywódcy rosyjscy pozwolili

nawet na ustawienie propagandowego namiotu, przez tego plemiennego kacyka na przedpolu kremłowskiej rezydencji. Nicolas Sarkozy przyjmował go we Francji z wielkimi honorami, a premier Włoch Sylwio Berlusconi obejmował czule w świątłach jupiterów. Motywem determinującym zafalszowane zachowanie europejskich przywódców był niewątpliwy afekt, do bogatych pol naftowych zalegających po drugiej stronie Morza Śródziemnego, pod piaskami libijskiej pustyni. Problemy zaczęły się dopiero, gdy na fali arabskiej rewolucji powstała w Libii zbrojna opozycja przeciw dyktatorowi, który w jednej chwili przestał być gwarantem interesów elit rządzących światem. Upadek dyktatorów w sąsiednich państwach arabskich nie pozostawił już cienia wątpliwości, że w Libii trzeba postawić na innego konia. Po dwóch tygodniach negocjacji, wyważania interesów poszczególnych mocarstw i wyśrodkowania możliwego do przyjęcia przez możliwych kompromisu, posłali swoje wspaniałe rakiety i samoloty, żeby wytłuc Muammarowi militarne zabawki, które mu wcześniej za grube miliardy dostarczyli. **Fortuna favet fortibus.**

Prawda nas wyzwoli?

A.D.31.03.2011

Jeszcze nie całkiem ostygły szczątki ofiar katastrofy samolotu prezydenckiego, a już zarabiający krocie marszałkowie naszego Sejmu i Senatu, korzystając z pretekstu rzekomo dużego wkładu osobistego w usuwanie jej skutków, wypłacili sobie nagrody rzędu kilkudziesięciu tysięcy złotych na każdą dystyngowaną głowę. Tak przynajmniej usiłuje wytłumaczyć obecny marszałek Grzegorz Schetyna bezwstydną pazerność sejmowych dygnitarzy. Dziwnie te słowa brzmią w uszach emeryta, który po czterdziestu latach pracy, jak to się dawniej mówiło dla Ojczyzny, otrzymał z łaski na uciechę 300 złotych rocznej podwyżki do zaledwie 1000 złotowej emerytury. Jak to się stało, że takie dysproporcje dzieli dziś ludzi, śpiących niegdyś na tym samym styropianie w strajkujących fabrykach? – Wszyscy mamy jednakowe żołądki – krzyczeli kiedyś razem pod adresem komunistycznych władz dzisiejsi prominenci i emeryci starego portfela.

Niestety po trzydziestu latach żołądki obrosłych w piórka nowych dygnitarzy zrobiły się delikatne, jak u dawnych księżniczek jadających marcepany i inne nieznanne ich biednym poddanym frykasy, a żołądki nieszczęsnych zgredów, wyrzuconych poza nawias minimum socjalnego, stwardniały od żywności nafaszerowanej chemią, przez goniących za łatwym zyskiem producentów. Po dwudziestu latach przemian ustrojowych obecne władze dzieli dziś od ludu, o niebo większy dystans w poziomie życia, niż tak mocno krytykowanych ongiś sekretarzy partii od zwykłych proletariuszy. To jest pierwsza z gorzkich prawd, której na próżno, by dziś szukać nie tylko w oficjalnej retoryce ludzi sprawujących władzę, ale także w komentarzach publicystów, oraz kazaniach i homiliach, wygłaszanych przez kapłanów do ludu bożego. Nie mniej bolesna może się okazać prawda o tym, że rozbuchany konsumpcjonizm, który bez reszty ogarnął społeczną świadomość, oparty jest niemal w

całości na kredycie. Dotyczy to szczególnie kształtującej się klasy średniej, która po odskoczeniu od popadających w coraz większą patologię dołów społecznych, zadłuża się ponad miarę, nabywając dobra, które w zamyśle mają podnosić prestiż i znaczenie ich posiadaczy w oczach innych ludzi. W hierarchii ważności zamiast wiedzy liczy się przede wszystkim posiadanie dyplomu. Nowy model super drogiego samochodu, co dwa lata, robi za wizytówkę sukcesu, do którego należy dążyć, bez oglądania się na jakieś staromodne i nieżyłowe normy moralne. Bogaci do obrzydliwości biznesmeni wciąż narzekają publicznie na rzekomo wysokie koszty pracy, wydając krocie na markową odzież, obuwie, perfumy i setki innych, niesamowicie drogich, nikomu do niczego nie potrzebnych bajerów. Pełne blichtru i kiczowatego przepychu pałace i inne luksusowe rezydencje powstają jak grzyby po deszczu, z dala od pokrytych liszajami slumsów, zamieszkałych przez biedotę żyjącą z zasiłków, wypłacanych przez zbiurokratyzowany system rozdzielnictwa pomocy społecznej. Jeszcze nigdy po II wojnie światowej warstwa zdominowana przez społeczną patologię, nie była tak liczna jak w III Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Oba te światy oddalają się od siebie nieustannie.

Najbardziej jednak niewygodna dla postsolidarnościowych elit jest prawda o upadku moralnym społeczeństwa. Ideały przyświecające ojcom założycielom Solidarności zostały porzucone już na początku restauracji kapitalizmu. Słynne hasło, że wszystko, co niezabronione jest dozwolone stało się sztandarem przewodnim, pod którym obrót gospodarczy został zdominowany, przez co bardziej wyrafinowane formy kradzieży, takie jak wyłudzenie, oszustwo i doprowadzenie do niekorzystnego rozporządzenia mieniem. Na kuriozum wygląda fakt, że w epoce wynoszonych pod niebiosa wolnych mediów najbardziej bezpardonowa walka o dobra tego świata, toczy się pod oficjalną maską codziennego życia, złożoną z taniej sensacji i sztucznej celebry sprzedawanej w opakowaniu, składających się z niemal samych tytułów gazet, a szczególnie w setkach ogłupiających szary lud telewizyjnych serialach. Najwyższy czas zrzucić łuskę z oczu, żeby zobaczyć, że król jest nagi. Pozbyć się mitów o kochających Polskę politykach, miraży o zbawiennej roli wzrostu gospodarczego, dogmatu o świętości bogacącego się Kościoła. Trzeba sobie zdać sprawę, że system, w którym obecnie żyjemy oparty jest na modelu jednorazowego użytku, którego nie da się zreformować i trzeba go po prostu zmienić na lepszy. Z tym, że ten lepszy na razie jeszcze nie istnieje. **Sulus populi suprena lex.**

Mniej państwa
A.D.07.04.2011

Balansowanie między tendencją do totalnej, ludzkiej samowoli, a skłonnością do jej ograniczenia przy pomocy drakońskiej dyktatury, wydaje się być istotą utrzymywania demokracji, na poziomie możliwym do zaakceptowania przez zwolenników tych, pozostających ze sobą w absolutnej sprzeczności form społecznej samoorganizacji. Państwo wyposażone w aparat przymusu pozostaje jak dotąd szczytowym, niedającym się niczym

zastąpić osiągnięciem, na trudnej drodze poszukiwań najlepszej formy ustroju, wprowadzającego taki ład społeczny, który byłby najbliższy idei sprawiedliwości społecznej. Siłą rzeczy, w takiej sytuacji zupełnie normalnym zjawiskiem jest wychylenie się wahadła, raz w jedną a raz w drugą stronę. Na przełomie II i III tysiąclecia wyraźną przewagę uzyskała w świecie opcja liberalna. Niemały wpływ na taki obrót sprawy miał ostateczny upadek systemu komunistycznego, opartego na wszechobecności totalitarnego państwa i przypisania mu roli żandarma, tłumiącego wszelkie przejawy indywidualizmu. Świeżo upieczeni polscy liberałowie, prawdziwi neofici tej ideologii, rzucili się urządzać życie gospodarcze i społeczne według najbardziej skrajnie liberalnych, zachodnich wzorów. – Im mniej państwa tym lepiej – krzyczeli. To zawołanie, niestety otworzyło anarchii i bezprawiu drzwi do naszego kraju.

Odrzucenie polityki stosowania represji przez władzę, przy braku tradycji społecznego szacunku dla prawa, po poluzowaniu przez wymiar sprawiedliwości rygorów prawnych, zaowocowało natychmiast niekontrolowanym wzrostem przestępczości w każdej dziedzinie. Pojawiły się nowe, dotąd w Polsce nieznane, przestępcze profesje w tym przestępczość zorganizowana, ze swoimi sztandarowymi gangami z Pruszkowa i Wołomina. Wymuszenia rozbójnicze, porwania dla okupu, napady z bronią w rękę na banki i kantory wymiany walut oraz inne, dotąd w Polsce nieznane rodzaje groźnych przestępstw stały się powszechnym zagrożeniem, a zarazem karmą dla brukowej prasy i elektronicznych środków przekazu informacji. Oto wyrazisty przykład jak doktryna o korzystnym dla ludzi pomniejszania kompetencji państwa pogorszyła standardy i poczucie bezpieczeństwa obywateli. Gorzej, że postępujące lekceważenie prawa odbiło się niekorzystnie także, na jakości obyczajów. Odrzucenie starych uważanych za staromodne i nieżyciowe spowodowało wypełnienie obyczajowej luki przez nowe normy moralne, wywodzące się wprost z wilczego prawa do zapewnienia sobie dominacji za wszelką cenę, nad resztą ludzkiego stada. Jakże inaczej zdefiniować nowy program szkolenia kierowców, rozjeżdżających polskie drogi tirów. Na wypadek kolizji na drodze uczy się tych młodych ludzi pogardy dla życia bliźnich w imię ratowania przewożonego ładunku. – Wal w osobówkę, bo ona znajduje się poniżej twoich nóg – słyszą od nowocześnie myślących instruktorów adeptów kursów przygotowujących kadrę dla najgroźniejszych użytkowników dróg. Innym znamionym przykładem jest całkowita bezkarność stadionowych bandytów, zorganizowanych w klubowe dywizje i staczających regularne bitwy między sobą, a także z oddziałami policji, której wyraźnie się nie chce lub boi się łobuzów, zamiast ich schwytać i pozamykać, a po błyskawicznym osądzeniu umieścić w odosobnionych obiektach, gdzie w ramach kary za bestialskie wybryki musieliby przewozić taczkami kamienie z miejsca na miejsce.

Dlaczego to niby przyjazne ludziom państwo nie broni nas przed rosnącą w postępie geometrycznym armią oszustów? Po zmianach ustrojowych zwykli oszuści stanowiący kiedyś społeczny margines, musieli ustąpić miejsca oszustom instytucjonalnym korzystającym z nowoczesnych metod, pozwalających przy pomocy masmediów: gazet, radia, telewizji, telefonii stacjonarnej, a przede wszystkim komórkowej doprowadzić ogłupionych zalewem kłamliwej często reklamy ludzi, do niekorzystnego rozporządzenia mieniem. Gromkie wołanie o mniej państwa, coraz częściej nie wychodzi też na dobre gospodarce. Świadczy o tym pogarszająca się z roku na rok, jakość żywności, artykułów gospodarstwa domowego i innych wyrobów z wielu segmentów zbyt swobodnego jak się okazuje rynku. Niestety jest to tak bolesny i rozległy temat, że nie sposób go choćby mocniej zasygnalizować w jednym felietonie. Preferowane przez panujący obecnie w świecie zachodnim system społeczno-polityczny mniejsze państwo, nie oznacza wcale, że w naszym kraju jest ono tańsze. Wprost przeciwnie kosztuje podatnika coraz drożej. W ostatnich kilkunastu latach wzrosły, bowiem zastraszająco koszty utrzymania klasy politycznej i wspomagającej ją biurokracji, która

powiększa wciąż swoje szeregi. Trzeba o tym pisać, mimo, że **obsequium amicos veritas odium parit**.

Opętani przed świtem A.D.17.04.2011

Polacy zaiste, są narodem niezwykłym. Historia, nasza nauczycielka prezentuje na swojej wirtualnej stronie, niesłychanie bogaty zestaw dowodów na to, że nawet największe narodowe wiktorie odniesione przez Polaków, nie tylko nie przysporzyły im żadnego pożytku, ale nawet przynosiły niekiedy niepowetowane szkody. Dziś każdy średnio wyedukowany w Polsce, za godne czesne magister przynajmniej słyszał o tym, że okupione krwią i potem wspaniałe zwycięstwo pod Grunwaldem niewiele zaszkodziło pokonanym Krzyżakom z powodu opieszałości zwycięzców i braku u nich ochoty do dokończenia wojennego dzieła. Pobity na głowę żywioł niemiecki utrzymał, więc swoje potężne zamki i w oparciu o tę nienaruszoną infrastrukturę stworzył z biegiem czasu potężne Prusy, które w stosownej, dziejowej chwili dokonały pospólnie z innymi sąsiadami trzech kolejnych rozbiorów Rzeczpospolitej, wymazując państwo polskie z mapy Europy. Nie inaczej było ze znakomitą wiktoria wiedeńską odniesioną nad Turkami, która uratowała przed zagładą monarchię Habsburgów, kolejnego, późniejszego naszego zaborcę.

To odległe czasy, które jak się na ogół rodakom wydaje nie mają dla naszego pokolenia większego znaczenia. Może mają rację? Niestety nie można tego samego powiedzieć o skutkach II wojny światowej, z której Polska rzekomo wyszła zwycięsko, tracąc jak na ironię większą część majątku narodowego, znaczną część terytorium i kilka milionów obywateli. Na dodatek wystawiając z własnej, nieprzymuszonej woli na zagładę swoją całą swoją stolicę i jej intelektualne elity. Najdziwniejszym, wprost kuriozalnym przypadkiem polskiej nieudaczności była jednak pokojowa rewolucja z lat 1980-89, która de facto dała początek rozpadowi światowego systemu komunistycznego. W rezultacie tego dziejowego przełomu zainicjowanego na Wiśle, światowy kapitalizm powrócił po kilkudziesięciu latach komunistycznego eksperymentu na terytorium równe ćwierci powierzchni kuli ziemskiej, przechodząc przy okazji w wyższą formę rozwoju zwaną globalizmem. Zakrawa przy tym na kpinę fakt, że siła sprawcza tej wiekopomnej przemiany, wielkoprzemysłowa klasa robotnicza rozpadła się i całkowicie straciła polityczne znaczenie, pod naporem najczęściej nieuczciwej prywatyzacji państwowego majątku. Podczas manewrów na historycznym poligonie odrodziły się natomiast stare demony antysemityzmu, fanatyzmu religijnego i operetkowego nacjonalizmu. Na fali społecznych przemian wypłynęło z mroku zapomnienia kołtuństwo, ciemnota i zabobon. Rozkwitła na nowo wiara w cuda, przepowiednie, wróżby i prawdy objawione. Wydaje się, że odpowiedzi na zasadnicze pytanie o genezę owej, bardzo specyficznej cechy nieudaczności Polaków, jako społeczeństwa należy szukać właśnie w tym wywodzącym się z mroków Średniowiecza zespole mentalnym, tkwiącym w świadomości *zdecydowanej większości* naszych rodaków. Nie trzeba mocniejszych na to dowodów od histerii wywołanej na tle katastrofy smoleńskiej. Wystarczy popatrzeć na te tłumy

nawiedzonych, pielgrzymujących z pochodniami za swoim guru na Krakowskie Przedmieście. Posłuchać wypowiedzi udzielanych mediom przez nabuzowanych emocjami uczestników tych mistycznych zgromadzeń, żeby pozbyć się wątpliwości, co do twierdzenia, że Polska póki, co nie ma żadnych szans na dołączenie do racjonalnie myślących narodów Europy, przynajmniej do czasu aż ożywczy powiew znad Atlantyku przewietrzy rubaszne, sarmackie czerpy.

Zamiast korzystać z niepowtarzalnej szansy modernizacyjnej, która spadła nam jak z nieba wraz z formalnym dołączeniem do Zachodniego Świata, bijemy historyczną pianę, pozwalając wodzić się za nos współczesnemu następcy Wernyhory i wspierającemu go, nawiedzonemu redemptoryście z Torunia, ludziom opętanym nie tylko o świcie. Tracimy czas, który, nie będzie nam już dany po raz wtóry. Ze scen odgrywanych od roku przed Pałacem wyziera niestety obraz Polaka katolika, jako człowieka mściwego, nietolerancyjnego, pełnego nienawiści do swoich bliźnich. Powinni się poważnie zastanowić nad tym kapłani podający tym, najwierniejszym swoim owieczkom „Ciało Chrystusa”, każdego dnia sankcjonując w ten sposób, a nawet nagradzając najgorsze cechy ludzkiej osobowości. -Jaki naród takie jego bohaterzy – chciałoby się ironicznie skomentować szaleńcze próby wyniesienia na piedestał człowieka małego formatu, którego pewne mniej znaczące osiągnięcia, nie zatrą w historycznej pamięci działań szkodliwych dla modernizacji kraju i jego rangi w zjednoczonej Europie. Pomimo tego potężnego balastu kołtuństwa, zacofania i obskurantyzmu może się jednak zdarzyć, że w walce o rząd dusz sukces odniosą, ku narodowej chwale i społecznej korzyści postępowe i twórcze siły witalne naszego narodu. No chyba, że rozfanatyzowanym „prawdziwym Polakom”, chcącym odwrócić bieg historii uda się zachęcić do głosowania na nich, ową milczącą, obciążoną gnuśnym balastem stagnacji większość. **Fortuae cetera, mando.**

Dobra nowina

.A.D.21.04.2011

W serwisach światowych agencji informacyjnych od lat dominują nowiny wyłącznie złe. Nic w tym dziwnego skoro tylko takie dobrze się sprzedają w mediach, a wraz z ich napływem rośnie wartość gazetowych łamów i czasu antenowego mediów elektronicznych, przeznaczonego na reklamę. Taki jest standard. Jednak przynajmniej raz do roku o wiosennej porze, udaje się przebić przez skomercjonalizowane do obłędu media zwiastunom dobrej nowiny, która nieodmiennie była, jest i pozostanie opoką chrześcijańskiej wiary. – Chrystus zmartwychwstał – wołają zgodnie wyznawcy wszystkich odłamów tej największej religii świata. Wydawałoby się, że tego rodzaju news nie może nikogo przyprawić o choćby niewielki dreszczyk niepokoju. A jednak? Nie od rzeczy będzie przytoczyć reakcję anegdotycznego rabina na okrzyk pozdrawiającego go w Wielkanocny poranek popa. – Chrystus zmartwychwstał – radośnie zawołał prawosławny, kiedy mijał starozakonnego na ulicy. – Dziękuję za ostrzeżenie – odpowiedział Żyd trwożliwie rozglądając się dookoła. Jak z tego widać nie istnieje w naszej skomplikowanej rzeczywistości nowina, która mogłaby być jednakowo i dla każdego dobra, niezależnie od

czasu i okoliczności, w jakich jej adresat się znajduje. Dobra nowina dla Jarosława Kaczyńskiego to taka, że Pałac Prezydencki zostanie zmieniony w stałe mauzoleum jego brata. Ta sama informacja niosłaby jednak zupełnie inny zestaw emocji prezydentowi Bronisławowi Komorowskiemu, ponieważ musiałby z konieczności wrócić do skromnego mieszkania w kamienicy na Powiślu. W rzeczywistości medialnej, która emitowana przez świecące ekrany przenika do zwykłego świata, gdzie nikt nie prowadzi konsultacji z farmaceutą, dobre nowiny rodzą się niemal wyłącznie w biurach zatrudniających specjalistów od marketingu i gabinetach spin doktorów. W miejsce strąconych z piedestału nudnych wzorców honoru i rzetelności media wyniosły skandalistów i celebrytów, a do rangi dobrej nowiny urosły spreparowane informacje z ich prywatnego, często intymnego życia. Gdyby Jezus Chrystus żył dziś, a nie w zamierzchłych czasach, z sedna jego nauczania pozostałoby na pewno znacznie mniej ewangelicznej wiedzy, gdyż rozpasane magazyny obyczajowe zajęłyby się eksponowaniem atrakcyjnych z ich punktu widzenia wątków erotycznych, doszukując się ich choćby w spotkaniu Mistrza z jawnochrześcijańską Marią Magdaleną. Nie ulega wątpliwości, że wykreowany z tak atrakcyjnego budulca mit stałby się największą siłą nośną niesłychanie zyskownych kampanii reklamowych, promujących sprzedaż tak naprawdę zupełnie zbędnych gadżetów. Brak takich spektakularnych wydarzeń wokół autentycznych autorytetów, zmusza medialnych kreatorów do posiłkowania się autorytetami zastępczymi. Dlatego prawdziwym pieszczochem mediów stał się stał się polityczny szantażysta i awanturnik Jarosław Kaczyński, który umiejętnie wykorzystując medialną zachłanność na budzące silne emocje społeczne informacje, próbuje zapewnić swojemu bratu pośmiertną wielkość przysługującą wyłącznie uznanym przez cały naród mężom stanu. Przy okazji chce przejąć władzę w kraju. Mimo stosowania nadętej bogoojczyźnianej retoryki i poparcia ze strony wpływowej sekty, radiomaryjnej prezes PiS-u ma w sobie wiele ze skandalisty, a skalą bezczelności może śmiało konkurować z liderką w tej dziedzinie powszechnie znaną celebrytką Dodą Elektroda. Mimo wszystko ten niesamowicie hałaśliwy i natrętny, medialny sabat nie zdołał jeszcze bez reszty zagłuszyć tradycyjnej wymowy wielkanocnej, dobrej nowiny. Wydaje się, że tak pozostanie, dopóki zmasowanym atakom mediów, nie uda się przy pomocy pseudosensacyjnych newsów wypłukać z głów zasadniczych zasobów ludzkiego rozsądku. Przynajmniej w Wielkim Tygodniu owe magiczne słowa nie będą nam się kojarzyć z jakąś naciąganą, rzekomo okazijną szansą nabycia jakiegoś atrakcyjnego towaru, lecz z najpiękniejszą i największą obietnicą Zbawiciela. Skoro tak, to zachowując stosowny umiar, żeby w imię politycznej poprawności nikogo nie przestraszyć, dajmy wyraz swojej radości z wiosennego odrodzenia życia wołając: **Alleluja! Alleluja!**

Santo subito
A.D.30.04.2011

Nie często się zdarzało, żeby Opatrzność pośpieszyła dodawać Polsce jakiegoś splendoru, dlatego wielkie poruszenie w świecie zachodnim wywołał wybór Karola Wojtyły na stolicę Piotrową. Zaiste nikt nie mógł się spodziewać, że prymas Polski kardynał Stefan

Wyszyński wystąpi w roli palca Ducha Świętego i wskaże purpuratom kandydata ze Wschodniej Europy. Sam fakt wyboru papieżem nie Włocha był już dostatecznie wielką sensacją, z wielokrotną pochodzeniem kandydata zza Żelaznej Kurtyny, za którą Kościół przez całe dziesiątki lat był metodycznie zwalczany przez totalitarne państwo. Był w tym wydarzeniu znak czasu, który zapowiadał nieomylnie Watykanowi i Kościołowi Rzymsko-Katolickiemu długi, wyrazisty i pełen istotnych wydarzeń pontyfikat. Czasy to były szczególne. Pod naporem triumfującego liberalizmu łamał się złowrogi, zdawałoby się nieugięty sowiecki system. Wprawdzie papież nie posiadał żadnych dywizji to jednak władcy Kremla przyjęli wybór Wojtyły, jako zdecydowanie wrogi akt wobec Związku Radzieckiego. Paradoksalnie, oba nieprzyjazne wobec siebie systemy stanęły na rozdrożu, borykając się z podobnymi problemami narastającego właśnie niepoohamowanego konsumpcjonizmu. Stosunkowo młody system sowiecki jawił się po bliższym poznaniu, jako pseudoreligijna sekta, której przywódcy przypisywali sobie wszechwiedzę i nieomylność. Polski papież – już samo to słowo budziło na Kremlu niepokój. Nie bez racji. Nie wiadomo jak potoczyłyby się losy świata gdyby nie znalazł się śmiałek, który odważył się dopuścić głośno do wszystkich zakamarków imperium. Okazało się, że zmurszałe struktury runęły błyskawicznie pod naporem prawdy. Jan Paweł II zbrojny w wiedzę czerpaną z dwutysiącletniej historii chrześcijaństwa, nie dopuścił do poluzowania struktur kościelnych i twardo stanął w obronie katolickich dogmatów. Wielu rozkojarzonych reformatorów miało mu za złe nieprzejednane stanowisko wobec aborcji i eutanazji, oraz ostrą retorykę na temat tak zwanej cywilizacji śmierci. Polski kardynał powołany na stolicę świętego Piotra dźwignął ciężar odpowiedzialności za Kościół i umocnił go, pielgrzymując do wiernych na całym świecie, jak żaden dotąd Namiestnik Chrystusa na ziemi. Witają go na wszystkich kontynentach setki tysięcy ludzi. Byli wśród nich także tacy, którzy w innych wierzyli bogów. Przyciągała ich na te medialno-religijne spektakle niesamowita charyzma człowieka, który emanował zarówno wielkością, jak i prostotą swej wybitnej osobowości. Papieskie pielgrzymki cementowały Kościół Powszechny ułatwiając prowadzenie nowej ewangelizacji. Karol Wojtyła doskonale zdawał sobie sprawę, że pod płaszczem Kościoła dzieje się także wiele zła. Przepraszał publicznie za wszelkie zło poczynione przez ludzi Kościoła, lub w jego imieniu. Wyciągnął rękę do wyznawców innych religii, w tym do starszych braci w wierze Żydów wchodząc, jako pierwszy papież do synagogi. Nieobca była mu troska o ofiary wstydlivej plagi pedofilii wśród katolickiego kleru. Zdawał sobie jednak sprawę, że wszelkie pochopne działania mogą doprowadzić do prawdziwego tsunami, które może przynieść wszystkim wyznawcom Chrystusa niepowetowane szkody. Za świętość trzeba zapłacić, najczęściej cierpieniem, męczeństwem i śmiercią, więc trudno się dziwić, że tego anioła pokoju ugodziły wśród tłumów wiernych kule fanatycznego mordercy, przeciwstawiającego idei chrześcijańskiej miłości doktrynę fanatycznego, dzikiego dżihadu. Niemal cudem ocalony wybaczył skruszonemu zamachowcowi, podczas odwiedzin nieszczęśnika w więziennej celi. Ostatnie lata, miesiące i dni życia tego szlachetnego kapłana, stały się za sprawą mediów relacją o człowieku, którego nie zmogło narastające cierpienie. Pytany przez ciekawskich, dlaczego nie powierzy komuś innemu obowiązków, których wypełnianie sprawia mu tyle bólu, odpowiadał niezmiennie, że przecież Chrystus też nie zszedł z krzyża i nie odrzucił swojej męki. Pozostały po nim w Polsce setki stawianych jeszcze za jego życia pomników, szkół i szpitali jego imienia, nazw placów i ulic. Nie zawsze, niestety, intencje wnioskodawców były czyste. Nazbyt często liczyli oni na całkiem wymierne korzyści z posiadania władzy, do której publiczne uwielbianie papieża miało ułatwić im dostęp. W miasteczku, którego imienia nie powiem, miejscowa, żrąca się ze sobą elita samorządowa, zgodna w tym jedynym przypadku postanowiła nadać wielkiemu Polakowi godność honorowego obywatela. Papież przyjął ten wątpliwy zaszczyt nie znając powodów, żeby odmówić. Oni natchnieni, wybili na koszt gminy pamiątkowy medal z podobizną jego Świętobliwości i rozdzielili go wśród siebie. Po

czym wybrali swoich delegatów, którzy wybrali się do Watykanu, żeby osobiście powiadomić Ojca Świętego o tym wydarzeniu. Największe zaangażowanie w tej sprawie wykazali ludzie od dawna i po dziś dzień bezpardonowo walczący o stanowiska i dostęp do samorządowej kasy, przy pomocy intryg, donosów i wzajemnych oskarżeń. Ludzie obrzucający się kalumniami, na co dzień i od święta, ciągnący się nieustannie po prokuraturach i sądach. No cóż, również takie efekty zdarzały się w naszym kraju najsilniej poddanym papieskiemu nauczaniu, ale Karol Wojtyła, choć święty, był tylko człowiekiem, a przecież nawet Chrystusowi nie udało się zmienić ludzkiej natury, mimo że oddał życie, umęczony na krzyżu za nasze zbawienie.

Gra Pozorów

A.D.06.05.2011

Zanim cokolwiek spostrzegli biegli w mowie i piśmie medialni komentatorzy, wyrosła nam bujnie, na dochodach z prywatyzacji obficie uzupełnianych środkami z deficytu budżetowego, liczna kasta beneficjentów przemian ustrojowo-gospodarczych. Kolejne rządy formowały żyzne podłoże dla biurokracji, a ona mnożyła się tempie godnym socjalistycznego współzawodnictwa pracy. Mamy, więc niezliczone rzesze urzędników i funkcjonariuszy, których przydatność społeczna jest w znacznym stopniu wątpliwa, a w jeszcze większym zakresie zupełnie zbędna a nawet szkodliwa. Cała ta armia wielokrotnie przekraczająca pełny stan osobowy Wojska Polskiego, doskonale ubrana a nawet można powiedzieć wystrojona, obdarzona szczerze różnymi przywilejami i dobrze opłacana, stara się uzasadnić swoją społeczną przydatność, za pomocą wyrafinowanych i efektownych ruchów pozorowanych, obliczonych na wywołanie zainteresowanie mediów. Problem wychodzi na światło dzienne z chwilą, kiedy okoliczności wymagają podjęcia działań rzeczywistych. Wówczas okazuje się, że paradne państwo niezdolne jest do skutecznego wypełniania obowiązków, względem swoich będących w potrzebie obywateli. Jakże wymownym przykładem indolencji państwowych służb i instytucji jest bezkarność chuliganerii przeradzającej się już w bandytyzm, rządzącej kultowe rozróby na piłkarskich stadionach. Kolejnym przykładem jest wołająca o pomstę do nieba dewastacja stadionu w Bydgoszczy, która miała miejsce po zakończeniu finałowego spotkania o Puchar Polski w piłce nożnej, rozgrywanego przez drużyny Legii Warszawa i Lecha Poznań. Rozwydrzona, złota młodzież pasożytująca na dobrobycie, obciążonym, co prawda gigantycznym długiem publicznym i nie mniejszym kredytem zaciągniętym w komercyjnych bankach, dała pokaz niebywałego zuchwalstwa niszcząc wyposażenie sportowego obiektu, na oczach oficjeli, gospodarzy, płatnej ochrony i pododdziałów policji. Sprawcy tego smutnego, budzącego społeczne zdumienie aktu wandalizmu pozostali bezkarni podobnie jak organizatorzy innych rażących poczucie bezpieczeństwa zadym i bijatyk, raz po raz bulwersujących opinię publiczną. Na kuriozum wygląda, że spośród setek popisujących się przed kamerami zdeprawowanych wyrostków, służbom publicznym udaje się zatrzymać kilku łobuzów i postawić im jakieś zarzuty dotyczące złamania prawa. Jakby skrupulatnie policzyć wszystkie koszty utrzymania tego potężnego aparatu porządkowego, zatrzymanie i osądzenie jednego zadymiarza kosztuje podatnika, co najmniej kilkadziesiąt milionów złotych. Czy stać nas na takie marnotrawstwo grosza publicznego?

Młodość ma swoje naturalne prawa i zwyczaje i skłonności. Wśród nich znaczące miejsce znajduje skłonność do nadmiernej agresji, występująca głównie u tej części populacji, która ma nadmiar praw i wyraźny niedobór obowiązków. O takich Rosjanie mówią: Z żyru besitsja. Tak było jest i będzie, ale złe skłonności można skutecznie poskromić, a przynajmniej mocno ograniczyć. Przede wszystkim trzeba stworzyć młodym warunki do rozładowania gromadzących się głowach emocji. Z braku wojen prawdziwych młodzieńcy, którym krew zaczyna w żyłach się gotować urządzają sobie sami wojny zastępcze, na których mogą popisywać się sprytem, siłą i wyróżniać odwagą, tym bardziej, że zupełnie niewielkie ponoszą ryzyko wiedząc o prawach, które cynicznie wykorzystują, mimo, że sami nie uznają żadnego porządku prawnego i mają gdzieś poszanowanie cudzej własności. Kiedyś buszujące hormony skutecznie pacyfikowali rekrutom kaprale, podczas obowiązkowej służby wojskowej. Inni, bardziej ambitni realizowali swoje młodzieńcze potrzeby podejmując ciężki i wyczerpujący trening w sportach walki, sięgając po latach wyrzeczeń po olimpijskie medale. Dziś inne czasy i inne obyczaje. Panuje nam miłościwie łatwizna i bylejakość podczas pełnienia obowiązków, a w życiu prywatnym trywialna obrzędowość i rozbuchana celebra. Organy ścigania działają w ślimaczym tempie, a wymiar sprawiedliwości przypomina labirynt, w którym sprawiedliwości trzeba szukać ze świecą. Slogan o państwie prawa znajduje na razie zastosowanie tylko w stosunku do przestępców, którzy skwapliwie korzystają z wszelkich norm prawnych, utrudniających wymierzenie im sprawiedliwych kar. Gorzej jest z wyegzekwowaniem praw przysługujących ofiarom przestępstw, ale na to nasze państwo, nastawione głównie na działania pozorowane już niestety nie stać. I tak w koło Macieju, od wyborów do wyborów. Najważniejsze, żeby nie robić nic takiego, co mogłoby zrazić wyborców do leniwych politycznych elit. Najlepiej poczekać aż całą robotę wykona Opatrzność i wolny rynek. **Mutato nomine de te fabula narrator.**

My, wykluczeni

. A.D.19.05,2011

Historia lubi czasem płać figle, zmieniając niespodziewanie wektory wydarzeń, po zaskakującym przejściu sterów, wywołanych przez ludzi ruchów społecznych. Znamienny jest tu przykład Wielkiej Rewolucji Francuskiej, która przyniosła narodowi jeszcze bardziej okrutną dyktaturę od tej, którą obaliła. Wiele można takich przykładów znaleźć w dziejach, ale na prawdziwy chichot losu wygląda ten, który pokazuje jak zaczyn marginalizacji solidarności międzyludzkiej miał swój początek u zarania ruchu robotniczego a później społecznego z 1980 roku, który w właśnie „Solidarność” przyjął za swoje miano.

-Wszyscy mamy jednakowe żołądki – krzyczała masowo strajkująca wielkoprzemysłowa klasa robotnicza. Elektryk przeskoczył przez płot stoczni, żeby na styropianie wylegiwać się obok dysydentów, reprezentujących wyżyny warszawskiej inteligencji.- Socjalizm tak. Wypaczenia – nie. Miliony ludzi biorąc udział w akcji strajkowej wyraziły swoją wolę równości społecznej. Gwoli prawdy trzeba wiedzieć, że w tamtych latach dochody partyjnych prominentów i kadry kierowniczej mieściły się z powodzeniem w czterokrotności wynagrodzeń przeciętnego robocizna. Niezależnie od tego czy nam się to podoba czy nie, początek obecnego rozwarstwienia społecznego miał miejsce równocześnie z

przejęciem władzy w Polsce, przez liderów zwycięskiej „Solidarności”, którzy oszołomieni wielkim zwycięstwem nie spostrzegli się, że służą liberalnym elitom zachodniego świata, dla których zwykła ludzka solidarność jest tylko nic nieznaczącym socjalistycznym hasłem.

Nie czas było sobie zawracać głowę takimi głupstwami w czasach, kiedy rozpoczęło się szarpanie masy spadkowej po Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, nazwane eufemistycznie prywatyzacją majątku narodowego. Zdumieni uczestnicy strajków, które obaliły komunę ujrzeni, że znacząca część przekształceń własnościowych nosi znamiona zwykłego szabru porzuconej własności. Nikt nie oglądał się już na ideały, więc rozpoczął się wyścig do bogactwa i władzy. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Styropianowa solidarność rozsypała się jak stoczniowa rdza w tej samej chwili, kiedy ruszył peleton wyścigu szczurów, żeby wyszarpać ile się da, ze schedy po upadłej Polsce Ludowej. Wtedy właśnie wezwany do działania przez strajkujących robotników los zakręcił w Polsce jak w tyglu. Dobrze poinformowani i sprytni uczestnicy tej akcji, utworzyli zwarty trzon beneficjentów przemian, a niezorientowanych, słabszych i biernych siła odśrodkowa historii odrzuciła na społeczny margines. To byli właśnie ludzie wykluczeni, dawni obywatele PRL-u, od tej chwili jak na ironię tytułowani panami w urzędach państwa, które ich odrzuciło. Wyszedł im naprzeciw z talerzem zupy jeden z ważniejszych sprawców antykomunistycznego przewrotu, autentyczny działacz robotniczy i społeczny Jacek Kuroń. Wykluczonych przybywało z dnia na dzień z roku na rok. Każda kolejna fala prywatyzacji upychała zbędnych pracowników na kuroniówkach, wyżebranych rentach, wcześniejszych emeryturach, pomostówkach, ośrodkach pomocy społecznej, pod budkami z piwem, w noclegowniach i stołówkach brata Alberta. Armia zbędnych ludzi rosła w Polsce szybciej niż plama ropy w Zatoce Meksykańskiej. Najmocniej duch powracającego po 45 latach kapitalizmu zakręcił ludźmi starszymi, a tymi w średnim wieku nieco mniej. Najdotkliwiej jednak uderzył w młodzież wchodzącą w zawodowe życie. Szeroko niegdyś otwarte dla absolwentów szkół bramy zakładów przemysłowych skurczyły się do rozmiarów ciasnych furtek, przez które bez protekcji nie sposób się precyzyjnie przesuwać. Pozostała im tułaczka po unijnej Europie, gdzie wprawdzie można lepiej zarobić, ale niestety kosztem rozłąki, rozbitych rodzin i degradacji, do poziomu pracowników najpodlejszej kategorii. Setki tysięcy młodych Polek i Polaków ekonomicznie wykluczonych z Ojczyzny, zamiast budować swoją teraźniejszość razem z potencjałem własnego kraju, wysługuje się bogatym społeczeństwem Zachodu dla pieniędzy, których nie mogą zarobić we własnym kraju. Nie mogą zmienić tej opinii nieliczne wyjątki polskich emigrantów, którym za granicą się powiodło, udało im się zrobić karierę na miarę swoich możliwości i oczekiwań. Tak, więc po 20 latach owej, przesławnej transformacji społeczeństwo polskie dzieli się po połowie na beneficjentów i wykluczonych. **Quo vadis.**

Matecznik dobrobytu

A.D.27.05.2011

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Barak Obama podróżuje po krajach Europy w glorii wielkiego przywódcy Wolnego Świata, któremu udało się skutecznie

dosięgnąć najniebezpieczniejszego terrorystę naszych czasów, bezlitosnego mordercę tysięcy niewinnych ludzi, Osamę bin Ladena. Chwała za to Ameryce, że chce i potrafi skutecznie pełnić rolę światowego szeryfa, ponosząc niemałe koszty materialne i składając w ofierze życie swoich żołnierzy. Światowy terroryzm wywodzący się głównie z siedlisk ortodoksyjnego islamu, zdaje się przegrywać z dążeniami do lepszego życia gwałtownie rosnącej populacji muzułmanów na świecie. Trwający już od dziesięcioleci napór ubogich imigrantów na mateczniki dobrobytu nasila się nieustannie, stawiając w kłopotliwej sytuacji rządy krajów opływających w bogactwa. Wyznawcy proroka Mahometa biją wprawdzie pokłony Allachowi klękając na dywaniku na głos muezina, rozlegający się ze szczytów minaretu, ale w międzyczasie dzięki nowoczesnej elektronice napawają się widokiem długonogich, półnagich hurys spacerujących, po kolorowych ulicach zachodnich miast. Patrząc na te cuda nie chcą już czekać, na obiecywany przez mułłów wątpliwy raj w zaświatach, skoro mają go na wyciągnięcie ręki, czyli po drugiej stronie Morza Śródziemnego. Zamiast przeciskać się przez przerażającą i bolesną furtę śmierci, wołają mniejsze ryzyko podczas forsowania łaskawszego niekiedy morza, na przeładowanych do granic możliwości, chybotliwych łajbach.‘

Zachwyconych wizją życia w ziemskim raju jest miliony, a tylko ułamek procentu z nich, najodważniejszych, najsprytniejszych i najbardziej zdeterminowanych rusza ku brzegom bogatej i hojnej, socjalnej Europy, po złożeniu przewoźnikom haraczu z oszczędności całego życia. Zachodni Świat broni się przed napływem ubogich sąsiadów na wszelkie sposoby, stawiając administracyjne, prawne i fiskalne bariery niechcianym przybyszom, posuwając się nawet do ich deportacji, ale niewiele może, zmuszony do przestrzegania praw człowieka, które sam wymyślił i ustanowił. Rządy nie są, więc w stanie powstrzymać tych nieustannie ciekających strumyczków spragnionych lepszego życia nieszczęśników, które rozlewają się w miejskiej przestrzeni bogatych krajów tworząc zwarte akwenty odmiennych kulturowo społeczności, ochoczo korzystających z przywilejów socjalnych, przysługujących wielodzietnym rodzinom, o dochodach niższych od krajowego minimum socjalnego. Ci, którym się nie udało uciec spod władzy bezlitosnych satrapów, wystawiają ku niebu satelitarne anteny i z zazdrością patrzą, jak na elektronicznych obrazkach ich pobratymcy używają życia na równi z niewiernymi, którzy jakby kpiąc sobie z obietnic Proroka urządzili sobie raj tu i teraz. Nic jednak nie trwa wieczne. Nawet ludzie Wschodu nawykli do zginania karku przed zwierzchnictwem, mają ograniczoną wytrzymałość do dźwigania jarzma, nałożonego przez mniej lub bardziej okrutnych dyktatorów. Tym bardziej, że w dobie wszechobecnej, elektronicznej informacji coraz trudniej jest zabełtać ludziom w głowach, przy pomocy pustych frazesów i utrzymać w totalnym posłuszeństwie. Dlatego zawrzało wreszcie w arabskiej części Afryki i na Bliskim Wschodzie. W niektórych krajach jak Tunezja i Egipt dyktatorzy ulegli presji tłumu i ustąpili, zanim pożoga ogarnęła kraj, a liczba śmiertelnych ofiar była jeszcze niewielka. W innych jak Syria, trwają krwawe demonstracje, a w Libii toczy się wojna domowa. Gnębione przez tyranów społeczeństwa uwierzyły, że mogą ich obalić i otworzyć sobie bramy wolności, a odebrane satrapom bogactwa staną się ich udziałem. Nie zdają sobie sprawy, a może nie chcą wiedzieć, że każda rewolucja jest bolesnym wstrząsem dla gospodarki i niesie ze sobą znaczne obniżenie poziomu życia wstrzymując, a często cofając rozwój kraju na długie lata.

Rozczarowanym rewolucjonistom pozostanie, więc exodus na wymarzone wyspy szczęścia, które powstały **także** z ich udziałem, bowiem nie jest tajemnicą, że kumulacja bogactwa w luksusowych enklawach Zachodu, odbywała się również kosztem eksploatacji kolonialnej i postkolonialnego wyzysku ludności zamieszkałej, na ogromnych obszarach świata. Wtedy może nastąpić eksplozja, która zburzy mateczniki dobrobytu. - Jak uniknąć tej apokalipsy? – zastanawiali się przywódcy światowi, których Obama wezwał na naradę do Paryża. Na razie nie znaleźli dobrej odpowiedzi na to pytanie. **Quod capita, tot sensus.**

Sami swoi

A.D.02.06.2011

Historia, nauczycielka życia pokazuje nam, jak walczący z tyranią w imię wolności rewolucjoniści, zajmując miejsce obalonych dyktatur, szybko upodabniają się do swoich odsuniętych od władzy poprzedników. Z dnia na dzień obrastający w tłuszcz wyzwoleńcy zapominają o dumnych i szlachetnych hasłach ze sztandarów, pod którymi walczyli lub co gorzej zamieniają je w wyświechtane frazesy. Nie wiedzieć, kiedy, nowa władza zaczyna przyznawać sobie te same lub jeszcze większe przywileje i synekury od tych, które poddawała ideowej i moralnej przyganie oraz zaciekle zwalczała u gnębiących lud satrapów. Jednym z ważniejszych postulatów strajkujących w sierpniu 1980 roku robotników było ograniczenie przywilejów i samowoli rządzącej wówczas partii. Znalazło to wyraz w zawartym z komunistyczną władzą porozumieniu. Kto jeszcze dziś pamięta, iż punkt 13 z listy 21 postulatów głosi, żeby dobierać kadrę kierowniczą na zasadzie kwalifikacji a nie przynależności partyjnej? Przynajmniej pod tym względem nic się przez 20 lat poza rządzącą partią nie zmieniło. Ta, która sprawuje dziś władzę utworzyła potężną klikę, która obsadza wszystkie liczące się stanowiska w rozbudowanej do absurdu centralnie sterowanej biurokratycznej machinie. Nie inaczej jest na szczeblach samorządowych. Gdzież, więc są ci płomienni obrońcy sprawiedliwości społecznej z tamtych lat. Dlaczego nie krzyczą, nie strajkują? Otóż zajęli oni miejsce komunistycznych sekretarzy z tym, że tamci nie marzyli nawet o luksusach, w jakich żyją dziś rewolucjoniści, którzy ich obalili. Trybun ludowy Lech Wałęsa dawno się skomercjalizował i w amerykańskim stylu zajmuje się robieniem pieniędzy, podobnie jak inni liderzy Solidarności, którym udało się zainstalować na stałe w orbicie władzy i mocno uchwycić klucz do państwowej kasy. Dobre samopoczucie ani na moment nie opuszcza postsolidarnościowych elit. Prezydent Bronisław Komorowski zachowuje się jak prawdziwe panisko. Celebrytuje swój urząd dogadzając raz po raz etosowym kolegom, szczególnie tym ze stażem w Unii Wolności i Kongresie Liberalno-Demokratycznym. Rozdaje, więc swojakom wysokie odznaczenia na prawo i lewo, a uściślając, wyłącznie na prawo, widząc tylko tam zasłużonych twórców polskiej demokracji. Widać coraz wyraźniej, że postsolidarnościowe elity wpadają w samozachwyty, wydłużając z dnia na dzień listę domniemanych sukcesów kraju nad Wisłą, pod ich niezastąpionym, genialnym kierownictwem. Takim spektaklem promującym rządzącą obecnie frakcję styropianowych elit była wizyta w Polsce prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Baraka Obamy. Nasz etosowy prezydent nie zaprzepaścił wspaniałej okazji, żeby uhonorować swoich kolegów, dając im zabłysnąć w blasku najpotężniejszego człowieka świata. Cała ta dość żenująca maskarada zaczyna przypominać propagandę sukcesu, którą z równą determinacją uprawiali ongiś, rządzący w Polsce komuniści. Podczas hucznych obchodów jubileuszu Tysiąclecia Państwa Polskiego I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka krzychał z sejmowej trybuny: - Polska Ludowa ukoronowaniem tysiącletnich dziejów państwa polskiego i zapewnił, że bliski jest moment, kiedy prześcignemy gospodarczo Francję i

Anglię. Dekadę później Edward Gierk ogłosił, że Polska jest dziesiątą gospodarką świata. Jak to się zakończyło wiedzą dziś nawet studenci na pobierających czesne niezliczonych, wyższych uczelniach?

Teraz jesteśmy rzekomo wznoszącym się orłem, albo zieloną wyspą wśród morza objętej recesją Europy. Mamy aspiracje przynależności do grupy G-20 i bierzemy udział w wojnach interwencyjnych, prowadzonych w imię obrony zachodniej cywilizacji. Tymczasem jednak rzeczywistość skrzeczy. Po dwudziestu latach kolejnej odbudowy i transformacji jesteśmy równie daleko w tyle za europejską czołówką, jak pół wieku wcześniej, a może jeszcze dalej. Co z tą Polską? Czy jest naprawdę kondominium niemiecko-rosyjskim jak głosi prezes wyrosłej z tego samego pnia, co rządząca elita partii opozycyjnej? No, może jest w tym sporo złośliwej przesady. Nie ulega jednak wątpliwości, że po dwudziestu latach przemian, posiada nasz kraj rzeczywisty status półkolonii bogatych krajów starej Unii.

Dwa miliony Polaków w najlepszym okresie swego życia tyra na emigracji; budując dobrobyt unijnych potentatów. Kilka milionów innych pracuje za marne na ogół wynagrodzenia w krajowych firmach, będących własnością zagranicznego kapitału. Zamiast krzemowej doliny wybudowaliśmy gigantyczną sieć sklepów, gdzie wydajemy z takim trudem zarobione grosze, obficie uzupełnione lekkomyślnie zaciągniętymi kredytami. Budowlany boom, jaki przeżywa kraj ma swoje źródło niemal wyłącznie w kredycie, a dług publiczny rośnie szybciej niż grożący światu efekt cieplarniany. **Malam rem cum velis honestare improbes.**

Wznoszący się orzeł

A.D.09.06.2011

Jest wielu cudzoziemców biegłych w realiach współczesnej Polski, którzy nadziwić się nie mogą, że nasz sarmacki kraj nierządem i burdą stający na progu rewolucji naukowo-technicznej, co stworzyła podwaliny współczesnej cywilizacji, potrafił wreszcie wybić się na niepodległość, w dodatku bezkrwawo i sam z siebie zorganizował sobie stabilne państwo, które zaczyna być szanowane w krajach starej i nowej Europy, a nawet za Wielką Wodą. Jak to się stało, że wizytówka w postaci III Rzeczypospolitej jawi się dziś, jako znacznie lepsza od oryginału? Nie jest, bowiem tajemnicą, że Polska znana była do tej pory, jako kraj zacofany, siedlisko ciemnoty, zabobonu, kołtunerii, obskurantyzmu i bohaterszczyzny. Złą tradycją naszego narodu stało się podnoszenie do rangi patriotycznych czynów doznawanych nieustannie klęsk i niepowodzeń oraz obarczanie odpowiedzialnością za nie, kogo się tylko dało, z wyjątkiem własnej głupoty i nieporadności. Nie uległy jeszcze zatarcu w pamięci echa klęski wrześnieowej, kiedy to napuszona megalomanią sanacja runęła po ciosami zbrodniczych hitlerowskich hord, a wódz naczelny w popłochu zwał za granicę. Inni nieodpowiedzialni narwańcy wywołali niepotrzebne powstanie stwarzając wrogowi okazję do zniszczenia stolicy i wymordowania 200 tysięcy warszawiaków, a wśród nich intelektualnej elity narodu.

Z tych i wielu innych powodów należy się zastanowić nad tak korzystną zmianą mentalności narodu, biorąc pod uwagę, że w kraju nad Wisłą wszystko jest na opak. Nawet góry niestety są na południu a morze na północy, jakby na złość. To był prawdziwy cud. Większy chyba od tego nad Wisłą z 1920 roku, W kraju, gdzie zaczynała się większość

europijskich wojen dokonał się bezkrwawy przewrót, który dał początek zmianom owocującym nowym ładu światowym. Magdalenka i Okrągły stół stały się symbolami mądrości narodowej, a Kuroń Michnik i ich partnerzy po stronie ustępującej ze sceny dziejowej komuny mężami opatrznociowymi, którzy uchronili kraj przed sowiecką interwencją i położyli fundament pod narodowe porozumienie.

Kiedy Solidarność dostała zadyszki skuteczną zmianę u steru państwa dali postkomuniści. Bardziej pryncypialni od prawicy, bo ze względu na przeszłość było im mniej wolno. Zakotwiczyli państwo polskie w NATO i Unii, a Aleksander Kwaśniewski imponując międzynarodowym obyciem, umiejętnością porozumienia i współpracy z wszystkimi, liczącymi się siłami politycznymi, zasłużył sobie na efektowną reelekcję już w pierwszej turze prezydenckich wyborów. Należy mu wybaczyć niefortunne zachwianie, bo być może nie mieliby mu za złe spoczywający w grobach nasi przodkowie, którym zgodnie z polską naturą podobne zachwiania musiały się także za życia zdarzać

Kościół katolicki zajęty bogaceniem się i rewindykacją utraconych za komuny majątków mniej wtrącał się do polityki, choć przyznać należy, że były groźne momenty, kiedy mocno popierał siły usiłujące zawrócić bieg historii. W bliskiej i dalekiej przeszłości bywało, że Kościół miał w społeczeństwie gorsze notowania. Wystarczy przypomnieć jak niegdyś skończyli biskupi, którzy zdradzili narodową sprawę. Należy się, więc cieszyć, że obok toruńskiej istnieje wśród duchowieństwa wcale liczna i silna frakcja popierająca III RP. Słuchając głosów oburzonych malkontentów na sprzedajne media, przypominam sobie jak przy zasłoniętych oknach w obawie przed wszędobylskimi szpiclami, skupieni przy bucującym i świszczącym odbiorniku słuchaliśmy Radia Wolna Europa, głosu wolnej Polski. Oburzają mnie, więc głosy młodych ludzi, którzy może jeszcze dla Polski nic dobrego nie zrobili i najpewniej nie zrobią, poniewierające Adama Michnika, który odsiedział swoje w więzieniu za to, żeby oni mogli, dziś go bezkarnie opluwać. Nie ustrzegli się ojcowie założyciele III Rzeczypospolitej poważnych błędów. Wyszli jednak na prostą odpierając groźne ataki sił wywodzących się Ciemnogrodu, bazujących na potężnym zachowawczym bloku społecznym, usiłującym zablokować wszelkie próby ukształtowania państwa według nowoczesnych, zachodnich wzorców. Wielkim błędem jest, więc oskarżanie wyłącznie państwa o całe dziejące się w Polsce zło. W większym stopniu należy szukać przyczyn niegodziwości w zwykłej ludzkiej chciwości rozbudzonej, a nawet rozbuchanej po zruceniu jarzma totalitarnego systemu. Czerpiąc z życiowych doświadczeń wytykam nieustannie władzy błędy, potknięcia i zaniechania, ale na Boga nie mogę ograniczyć się do totalnej krytyki mając w pamięci słowa Tadeusza Boya Żeleńskiego:

„Eunuch i krytyk z jednej są parafii. Obaj wiedzą jak, żaden nie potrafi. Nie mam też zaufania do publicystów, dla których rzyganie jest sposobem głoszenia własnych, kontrowersyjnych poglądów. **Omnis definitio periculosa est.**”

Skażony rynek

. A.D.06.06.2011

Zwycięska Solidarność wyniosła do władzy w Polsce liberałów, a ci jak na neofitów przystało znieśli, a przynajmniej zdecydowanie poluzowali wszelkie bariery w obrocie gospodarczym. Ustami ministra Syryjczyka zostało wyartykułowane wiodące hasło nowego ładu, a może nieładu gospodarczego. –Najlepszą polityką gospodarczą jest brak polityki gospodarczej. To libertyńskie zawołanie zostało podbudowane likwidacją policyjnych komórek zajmujących się przestępczością gospodarczą. Może w tym właśnie należałoby szukać genezy niebywalej w naszych dziejach ekspansji nielegalnego obrotu alkoholem. Niedługo po tym, przez rzekome niedopatrzenie nowa władza uchyliła niewielką furtkę w stosownych przepisach, a ta wystarczyła, żeby szeroko się otwarła brama, przez którą wlały się do naszego kraju tysiące hektolitrów słynnego Royalu, stawiając wszystkie krajowe gorzelnie na skraju bankructwa. Po tym efektownym posunięciu krajowych liberałów-teoretyków trzeba było kilkunastu lat, żeby polski przemysł spirytusowy, jako tako stanął na nogi. Do dziś zresztą nie osiągnął dawnego znaczenia na światowym i europejskim rynku. Za to wielka prosperity stała się udziałem gospodarczego podziemia w produkcji i obrocie alkoholem. I tak obok przemytu najważniejszą gałęzią zaopatrzenia wolnego społeczeństwa w wyroby alkoholowe stał się obrót alkoholem skażonym, lecz przeznaczonym do spożycia. Całkiem legalnie, bowiem można zamówić sobie do domu każdą ilość skażonego spirytusu za jedyne 3 złote i 39 groszy za litr. Przygotowanie tego trefnego trunku do spożycia nie nastrocza specjalnych trudności, dlatego jak grzyby po deszczu wyrastają w całym kraju nielegalne fabryki, gdzie rozlewa się go do litrowych, plastikowych butelek, a nawet wykorzystuje do fałszowania wódek najpopularniejszych na rynku marek. Zaopatrzone w oryginalne etykiety i znaki akcyzy butelki z tym paskudztwem, trafiają następnie na sklepowe półki przysparzając właścicielom zysków, o jakich nie mogliby nawet śnić, sprzedając wódkę z legalnych źródeł, a litrowe plastiki trafiają do rozbudowanej, tajnej sieci sprzedaży detalicznej. Widocznym znakiem prosperity tego procederu są doniesienia z kronik policyjnych, o likwidowanych od czasu do czasu ogniwach tego przestępczego systemu, które jednak odrastają szybciej niż głowy Hydry. Potwierdzają te informacje źródła szpitalne donosząc o licznych ciężkich zatruciach alkoholem niewiadomego pochodzenia, często śmiertelnych. Niewielkie ryzyko ujawnienia i iluzoryczna raczej nieuchronność kary powoduje rozkwit trującego biznesu, którego wartość szacowana jest na kilkaset milionów złotych. Zdaniem ludzi znających rynek od podszewki jest to wielkość mocno zaniżona. Oplakane są skutki społeczne tej wolnorynkowej patologii. Rosną zastępy przepitych i sponiewieranych przez życie alkoholików, którzy z braku pieniędzy na upragniony alkohol, podejmują pracę na dniówkę, za butelkę wartą 2 złote mikstury nazywanej na wsi napędem. Koszt takiego pracownika jest tak niski, że nawet prezes osławionego klubu biznesu, narzekający na wysokie koszty pracy w Polsce, nie znalazłby powodów do narzekań, gdyby udało się upowszechnić ten system w całej gospodarce. Poza tym wszystko jest w porządku. Rośnie produkcja, a wolny rynek kwitnie. **Mala causa silenda est.**

Trampkarze i oldboje

A.D.23.06.2011

Niezbadane są koleje losu. Przyparciu do muru, żądni sukcesów i pochwał władarze III Rzeczypospolitej, ze wstydem muszą przyznać, że największe sukcesy w futbolowym szaleństwie odnosili Polacy za komuny, a wraz z jej rozkładem marniała potęga polskiego piłkarstwa. Z łezką w oku wspominają dziś starzy kibice orłów Górskiego i Piechniczka, wracających z medalami zdobytymi na Mundialach, po zwycięstwach nad Anglią. Włochami, Argentyną, Brazylią czy Francją. Na całym świecie chłopcy kopiący futbolówkę po podwórkach znali nazwiska Deyny, Bońka i Laty. Uliczkę znam w Barcelonie, w uliczkę wyskoczy Boniek – śpiewał z telewizyjnego ekranu natchniony kibic Bohdan Łazuka. Niestety to już przeszłość daleka. Dziś reprezentację Franca Smudy leje każdy, kto chce i jak chce, ku rozpaczki żądnych światowych sukcesów polityków, którzy zniecierpliwieni indolencją działaczy, trenerów i zawodników postanowili za radą Lecha Wałęsy wziąć sprawy w swoje ręce. I stało się. Jarosław Kaczyński w poszukiwaniu dopingujących jego drużynę fanów wsparł moralnie łobuzów, którzy stoczyli walkę z policją i zdemolowali stadion Zawiszy Bydgoszcz, a kapitan teamu Platforma ogłosił swój klub drugą Barceloną i nakazał zwyciężać. Nie udało mu się jednak przestraszyć grającego trenera Jarosława, który zdołał przeciwnika nazywając jego sborną trampkarzami. Rosyjska nazwa jest tu nie od rzeczy z uwagi na zarzut, że owych trampkarzy trenuje międzynarodowy tandem: Angela Merkel i Władimir Putin.

Riposta premiera była natychmiastowa. Indagowany przez dziennikarzy rzucił dumnie, że nie będzie klękał przed księdzem. W kręgach futbolowych rozszyfrowano tę buńczuczną wypowiedź, jako brak respektu przed sławnym trenerem klubu sportowego PiS ojcem dyrektorem z Torunia. Obie drużyny od dawna przygotowują się do decydującego meczu, który odbędzie się w październiku i zadecyduje o dominacji jednej z nich w kraju, na najbliższe cztery lata. Drużyna Prawa i Sprawiedliwości zwana oldbojami, ze względu na przedwojenny styl gry wzorowany na strategii Romana Dmowskiego, upodobała sobie plac treningowy na Krakowskim Przedmieściu. Ćwiczy tam o roku frontalny atak na pozycje przeciwnika, nie cofając się nawet przed obrzucaniem głównym emblematów, zawieszanych przez nieprzyjacielskie gremia, na ścianach najślawniejszego obecnie polskiego pałacu. Oba teamy nie zaniedbują niczego, co może ich przybliżyć do sukcesu w jesiennym czempionacie. K. S. Platforma preferuje wzmacniające transfery, wzbogacając ławkę rezerwowych czołowymi zawodnikami drugiego, politycznego frontu. Ostatnio barwy tego klubu zasilili: Bartosz Arłukowicz, Dariusz Rosati i Joanna Kluzik Rostkowska. Pisowcy stracili, co prawda kilku czołowych zawodników, czego prezes jednak nie żałuje, oskarżając ich o nieojalność i podejrzewając, że mogli strzelić mu samobójca w decydującym starciu z przeciwnikiem. Szef PiS-u dba natomiast o kondycję fizyczną swoich asów angażując ich do forsownych marszów z pochodniami i wysyłając na zagraniczne wojaże, na których szlifują formę. Liderzy zespołu prowadzą za oceanem, co jakiś czas konsultacje na Kapitolu, a gracze ścisłego zaplecza mobilizują siły w sławnym z sukcesów futbolowych Urugwaju, gdzie pod okiem naszego rodaka, amigo Kobyłańskiego zdobywają stosowne kwalifikacje, żeby uporać się z wiecznie żywą w Polsce żydokomuną. Oba zespoły ćwiczą się szczególnie pilnie w nieczystych zagraniach wierząc, że umiejętność skutecznego faulowania może mieć decydujący wpływ na wynik decydującego spotkania. Boiskowe cwaniactwo świetnie opanowali tacy zawodnicy jak: Jacek Kurski, ten od dziadka z Wermachtu, wędrujący z klubu do klubu Ryszard Czarnecki i były kapitan ludowców Janusz Wojciechowski, wszyscy z klubu sportowego PiS-u, oraz Stefan Niesiołowski z drużyny Platformy. Wiadomo, że nie może być inaczej, skoro umiejętności zawodników obu drużyn są mniej niż przeciętne, a walory etyczne obu formacji mocno wątpliwe, zupełnie jak na prawdziwym futbolowym forum, zarządzanym przez Polski Związek Piłki Nożnej, gdzie bezwstyd i sprzedajność działaczy i zawodników osiągnęły apogeum. **Omnibus, notum tonsoribus.**

Chleba naszego powszedniego

A.D.07.04.2011

Szacunek dla chleba był przekazywany z mlekiem matki, z pokolenia na pokolenie. Starsze roczniki sięgają pamięcią do czasów, kiedy wypuszczoną nieopatrznie z rąk kromkę należało podnieść z szacunkiem i pocałować. Poszanowanie chleba brało się z jego niedostatku, ale też szacunku dla trudu i znoju, znaczących cały cykl pozyskiwania plonów. Począwszy od katorżniczej wprost orki, po niemniej obficie zroszone chłopskim potem pod palącym słońcem żniwa, aż do omłotów chlebobajnego ziarna zbóż. Dziś w strefie objętej zachodnią cywilizacją chleba mamy dostatek, żeby nie powiedzieć nadmiar. Powstały nawet z wybujałej fantazji szalonych dietetyków modne normy żywieniowe, w których recepturze dla chleba naszego powszedniego, posądzanego o niekorzystny wpływ na wzrost otyłości przekarmionego społeczeństwa, nie ma już miejsca. Preferuje się rezygnację z pieczywa na rzecz wysokobiałkowych preparatów mięsopodobnych. Trudno się dziwić, że nie mieści się to w głowie człowiekowi, który słyszał z ust własnego ojca twierdzenie, że samo mięso zjada tylko wilk. Widać wilcza natura stała się integralną częścią osobowości współczesnych ludzi. Inna rzecz, czy masowo dziś produkowane wyroby piekarnicze zasługują jeszcze na miano chleba, czy też są to tylko wyroby chlebobodobne, substytuty prawdziwego chleba? Zwolennicy zdrowego, tradycyjnego żywienia z niepokojem obserwują powrót do praktykowanych w stanie wojennym metod, wytwarzania pokracznych substytutów w miejsce prawdziwych, wysokiej jakości produktów żywnościowych. Tyle tylko, że wtedy produkcja wyrobów czekoladopodobnych była wymuszona brakiem ziarna kakaowego, będącym efektem sankcji ekonomicznych, nałożonych na nasz kraj przez prezydenta USA Ronalda, Regana, o czym zdajemy się nie pamiętać, nazywając jego imieniem ulice w naszych miastach, nie licząc się z odczuciami starszego pokolenia, które z jego winy zapomniało na kilka lat smaku prawdziwej czekolady. Dziś prawdziwego chleba już nie ma. W czasach, kiedy liczy się wyłącznie zysk, fałszuje się produkty spożywcze z całkiem innych przyczyn. W pogoni za większą kasą faszeruje się chlebowe ciasto różnymi specyfikami, choć od wieków wiadomo, że do wypieczenia smacznego chleba nie trzeba nic więcej poza dobrej jakości mąką i czystą wodą. Żaden w liczących się producentów, dość często mrożonego przed wypiekiem chleba nie chce się pochwalić, ile rzekomych polepszaczy zawiera produkowane na wielką skalę pieczywo. Z tego powodu na proste pytanie ile jeszcze jest mąki w chlebie trudno jest odpowiedzieć, choć nieco światła na tę kwestię rzuca procentowe zestawienie kosztów produkcji. Według Instytutu Polskie Pieczywo surowce stanowią zaledwie 30% ceny chleba, a koszty produkcji 5%. Z danych tych wynika, że dwie trzecie ceny kilograma chlebowego pieczywa przypada na koszty pośrednie i marże handlowe. Jak się to ma do przedwojennych relacji, kiedy cena 1 kilograma chleba była równa cenie 1 kilograma mąki, a piekarz utrzymywał się z nadpieku? Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Stare porzekadło głosi, że od myszy do cesarza wszyscy żyją z gospodarza. Parafrazując to przysłowie można śmiało powiedzieć, że dziś wszyscy żyją z bochenka chleba, który jest

coraz mniejszy, droższy i coraz bardziej nasycony chemią, obniżającą odporność na choroby jego konsumentów. Tak, więc na chlebie naszym powszednim żeruje sobie w majestacie prawa plejada pośredników, zgarniających niemal cały zysk pochodzący z jego wypieku, a wśród nich rozpiera się rosnący nieustannie aparat państwa, pobierający na swoje utrzymanie podatek VAT i inne podatki pośrednie, ukryte w cenach surowców i paliw zużywanych do jego produkcji. Niestety sprawność i przydatność tej wyhodowanej na coraz droższym chlebie biurokracji, jest odwrotnie proporcjonalna do jej wielkości. Im liczniejsza i bardziej kosztowna jest państwowa i samorządowa administracja tym gorzej spełnia swoją służebną rolę wobec społeczeństwa. **Mirabile dictu.**

Bitwa na głosy

. A.D.09.07.2011

To nie wiary, ale cynizm i bezczelność polityków w walce o władzę nie znają żadnych granic i kordonów, ani fizycznych, ani moralnych. W tej dziedzinie, jak w żadnej innej Polacy brylują na europejskich arenach politycznych. Co jakiś czas dają pokaz brutalnej gry na oczach widzów, oglądających rutynowe spektakle rozgrywane w unijnych instytucjach. Arcyciekawym wydarzeniem była inauguracja polskiej prezydencji na forum Parlamentu Europejskiego w Brukseli. W głównej roli wystąpił tam premier polskiego rządu, który na wyrost chwalił się okrutnie, obiecując zaangażować do pchania ociężałego, unijnego wehikułu zastępy euroentuzjastów z kraju nad Wisłą. Premier czynił swoją powinność z wielką werwą i polotem pamiętając niewątpliwie też o potrzebach kampanii wyborczej własnego ugrupowania, przed październikowymi wyborami parlamentarnymi w kraju. Stojąc z woli losu na najwyższej europejskiej trybunie, nie mógł sobie pozwolić na zmarnowanie szansy prezentacji potęgi własnej formacji, mającej kierować przez najbliższe pół roku pracami Rady Europy. Donald Tusk wzbudził swoim śmiałym wystąpieniem zainteresowanie szefów wszystkich, europejskich frakcji parlamentarnych i uzyskał ich akceptację dla priorytetów polskiej prezydencji. Ta trudna sztuka nie udała mu się niestety w stosunku do polskich eurodeputowanych. Bezwstydnie wysoko opłacani nasi europosłowie zafundowali nam nie po raz pierwszy w Brukseli niezły obciach, przedstawiając państwo polskie, jako łamiącą podstawowe prawa człowieka dyktaturę. Celował w tym Zbigniew Ziobro, mówiąc o uzbrojonych funkcjonariuszach odwiedzających wczesnym rankiem, rzekomo niewinnego internautę rozpowszechniającego w sieci grę, polegającą z grubsza na szybkim uśmiercaniu polskiego prezydenta. Po błyskotliwym wystąpieniu asa polskiej, prawicowej opozycji rozgorzała prawdziwa bitwa na polskie głosy, a zdumionym telewizjom się zdawało, że oglądają na żywo swojskie, plenarne obrady przy Wiejskiej w Warszawie. Tym bardziej, że przewodniczył dobrze nam znany Jerzy Buzek, były premier z czasu rządów Akcji Wyborczej Solidarność. Bezpośrednia transmisja prowadzona przez krajowe media wywołała retoryczne raczej, choć bezpardonowe zwarcia z udziałem wybrańców wszystkich opcji politycznych, delegowanych do unijnych władz, którzy nie omieszkali wykorzystać wspañialej okazji, żeby zademonstrować swoją aktywność i udowodnić, że pieniądze z unijnej skarbonki należą się

im jak psu zupa. Polskie przedstawienie w Brukseli przerwał, ale tylko na chwilę, niejaki Barry Madlenev, przedstawiciel hedonistycznej Holandii, który za nic mając wielkość Polski i zasługi jej wybitnych przedstawicieli stwierdził, że jego bogaty kraj nie będzie tolerował masowego napływu bezrobotnych Polaków i żebrzących na ulicach Romów. Tym samym polityk z kraju, który należy do członków założycieli Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, przewodniczki Unii podważył jedno z jej fundamentalnych założeń o swobodnym przepływie ludzi i idei. Przewodniczący Parlamentu chcąc rozładować narastające napięcie i spowodować krótkie choćby zawieszenie broni między wojownikami regularnej, polsko-polskiej wojny nakazał podać do ogólnej konsumpcji dorodnie prezentujące się polskie truskawki. Pomysł na wyciszenie słownej agresji był isticie przedni i skuteczny na tyle, że bitwa na głosy i o głosy wyborców zamarła na jakiś czas, a na wspaniałej sali słycać było mlaskanie i cmokanie z podziwu nad smakiem i dobrocią wspaniałych owoców, będących efektem pracy imigrantów zza wschodniej, unijnej granicy. Miły i budujący był widok zadbanych mężczyzn w markowych garniturach, od których emanował dobry nastrój. Wtedy właśnie moja świadomość podsunęła mi kiczowaty, elektroniczny obrazek z telewizyjnego spotu reklamowego, na którym zadowolony z siebie, celebryta przekonuje oglądających go widzów, że stan ducha człowieka zależy od stanu jego konta. Patrząc na tych zadowolonych i uśmiechniętych polityków pomyślałem, że na ich kontach muszą być zdeponowane wcale pokaźne kwoty, a twórca tego sloganu reklamowego naprawdę trafił w sedno, bo stan konta jest dziś fundamentem światowego nieładu społecznego. **Nec plus ultra.**

Róg obfitości

A.D.17.07.2011

Kiedy okrutny Bóg z kart Starego Testamentu wypędził naszych rodziców z raju rodzaj ludzki został skazany na stały niedostatek. Trudno, więc się dziwić, że od zarania obfitość dóbr była największym marzeniem ludzkości, znajdującym swoje odbicie w licznych wierzeniach i mitach starożytnego świata. Symbolem marzeń o życiu w dostatku stał się róg kozy Almatei, który po błogosławieństwie młodego Zeusa napełniał się dobrem wszelakim na życzenie jego posiadacza.

Dziś cywilizacja Zachodu napędzana chciwością, wytworzyła, nie oglądając się na dobroć greckich bogów taką obfitość towarów, że nie sposób je pomieścić w setkach tysięcy, a może milionach straganów, sklepów, magazynów i składów wszelkiego rodzaju. Ten zbiorowy sukces części ludzkiej populacji, bardzo trafnie nazywany cudem gospodarczym zupełnie odwrócił sytuację, stwarzając problem nadmiaru w miejsce permanentnego przez całe tysiąclecia niedoboru. Mądre przysłowie głosi, że jeśli ktoś nawarzył piwa powinien je wypić. W myśl tego porzekadła zostały powołane do energicznego działania potężne sztaby fachowców biegłych w wielu dziedzinach, skupione pod sztandarami konsumpcjonizmu, żeby znaleźć nabywców na wyprodukowane dla osiągnięcia zysku dobra. Niezwykle trudno wykonać to zadanie. Nie byłoby może trudności ze sprzedażą towarów niezbędnych człowiekowi do życia, ale problem polega na tym, że zdecydowaną większość owych dóbr stanowią te, które z praktycznego punktu widzenia należałoby określić, jako zbędne a

przynajmniej takie, bez których człowiek może się doskonale obejść. Można osiągnąć ten cel stosując sztukę marketingu, wywodzącą się w prostej linii z tysiącletnich doświadczeń kramarstwa używającego starych, wypróbowanych sposobów, zmierzających do wciśnięcia klientowi towaru, którego niekoniecznie potrzebuje, za jak najwyższą cenę. Zdolni straganiarze zazwyczaj wtedy święcili sukcesy, kiedy zachwalając swój towar odwoływali się do cech i uwarunkowań psychiki potencjalnych nabywców. Dziś domorosłych znawców ludzkich słabości zastąpili psychologowie dostarczający handlowcom wielu nowych sposobów na uszczuplenie zawartości naszych kieszeni. Służy do tego nie tylko oddziaływanie na nasz wzrok, węch i słuch. Próbuje się nawet zaglądać człowiekowi do mózgu. Udowodniono, że jeśli mamy zakodowane w głowie pewne skojarzenia związane z marką towaru, to wybieramy właśnie ten towar bez analizowania jego smakowych i użytkowych walorów. Najlepszym, bo najskuteczniejszym jak dotąd sposobem upłynnienia nagromadzonych przez handel towarów, okazują się być wyprzedaże, organizowane często w formie przyciągającej tłumy, baśniowej nocy zakupów. Są to prawdziwe łowy na uzależnionych od kupowania jeleni, zwabionych znaczącą, sezonową obniżką cen. Zakupoholicy święcie przekonani o oszczędnościach, które poczynili, wracają do domów z nocnych łowów z torbami najzupełniej zbędnych rzeczy, które niedługo po tym wyrzucą, na wyrastające do monstrualnych rozmiarów składowiska śmieci. Tymczasem jednak pławią się w oparach rzekomego sukcesu nie zdając sobie sprawy, że tak naprawdę zostali zapędzeni przez sprytnych handlarzy w kozi róg. Wyrzucanie na śmietnik często wcale, lub niewiele używanych wytworów pracy ludzkiej jawi się, jako jeden z najcięższych grzechów tego świata, niszczący szacunek dla ludzkiej pracy, marnotrawiący z takim trudem wydarte ziemi bogactwa, dewastujący nasze miejsce na ziemi. W tym samym czasie, kiedy potężne buldożery ugniatają na wysypiskach cywilizowanego Zachodu tysiące ton wyrzuconej żywności, na spalonej słońcem, spękanej ziemi w Rogu Afryki umierają tysiącami, rachityczne, zagłodzone, nękanie chorobami dzieci. Enklawa zachodniego dobrobytu żyje sobie zaś beztrąsko, otoczona rozrastającymi się wciąż obszarami przemocy, głodu, ludzkiej poniewierki i niedoli. Niestety w naszym zdominowanym przez globalny konsumpcjonizm świecie brakuje jak dotąd nośnej idei, która mogłaby dać skuteczny impuls do pozytywnych zmian i nie nastąpi to dopóty, dopóki będziemy się usprawiedliwiać wygodną dla zadowolonych z życia bogaczy wymówką: **Nec Herkules contra plures.**

Dopust Boży **A.D.21.07.2011**

Za wygnanym z Edenu Adamem rzucił Pan Bóg złowieszcze słowa. – W pocie oblicza swego będziesz pożywał chleba. Trudno było o gorszą przepowiednię u zarania rozwoju ludzkości, pozbawionej nagle i niespodziewanie rajskiego dostatku. Wkrótce jednak nasi praprzodkowie, przynajmniej ci sprytniejsi ochłonawszy z traumy wywołanej gniewem Najwyższego spostrzegli, że niekoniecznie muszą tyrać na kawałek chleba, skoro przebiegłość i spryt podsuwają im o niebo łatwiejsze sposoby zaspokojenia życiowych potrzeb. Właśnie od tych zamierzchłych czasów datuje początek zawłaszczania

wytworzonych w pocie czoła dóbr, podstępem i przemocą. Oba sposoby okazały się na przestrzeni dziejów niezwykle skuteczne. Z tym, że przemoc jawi się nam, jako rzecz złowroga i brutalna, a podstęp, jako bardziej perfidny. Nowoczesne systemy zawłaszczania dóbr bez użycia bezpośredniej przemocy, zaczęły się rozwijać równo z wynalezieniem przez Fenicjan pieniądza. Wśród nich największe znaczenie osiągnęły: lichwa i spekulacja. Oba te sposoby okazały się znacznie skuteczniejsze od siłowego zaboru mienia, metody ciągle jeszcze powszechnie stosowanej, choć uznawanej przez społeczeństwa cywilizowane za niedopuszczalną. W naszych czasach, zdominowanych przez liberałów teoriami o politycznej poprawności i niezbywalności praw człowieka, to właśnie spekulacja stała się najwyższą formą rozboju, a lichwa najskuteczniejszą metodą wyłudzenia owoców cudzej pracy. Lichwa utożsamiana przed II wojną głównie z wierzycielami pochodzenia żydowskiego, zgłosiła zupełnie w czasach PRL-u, żeby bujnie odrodzić się w wolnej Polsce. Dziś w formie zinstytucjonalizowanej puka do naszych drzwi i niszczy zdesperowanych, naiwnych, na gwałt potrzebujących gotówki dłużników, nagradzając niekiedy niemożliwą do ściągnięcia pożyczką, nieposiadających niczego meneli i cwaniaków z pogranicza świata przestępczego.

Inaczej jest ze spekulacją, która zyskała instytucjonalne fundamenty ustrojowe i stała się obok oglupiającej reklamy główną siłą napędową współczesnej gospodarki. Świątyniami spekulacji są liczne jak gwiazdy na niebie banki. Obwarowana tam oligarchia finansowa, zapatrzona w bożka maksymalizacji zysku dyktuje światu swoje zasady i prawa. Banki do tego stopnia zdominowały obrót finansowy, że tylko nieliczna wartościowo część transakcji płatniczych odbywa się poza zasięgiem ich wszechobecnych macek. Za swoje nie zawsze chciane usługi, każą sobie drogo płacić mimo tego, że korzystają z marnie oprocentowanych, zdeponowanych u siebie pieniędzy klientów. Dysproporcja między niewielkim kosztem pozyskiwania pieniądza, od przymuszonych często do korzystania z ich usług ludzi, a niebotycznym oprocentowaniem kredytów, jest prawdziwym haraczem płaconym przez ludzi pracy spekulantom, którzy niemal bez reszty opanowali rynek finansowy.

Wraz z rozwojem cywilizacji zmniejsza się procentowo liczba populacji trudniącej się wytwarzaniem dóbr, rosą zaś wciąż niezliczone armie pośredników żyjących dostatnio z marż, narzutów i zysków doliczonych do cen towarów, jako nie całkiem zasłużona wartość dodatkowa. Innym, bolesnym obciążeniem sił wytwórczych jest kosztowne utrzymanie, rozwijającej się nieustannie metodą pączkowania, państwowej i samorządowej administracji. Między tymi, którzy wnoszą największy wkład do wytworzenia symbolicznego bochenka chleba, a największymi jego konsumentami panuje z roku na rok coraz większa i bardziej bolesna nierównowaga, której w imię człowieczeństwa nie należałoby jednak traktować, jako dopust Boży. Zwiększa się wprawdzie wolność, ale jest to wolność również dla wyzysku człowieka przez człowieka. Może, więc z braku innych idei poza oszalałą konsumpcją, nie wyrzucamy jeszcze na śmietnik historii, uważanych za utopijne, hasła w rodzaju: Wolność. Równość. Braterstwo. **In, sudore vultus tui vesceris pane.**

Bieguny przemocy i zbrodni

A.D.28.07.2011

Koniec II wojny światowej rzucił nasz kraj w objęcia systemu, którego korzenie tkwiły w ideologii lewicowej przemocy, niecofającej się nawet przed zbrodnią. Z upływem czasu lewicowy terror systematycznie słabł, lecz mimo cyklicznych buntów trzeba było dziesiątek lat, żeby ostatecznie opadł z ludzi, podtrzymujący komunistyczny ustrój strach. Wtedy pozbawiony spoiwa system rozsypał się niemal w jednej chwili, jak dziecinny domek z kart. Pod wpływem fundamentalnych zmian ustrojowych wahadło społecznych nastrojów, opuściło lewą stronę i powędrowało pod skrajnie prawicowy znak. Chwała tym, dzięki którym przemiany społeczne i ustrojowe miały pokojowy przebieg i łagodny charakter. Niestety na solidarnościowej przemianie zaczęła wyrastać prawicowa ekstrema. Zamiast osądzić funkcjonariuszy reżymu winnych totalitarnej przemocy, potraktowano lewicowość, jako przestępczą ideę i gnębiono wszystkich, którzy ośmielili się mieć lewicowe poglądy. Z postsolidarnościowych elit wyłoniła się radykalna frakcja, która bezlitośnie zaatakowała nie tylko postkomunistów, ale też dawnych kolegów, którzy przejęli w Polsce władzę. Symptomatycznym przykładem prawicowego odchylenia było złożenie hołdu w Londynie, przez wywodzących się z Solidarności, prominentnych polityków, chilijskiemu, prawicowemu dyktatorowi Augusto Pinochetowi, który rozprawił się krwawo z legalnym rządem i jego zwolennikami. Innym przykładem była nominacja na ministerialne stanowisko dla zadymiarza, który w Paryżu rozbijał jaja na wizytujących Francję, osobach polskiego prezydenta i jego małżonki. Sygnały przyzwalające na wybryki prawicowych ekstremistów płynęły z najwyższej, politycznej półki. Wysokie odznaczenia i pomniki dla kontrowersyjnych, prawicowych bojowników, prowadzących po wojnie zbrojną walkę z uznanym przez najważniejsze kraje świata państwem polskim, przyjmowane były ze zdumieniem przez żyjących jeszcze ludzi, od nich pokrzywdzonych. W ferworze i zgiełku bezlitosnej walki politycznej, jej główni uczestnicy cynicznie wykorzystują każdą, nadarzącą się okazję, żeby mocno przyłożyć przeciwnikowi, nie zważając na negatywne skutki społeczne własnych poczynań. W ramach bijatyki postsolidarnościowych elit oglądaliśmy ostatnio żenujące spektakle z udziałem polityków, którzy nad merytoryczny spór przedkładają zwykłą, słowną rozróbę. Szczególnie obłudnie zabrzmiały w ustach niektórych, czołowych polityków argumenty, podniesione w obronie stadionowych bandytów, którzy rzekomo są dyskryminowani przez władze, za publiczne prezentowanie swego przywiązania do patriotyzmu i tradycji narodowych. Czym innym, jeśli nie wezwaniem do szerzenia nietolerancji i nienawiści są cykliczne marsze nieprzejednanych fanatyków na Krakowskie Przedmieście, ze złowrogo płonącymi pochodniami? Czy okrzyki o narodowej zdradzie i zaprzaństwie dawnych kolegów z antykomunistycznej opozycji, to naprawdę godny sposób uczczenia pamięci tragicznie zmarłego prezydenta? Opamiętanie na elity krążące w orbicie władzy, nie przyszło nawet po morderstwie dokonanych przez fanatyka na pracowniku łódzkiego biura prawicowego europośła, mimo oddania mu pośmiertnego hołdu przez najwyższych dostojników w państwie i nawoływań trzeźwo myślących ludzi do politycznego pojednania. Zamiast tego oglądaliśmy w Brukseli prawdziwą bitwę na głosy, a w założeniu o głosy w jesiennych wyborach. Na forum Parlamentu Europejskiego, podczas posiedzenia inaugurującego polską prezydencję w Unii były prokurator generalny, bronił jak lew prawa do wolności słowa pewnego nawiedzonego internauty, który z politycznej antypatii zaprogramował i upublicznił grę, polegającą na szybkim zastrzeleniu polskiego prezydenta. Masakra w Norwegi to kolejny, ostry sygnał do wzmożenia czujności wobec potencjalnych dewiantów, szukających moralnego potwierdzenia do traktowania swoich morderczych instynktów, jako narzędzi do rzekomej naprawy świata, w imię jakiejś chorej idei. Polityków,

którzy ich utwierdzają w słuszności, powinny demokratyczne społeczeństwa nie tylko jak najszybciej odsuwać od władzy, ale w ogóle eliminować z życia publicznego. **Quieta non movere.**

Smoleńskie zwierciadło

A.D.04,08.2011

Podobno społeczeństwa nie można wystarczająco dobrze poznać bez krytycznego spojrzenia na jego lustrzany obraz. Wizerunek w szklanej głębi odbity, ma to do siebie, że wydobywa na pierwszy plan i wyraziście eksponuje cały zestaw niechlubnych przypadłości, ukrytych zazwyczaj skaz i mankamentów, które na ogół uchodzą uwadze, patrzącemu codziennie gołym okiem na żywy oryginał. Nie każde jednak lustro ma zdolność do obnażania prawdy ze złudzeń, pobożnych życzeń, nieuprawnionych mitów i zafałszowanych wyobrażeń. Taką moc zaczerpniętą z tragedii posiadało zwierciadło smoleńskie. Tam jak na dłoni widać, jaka jest ta Polska naprawdę, bez upiększającej celebry, ogłupiającej reklamy i agresywnego marketingu. Rzecz jednak w tym, że niewielu chce oglądać przez pryzmat smoleńskiej tragedii, ten bliski prawdy obraz polskiego bałaganu, poluzowanych mocno reguł moralnych, braku autentycznych autorytetów, zaniku rzetelności, nawyków porządnej roboty i upadku dobrych obyczajów. Przypomina nam o tym beznamiętnie, rzetelnie i wnikliwie napisany raport komisji Millera. Kogo obchodzi, że państwo polskie, rzucone przez nowe elity na pastwę deregulacji, nabrało po latach cech przybytku błędnego rozgardiaszu i permanentnego bałaganu. Stan beztroskiego odprężenia nie ominął niestety także wojska. Przyczyniły się do tego wszystkie, kolejne rządy sprawujące władzę po 1989 roku. Największy zaś udział w demontażu dyscypliny i gotowości operacyjnej armii miały radykalne odłamy polskiej prawicy. Gospodarkę i finanse prawie bez reszty oddano zachodnim bankom i koncernom. Pośpiesznie przeprowadzona prywatyzacja zwolniła klasę polityczną od nieustającej troski o ekonomiczną potęgę państwa. Stworzyła politykom wolną przestrzeń do medialnych harców i walk podjazdowych o dostęp do państwowego Eldorado z atrybutami władzy i materialnego dostatku.

Niestety jak dotąd nie udało się sprywatyzować i zrzucić z siebie odpowiedzialności za działania służb działających w zakresie ochrony zdrowia, bezpieczeństwa obywateli i obrony kraju przed zewnętrznym zagrożeniem. Pozbycie się tych obowiązków ustawiłoby kilkumilionową armię funkcjonariuszy, urzędników i innych beneficjentów panującego systemu w roli, korzystających wyłącznie z powabów życia celebrytów. Tragiczny upadek prezydenckiego tupolewa na przedpolu zaniechanego, smoleńskiego lotniska przerwał beztroski kontredans zwalczających się frakcji, wyłonionych z postsolidarnościowych elit. Raport Millera potwierdził to, co dla baczących obserwatorów życia od dawna już nie stanowiło tajemnicy. Pod cienką warstwą blichtru organizm państwa toczy gangrena. Znamienna jest degrengolada elitarnego 36 specjalnego pułku, przewożącego najważniejszych ludzi w państwie. Ucieczka doświadczonych pilotów, łamanie procedur, fałszowanie sprawozdań ze szkoleń i ćwiczeń, które się nie odbyły. Raport uchylił rąbka tajemnicy o dezintegracji w armii. Jaka musiała być skala tego zjawiska w innych mniej prestiżowych jednostkach? Dopelniają tej smutnej sytuacji harce nawiedzonych polityków, psujących raz po raz ze względów ideowych, dobrze dotychczas pracujące wojskowe struktury. Ku uciesze obcych wywiadów zostały zniszczone Wojskowe Służby Informacyjne.

Pozbyto się ze służb wywiadowczych starych, doświadczonych wygów, zatrudniając w ich miejsce kompletnych dyletantów. Na nieszczęście wywodząca się z tego samego pnia opozycja ostentacyjnie odmawia rzeczowego spojrzenia w lustro Millera, zadawalając się spoglądaniem w czarodziejską szklaną kulę, która wspierana przez wróżbitów różnej proveniencji emituje obraz rzekomej rzeczywistości, zgodny z życzeniami poszukującej użytecznych dla siebie mitów politycznej formacji.

W owej, szklanej kuli widać jak w rozpylonej przez Ruskich mgłę, 15 metrów nad ziemią rozrywają prezydencki samolot dwa silne wybuchy. Do płonących szczątków biegną zamaskowani ludzie, żeby strzałami z bliskiej odległości dobić rannych pasażerów. Wstrząsający ten obraz ginie na chwilę, żeby zrobić miejsce dla obejmujących się sprawców tej potwornej zbrodni, Putina i Tuska. Doświadczenie życiowe pokazuje jak wiele jest politycznych graczy, którzy potrafią siebie sami przekonać o prawdziwości bredni, które wymyślili dla zyskania uznania w oczach innych ludzi. Te wyssane z niezbyt czystego palca dyrdymały potrafią głosić, jako niepodważalną prawdę objawioną. Zbudowany na własny użytek system polityczny pozwala im za pieniądze podatnika, przy pomocy agresywnego marketingu prowadzić w mediach ogłupiającą akcję propagandową, mającą zapewnić wielkość człowiekowi przeciętnych talentów i takież zasług, a pretorian z formacji dowodzonej przez jego brata obsadzić we wszystkich możliwych do opanowania siedziskach władzy.

Niewesoły obraz Polski widać w smoleńskim zwierciadle, obraz zadłużonego po uszy kraju bylejakości, ciemnoty i wiecznego, rosnącego nieustannie bałaganu, zapyziałego zaścianka bez większych szans na cywilizacyjny awans do grona nowoczesnych krajów Zachodniego Świata. Niestety, według Wergiliusza: **Canimus surdis**.

Casus Leppera **. A.D.12.08.2011**

Nadzieje wsi na prosperity po upadku komuny szybko się rozwiały, niczym poranna mgła. Neoliberalna polityka solidarnościowego rządu, utożsamiana nie bez racji z osobą profesora Leszka Balcerowicza, wiodła nieuchronnie do zrównania chłopów z ziemią. -Wróć komuno, bo chłop kuno - niosło się żalosne wołanie po wiejskich opłotkach. Właśnie wtedy, kiedy zdaniem barda Jacka Kaczmarskiego „Solidarność” dała ciała zaczęła się rodzić legenda Andrzeja Leppera, samorodnego, chłopskiego trybuna, który ekonomię praktykował w rozwalonych przez nową władzę pegeerach, a uprawianie wielkiej polityki rozpoczął na drogach, do blokowania, których poprowadził zdesperowanych rolników.

Wejście tego zadziornego chłopca w orbitę władzy zbiegło się z utratą zaufania wyborców wiejskich do Polskiego Stronnictwa Ludowego, które źle wykorzystało czas sprawowania władzy, kontynuując w sojuszu z SLD, kierunek przemian ustrojowych w duchu odrodzenia dzikiego kapitalizmu, preferowanego przez ich solidarnościowych poprzedników. W 2001 roku stworzona przez Leppera Samoobrona triumfalnie weszła do Sejmu, jako trzecia siła polityczna, a on dostąpił godności wicemarszałka. Warszawski salon polityczny został zde gustowany wejściem na główną polityczną arenę, gromady nowych posłów ze społecznych dołów. Tak jakby władza w demokratycznym państwie była zastrzeżona

wyłącznie dla urodzonych na Żoliborzu posiadaczy uniwersyteckich dyplomów. Ukształtowany już, nowy establishment boczył się, więc na przedstawicieli ludu, który niepomny, że demokracja ludowa odeszła w przeszłość zajął na Wiejskiej kilkadziesiąt foteli i obcesowo domagał się swoich praw. Pierwszoplanową postacią był oczywiście szef nowego klubu, który z sejmowej mównicy mocnym i zdecydowanym głosem zapewnił poselską izbę, że Wersalu na tej sali, nie powinni się już spodziewać. W istocie tak się stało, a krewki przywódca zbuntowanych chłopów kończył każde swoje publiczne wystąpienie sakramentalnym wprost zawołaniem: - Balcerowicz musi odejść. Oznaczało to ni mniej, ni więcej tylko wezwanie do natychmiastowego odejścia, od polityki monetaryzmu w kierunku zwiększenia deficytu budżetowego, czyli większego jeszcze zadłużania państwa.

Przewodniczący Samoobrony obrastał w piórka. Nie nosił już jak podczas blokad charakterystycznej kufajki. Zatrudniał nawet specjalistów od wizerunku i nosił markowe garnitury. Władza zaczynała powoli drażnić jego świadomość tak, jak spadająca woda kropla po kropli draży skałę. Uroki władzy i dostęp do kasy sprawiły, że powoli zatracił cechy ludowego trybuna, a przeistaczał się w dygnitarza. Przełomowym momentem w życiu Leppera było niespodziewane zwycięstwo wyborcze partii braci Kaczyńskich. Pałac prezydencki przypadł Lechowi, ale Jarosławowi do utworzenia rządu potrzebni byli koalicjanci. W walce o władzę każdy sojusznik jest dobry, dlatego Kaczyńscy bez wahania zaproponowali pogardzanej dotąd Samoobronie wejście najpierw do parlamentarnej, a potem rządowej koalicji. Miłe były złego początki, bo jak się poniewczasie Lepper dowiedział, wredny sojusznik zaraz po mianowaniu go ministrem rolnictwa i wicepremierem, posłał za nim i jego ludźmi agentów świeżo utworzonego, propisowskiego Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Jak się to zakończyło wszyscy wiemy.

Szef Samoobrony, choć nie w ciemną bity zabłąkał się niestety w politycznej dżungli i został wciągnięty przez lepszych od niego i bardziej bezwzględnych, politycznych graczy na pole minowe gdzie, intryga rodzi następną intrygę, a afera goni aferę. Zaplątany przy znacznym udziale, nadzorowanych przez jego nieszczerych sojuszników służb specjalnych w aferę gruntową i seksaferę, politycznie wykorzystany, został rzucony na pastwę mediów, prokuratorów i sądów. Mówią, że gdzie diabeł nie może tam babę pośle. Bazując na tym starym, lecz ciągle trafnym porzekadle, zafałszowani sojusznicy wykorzystali swawolę i prestiżowe przepychanki w jego konsumującym owoce zwycięstwa ugrupowaniu i wsparli zakulisowo pewną bezpruderyjną damę z Radomska, która szukała zemsty na swoich zwierchnikach i być może kochankach. Jak straszna może być zemsta odrzuconej kobiety przekonał się pewien premier, przeciw, któremu inna potężna siła polityczna wykorzystala gniew urodziwej urzędniczki o to, iż nie zachwycił się jej aparycją i nie dał jej klucza do furtki, otwierającej drogę do wielkiej kariery. Piękne kobiety nadzwyczaj często odgrywały wielkie role, działając za kulisami świata polityki. Podobnie było tym razem. Jedna z nich zamknęła znaczącemu kandydatowi drogę do prezydentury a druga stała się sprawnym narzędziem do zepchnięcia swego pomówionego o ojcostwo dziecka, szefa w polityczny niebyt. Zlecniodawcy tej perfidnej intrygi uknuli ją w nadziei na pozyskanie przynajmniej części posłów z lepperowego ugrupowania, a wraz z nimi kilkuset tysięcy wyborców, co miało im zapewnić samodzielne sprawowanie władzy na szczeblu krajowym. Człowieka nieobytego z politycznym draństwem może szokować dziś postawa jawnych wrogów byłego wicepremiera. Szczególnie wtedy, jeśli pamięta konferencją prasową byłego, bojowo nastawionego ministra sprawiedliwości, który wymachując dyktafonem w postaci długopisu głosił z wielką pewnością: - Proszę państwa to jest gwóźdź do politycznej trumny Andrzeja Leppera! Dziś były minister wspierany przez całą swoją formację, leje krokodyle łzy nad prawdziwą trumną ludowego trybuna. On i jego kompani psim swędem czują, że tragiczna śmierć zaplątanego w afery i sądowe procesy kontrowersyjnego polityka, odpowiednio wykorzystana, może im przed wyborami przynieść wymierne korzyści. **Homo homini lupus.**

Źródła bogactwa

A.D.21.08.2011

Dobry zwyczaj, nie pożyczaj – poucza stare, mądre porzekadło. Inne nie mniej trafne głosi, że miłe złego początki. Przestrzeganie tych zdawałoby się banalnych prawd mogło uwolnić świat od dzisiejszych zawirowań i utrapień. Tak się jednak nie stało, bo silniejsza od przezorności była żądza posiadania dóbr, ponad realne możliwości. Państwa narodowe od dłuższego czasu ochoczo pozbywają się części swej suwerenności emitując i sprzedając osobom prywatnym rządowe obligacje. Zdobyte w ten sposób pieniądze przeznaczają na finansowanie deficytu budżetowego. Z roku na rok emisja papierów dłużnych rośnie i stała się już znaczącą częścią wpływów budżetowych, ku ogólnemu zadowoleniu wierzycieli, rządów, rosnącej biurokracji, a także zwykłych obywateli. Życie na kredyt stało się trendy. W ślad za rządami ruszyli do coraz liczniejszych banków po kredyty obywatele, beztrudno podnosząc sobie poziom życia, za pieniądze pożyczone na poczet przyszłych, często wątpliwych dochodów. Pomagały im w tym banki rozdając na prawo i lewo pieniądze bez dogłębnego zbadania zdolności swoich klientów do spłaty zaciągniętych zobowiązań. Nadmierne zadłużenie ludności jest wielce niekorzystnym zjawiskiem ekonomicznym. O wiele groźniejsze dla trwałości i stabilności światowego systemu finansowego okazały się jednak długi publiczne. Trzy dekady gromadzenia w rękach oligarchii finansowej papierów dłużnych, bez opamiętania emitowanych przez państwa będące w potrzebie, doprowadziło do powstania potężnego, wtórnego rynku długu publicznego. Powstanie kapitału ponadnarodowego otworzyło drogę do globalizacji gospodarki, czyli przejścia przemysłu, handlu i usług na pułap światowy. Państwa narodowe utraciły w ten sposób kolejną, znaczną część suwerenności na rzecz rekinów międzynarodowej finansjery. Oligarchia finansowa stała się w ten sposób znaczącym, jeśli już nie największym graczem na politycznej arenie.

Najgorsze jest to, że wsparta egoizmem siła sprawcza tak zwanych rynków finansowych ma z reguły negatywny charakter. Realizuje się, bowiem w destrukcji porządku światowego. Napędzana chciwością, która wyklucza postawę prospołeczną, nie posiada zdolności do działań naprawczych. W epoce bicia pokłonów bożkowi pieniądza praca przestała być głównym źródłem bogactwa. Nawet tak genialny ekonomista jak Keynes nie przewidział, że zostanie ona zepchnięta w hierarchii wartości na pogardzany margines, żeby zrobić miejsce dla wszechobecnych i wszechwładnych: lichwy i spekulacji, Po co w trudzie i znoju budować przez kilka tygodni dom, żeby zarobić marne kilkanaście tysięcy dolarów. Czy nie lepiej zainwestować pieniądze obstawiając czarne scenariusze i zgarniać potężne zyski, po wywołaniu przy pomocy spekulacji paniki na rynku walutowym? Każdy sposób jest dobry dla pasożytujących na ludzkiej pracy finansistów, dążących nieustannie do maksymalizacji zysków. Każdy sygnał może się okazać przydatny, żeby doprowadzić do destabilizacji rynków i ograbienia drobnych ciułaczy z oszczędności życia. Za przeproszeniem, echo głośniejszego pierdnięcia tubylca nad Amazonką może się odbić

spadkiem cen akcji na Wall Street. Pogarda dla życia w pocie czoła i ucieczka w stronę wirtualnych transakcji sprawiła, że sektor finansowy definitywnie oderwał się od realnej gospodarki. Zawłaszczanie owoców cudzej pracy było w ubiegłym wieku przyczyną ostrej walki klasowej. Dziś wyzysk człowieka przez człowieka realizowany jest przy pomocy znacznie doskonalszych finansowych narzędzi. Ta nieustająca pogoń za zyskiem i odlot w stronę wirtualnych wartości, owocuje bylejakością życia pod cieniutką warstwą blichtru. Jakość towarów jest dziś odwrotnie proporcjonalna do błyskotliwości efektywnych opakowań. Bylejakość jest symbolem substancji ekonomicznej, na bazie, której wyrasta „med in Czajna”, nowe światowe supermocarstwo. Żyjący w finansowym chaosie świat ma poważne problemy demograficzne. Narody posiadające znaczne nadwyżki żywności powoli wymierają zaś te, które głodują rozmnażają się w tempie zbliżonym do populacji australijskich królików. Skutkiem tych dysproporcji są niebezpieczne dla stabilizacji społecznej, migracje ludności poszukującej lepszego życia. Problemy finansowe są samo odnawiającym się paliwem, którego dostatek, a nawet nadmiar utrzymuje w międzynarodowym tyglu stan ciągłego wrzenia. Raz po raz spod niezbyt dobrze dopasowanej prawno-represyjnej pokrywki zaczyna się wydobywać, nasycona agresją substancja ludzka, grożąca niekontrolowanym wybuchem.

Na naszych oczach wyzyskiwani przez swoich skorumpowanych władców Arabowie pokonali paraliżujący strach i wynieśli swoje niezadowolenie na ulice, nie zważając na akcje pacyfikacyjne uzbrojonego po zęby wojska. A w spokojnym dotąd Londynie młodzi ludzie ni stąd, ni zowąd rzucili się podpalać domy, rozkradać i niszczyć, co popadnie. Wygląda na to, że światowa rebelia wydaje w ten sposób ostrzegawcze pomruki, niegroźne jeszcze może w skali globalnej, ale tylko do czasu aż gniew ludu osiągnie wielkość krytyczną. Może to nastąpić wtedy, kiedy część populacji żyjącej próżniaczo z efektów cudzej pracy stanie się liczniejsza, od żyjących na ogół marnie, utrudzonych wytwórców dóbr. Cała nadzieja w tym, że panujący dziś nad zatopioną w konsumpcji świadomością społeczną, apostołowie rynków rozumieją, iż rynek działający sprawnie bez żadnych barier i regulacji, jest taką samą iluzją jak ongiś utopijny socjalizm.

Niestety nie da się zapanować nad globalnym chaosem bez fundamentalnych zmian w światowym systemie wartości, idącym w kierunku przywrócenia wysokiej rangi, tradycyjnie pozytywnym cechom ludzkiego charakteru. Takim jak: uczciwość, rzetelność, oszczędność i skromność. **Ne quid nimis.**

Chłopi i panicze . A.D 01.09.2011

Mało, kto już pamięta, że fasadowy sojusz robotniczo-chłopski był formalnie mitem założycielskim Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Wywołując falę potężnych i długotrwałych strajków, papierowi suwerenowie obalili ustrój, który sami sygnowali i reprezentowali, jako lud pracujący miast i wsi. Wkrótce po tych wiekopomnych i bez precedensu wydarzeniach, rzekomi hegemoni zaczęli powoli znikać z areny dziejów.

Klasa robotnicza splajtowała razem z zakładami pracy socjalistycznej, udając się na zasłużone wcześniejsze emerytury, zdobyte przemysłnymi sposobami renty inwalidzkie i zasiłki dla bezrobotnych. Porzuceni przez sojuszników z miasta chłopci nie mogli odnaleźć się w nowej rzeczywistości, dopóki nie otrzymali stałej jałmużny w postaci unijnych dopłat do produkcji rolnej. Restytucja własności obszarowej i niebywały wprost rozwój wielkotowarowej produkcji rolnej, oparty na totalnej chemizacji, rzuciły na społeczny margines kilka milionów nikomu nie potrzebnych drobnych producentów tradycyjnej żywności. – Gromkie „chłop potęgą jest i basta” na zawsze przeszło do historii. Niewidzialna ręka rynku raz po raz rozdaje dawnym fasadowym hegemonom nieprzyjemne szturchańce, a niewidzialna noga bolące kopniaki. Na szczęście dla wykluczonych z kręgów objętych dobrobytem, władcy III Rzeczypospolitej potrzebują, co jakiś czas potwierdzenia legitymacji do sprawowania władzy w państwie. Publiczny podział tortu poprzedzany jest każdorazowo kilkumiesięcznym, barwnym spektaklem przedwyborczym. Główne partie polityczne stworzyły taki system wyborczy, który praktycznie nie daje żadnych szans małym lub nowym ugrupowaniom na wejście do parlamentu. Decydujący wpływ na to ile, kto władzy, a z nią dostępu do dóbr dostanie ma wynik wyborów parlamentarnych. Ze względu na wciąż liczną populację mieszkańcy wsi nadal stanowią pożądany elektorat. Głos „wiochy” ma swój ciężar gatunkowy i może nie tylko przesądzić o ostatecznym podziale foteli w Sejmie, lecz także o tym, która z mocno rywalizujących, wielkich partii postsolidarnościowych zajmie pierwsze miejsce w wyścigu po władzę. Zaczyna się przedwyborczy festiwal obietnic. Jedni obiecują, że będą obiecywać, a inni jak mówią to mówią. Niezwykle trafnie brzmią strofy napisane przez pochodzącego ze wsi poetę. - Ze wszystkich stron wieś gminna niesie, /że przed wyborami chłopu się podniesie./Gdy do wyborów chłop pójdzie gromadnie, /to po wyborach znów chłopu opadnie. Wiejski elektorat tradycyjnie dzieli swoje głosy między Prawo i Sprawiedliwość a pozostałe znaczące ugrupowania, z których Polskie Stronnictwo Ludowe jest, jako jedyne autentycznie prochłopskie i prorolnicze. Wydawałoby się, że wieś powinna właśnie ludowcom zdecydowanie powierzyć parlamentarną reprezentację. Tak jednak nie jest. O wynikach wyborów na wsi i w małych miasteczkach decydują proboszczowie. Oficjalnie instytucjonalny Kościół zawsze zapowiada, że nie będzie wskazywał, na kogo głosować. W praktyce jest dokładnie odwrotnie. W każdej parafii proboszcz dysponuje oddaną mu bez reszty grupą wiernych, gotowych wykonać każde powierzone im zadanie. Potężny Kościół pragnie powierzyć władzę w Polsce takiej partii, która w pełnym zakresie spełni jego postulaty i żądania. PSL mimo ludowego pochodzenia i jawnej religijności nie wpisuje się w oczekiwania kleru z powodu podejrzania o sprzyjanie poglądom lewicowym. Jedyną partią, którą akceptuje u władzy zdecydowana większość hierarchów jest Prawo i Sprawiedliwość. Księża parafialni żerując na głębokiej religijności chłopów, bezczelnie zaprzęgają ich do pisowskiego wozu wyborczego, wykorzystując też jako kartę przetargową w politycznym mariażu z partią Jarosława Kaczyńskiego. To właśnie aktywiści parafialni zbierali podpisy pod jego prezydencką kandydaturą, rozdając dla potwierdzenia swoistego kontraktu wyborczego zdjęcia tragicznie zmarłej prezydenckiej pary. Atak na parlamentarzystów PSL-u, którzy zdaniem małorolnego paniczka Adama Hofmana zbaranieli po przeprowadzce do miasta, miał służyć zdyskredytowaniu ludowców w oczach świątłych chłopów, którzy na nich głosują w swoim dobrze pojętym interesie. Kontrowersyjna wypowiedź rzecznika prasowego PiS-u, łącząca peeselowskich liderów mogłaby powiększyć szeregi ciemniaków, posłusznie wykonujących polityczną wolę swoich, wiejskich kapłanów. Trudno się dziwić, że rosną zastępy amatorów pieczeni wysmażonej na wyborczym grilu. W końcu demokracja to taki ustrój, w którym sprytne i mądre mniejszości zręcznie manipulują składającą się głównie z naiwnych ciemniaków większością, dla zdobycia i utrzymania uprzywilejowanej pozycji społecznej. **Qualis rex, talis grex.**

Szaleństwo rynków

A.D.11.09.2011

Zaskakujący i spektakularny upadek komunistycznego zamordyzmu otworzył podwoje połowy świata, na ekspansję rozpasanego konsumpcjonizmu. Polska przed dwudziestu dwoma laty była jedną z pierwszych, przewróconych kostek domina w łańcuchu fundamentalnych przemian światowego systemu społeczno-gospodarczego. Miłe złego początki. Po kilkunastu latach zmian własnościowych i mentalnych można zaryzykować stwierdzenie, że nigdy dotąd nie było w naszym kraju tak wielkiej, bogatej i dobrze zorganizowanej przestrzeni do wydawania pieniędzy. Jednocześnie nigdy dotąd tak szybko i nieodwracalnie nie kurczyła się strefa podaży miejsc pracy. Rozwierające się z roku na rok nożyce, między rosnącym wciąż asortymentem i podażą towarów, a malejącą nieustannie zasobnością kieszeni klientów ze społecznych nizin, z powodzeniem wyrównywała niemająca precedensu akcja kredytowa, wyrastających jak grzyby po deszczu banków, parabanków i innych lichwiarskich podmiotów obrotu kapitałowego. Tkanka miejska została do tego stopnia przerośnięta płataniną sieci handlowych, że zaczyna przypominać jeden wielki bazar. Na styku ze świątyniami handlu rozmnażają się liczne instytucje kredytowe, napędzające szaloną konsumpcję łatwo dostępnymi pożyczkami. Mile łaskotani przez wszechobecną reklamę konsumenci z wielką ochotą zapożyczają się, nie bacząc na obłożenie kredytów lichwiarskimi odsetkami. Paliwem dla motoru tych niemających precedensu zmian okazała się napędzana chciwością, niczym nieokiełznana siła sprawcza milionów ludzkich egoizmów, pchających pozbawiony steru i busoli wehikuł cywilizacji, niewiadomo, w jakim kierunku i niewiadomo, po co. Ani na moment nie ustaje wielki wyścig po dobra, których zdecydowana większość nie jest wcale człowiekowi do życia potrzebna. Co gorsze rośnie nieustannie liczba ludzi społecznie wykluczonych. Kategoria ta obejmuje nie tylko jak dawniej ludzi z marginesu, ale także znaczącą część absolwentów wyższych uczelni, którzy nie mają perspektyw na awans społeczny i dobrobyt. Zatrważająca jest statystyka bezrobotnych, według której połowa poszukujących pracy to młodzi ludzie między 18 a 34 rokiem życia.

Rośnie nieustannie rozpiętość dochodów. Obrazujący to zjawisko wskaźnik Giniego kształtował się na początku transformacji na poziomie 0, 25, charakterystycznym dla społeczeństwa egalitarnego. Dziś wynosi 0, 39 i należy do najwyższych w Europie z tendencją do równania w stronę Brazylii, gdzie miliony wykluczonych mieszkają w skleconych wprędce z byle czego fawelach, wyrastających poza granicami właściwych miast. Zróżnicowanie dochodów niekiedy działa korzystnie, jako bodziec rozwojowy wymuszający alokację zachowań ludzkich. To prawda, ale tylko do pewnego progu. Nadmiernie rozdęte budzi najpierw zniechęcenie społecznych dołów, potem nasilające się protesty, żeby wreszcie eksplodować rewoltą zwróconą przeciw nadmiernie wzbogaconym. Profesor Tomasz Szlendak wskazuje na negatywny wpływ rozpiętości dochodów na popkulturę. Ma rację. Na

naszych oczach popkultura schodzi na manowce, produkując zwykle barachło w miejsce wartościowych dzieł literatury, filmu, muzyki czy plakatu z pogardzanych przez neofitów liberalizmu czasów PRL-u. Ambitne dzieła zostały prawie całkowicie wyrugowane przez kicz, w wykonaniu skandalizujących w przestrzeni publicznej idoli tłumów: Michała Wiśniewskiego, Doroty Rabczewskiej- Dody i innych, licznych, celebrytów łącznie z Iłoną Łebkowską, niezwykle płodną scenarzystką, piszącą kliwie story dla ogłupiających ciemny lud telewizyjnych seriali. Ze schodzącą na psy popkulturą zdecydowanie przegrywa Kościół. Czcigodni hierarchowie i proboszczowie na parafiach byli zbyt zajęci rewindykacją utraconych niegdyś dóbr, pozyskiwaniem nowych i urządzaniem się w luksusie, więc zbyt późno spostrzegli, że tracą rząd dusz, a katolickie świątynie przegrywają ze świątyniami konsumpcji. Zamiast oddać się służbie ewangelizacji wśród Bożego ludu, starają się za wszelką cenę zatrudnić do tej roboty struktury i autorytet państwa. Nad tym beztroskim, słodkim bałaganem zaczynają przetaczać się raz po raz czarne chmury długów. Szalejące za zyskiem rynki, uzbrojone w rządowe papiery dłużne wielkiej wartości psują światową gospodarkę, odbierają ludziom stabilność dnia dzisiejszego i nadzieję na przyszłość, a utopijna, niewidzialna ręka rynku zaczyna zadawać zdradliwe ciosy z siłą końskiego kopyta. Niestety nie tylko nie widać żadnego modelu, który pozwoliłby zastąpić prymitywny, miłościwie nam panujący konsumpcjonizm, lecz nie udało się dotąd uczonym w mowie i piśmie wskazać kierunku, gdzie należałoby szukać alternatywnych rozwiązań. Trzeba o tym pamiętać przed aktem wyborczym, podczas którego oddamy nasze losy w ręce żądnych władzy polityków na następne cztery lata. **Qui tacet, consentire videtur.**

Ucieczka z błędnego koła

. A, D.01.10.2011

Nie pierwszy raz cywilizowany świat znalazł się na niebezpiecznym, dziejowym zakręcie. Cykliczne stany kryzysowe nie powinny dziwić obserwatorów życia społecznego, bowiem światowy nieład jest stanem naturalnym, nad którym niekiedy, tu i ówdzie uda się z dobrym skutkiem zapanować. Niezmiernie trudno jest zapanować nad chaosem i jeśli nawet uda się go wcisnąć w jakieś organizacyjne ramy, to całą pewnością po jakimś czasie wydobędzie się z całą siłą w najmniej oczekiwanym miejscu. Dziś, w czasach wybujałego konsumpcjonizmu objawił się pod postacią przewalającego się po świecie tsunami publicznego długu, który przy pomocy lichwy i spekulacji pustoszy bezlitośnie gospodarki kolejnych państw. W globalnym tyglu rynków finansowych zachodzą nieustannie zaskakujące reakcje z prędkością nawiązującą, do tej niedawno uzyskanej przez włoskich naukowców za sprawą cząstek zwanych neutrinami, które to odkrycie obudziło na nowo iluzje o podróżach w czasie. Na razie jednak podróżują walory finansowe pomnażane sprytnie przez bogaczy, na szkodę wierzących w dobroć niewidzialnej ręki rynku biedaków. Nie wszystko jednak zależy od potężnego, światowego forum spekulacyjnego. Wbrew pozorom państwa narodowe mają jeszcze na tyle autentycznej suwerenności, że mogą zaaplikować

sobie indywidualne kuracje zdolne w poważnym stopniu złagodzić symptomy i skutki toczących cywilizację chorób. Do państw z szansami na wyjście z błędnego koła należy również Polska. Niestety są to możliwości czysto teoretyczne z powodu braku sił politycznych zdolnych podjąć dziejowe wyzwanie. Widać to jak na dłoni, za sprawą burzliwej kampanii propagandowej przed październikowymi wyborami parlamentarnymi. W potoku obietnic serwowanych bez opamiętania, przez wszystkie ugrupowania polityczne ubiegające się o złotodajne mandaty trudno się doszukać uczciwego programu, który mógłby oprzeć państwo polskie na zdrowych fundamentach ekonomicznych i stabilnym ładu społecznym. Wiedzą o tym doskonale czołowi polscy politycy, ale wiedzą też, że kuracja nie spotka się ze społecznym aplauzem, ponieważ wymaga bolesnych dla społeczeństwa reform. Jest oczywiste, że obiecując tylko pot i łzy, przynajmniej na początku zmian, nie można liczyć na znaczące poparcie elektoratu. Taki stan rzeczy sprawia, że partie posiadające dostęp do władzy miotają się w błędnym kole niemożności. Dalsze zadłużanie zarówno państwa jak i społeczeństwa prowadzi nieuchronnie w kierunku trudnej do wyobrażenia katastrofy o podobnych symptomach jak w Grecji, a bolesne dla większości ludzi reformy nieuchronnie odsuną reformatorów na dalekie peryferia krajowej polityki. W tym kontredansie należy szukać przyczyn rosnących wynagrodzeń lekarzy i wydłużających się wciąż kolejek pacjentów oczekujących na poważne operacje, zabiegi i porady specjalistów. Tu leży też odpowiedź na pytanie, dlaczego polscy nauczyciele pracują najkrócej w Europie, a mundurowi po piętnastu latach pracy mogą byczyć się na emeryturze. W toku kampanii przedwyborczej żaden z polityków nie zachęca do oceny czterech wielkich reform rządu Jerzego Buzka w kontekście ich problematycznej zasadności i zbędnych kosztów, jakie generują dla budżetu. Czy radni muszą otrzymywać wynagrodzenia za uczestnictwo w życiu publicznych, a przedstawiciele rządu sute apanaże za doradzanie zarządom spółek Skarbu Państwa?

Czy potrzeba nam tylu magistrów z obniżonym zasobem nabytych na lichych uczelniach umiejętności? Czy potrzeba aż do 20 lat nauczania, żeby młodzi ludzie mogli zacząć uczestniczyć w na pełnych prawach w życiu zawodowym? Może, więc trzeba skrócić ten czas o zbędną nadwyżkę wykorzystaną na zbijanie bąków, celebry i przyswajanie sobie konsumpcyjnych nawyków. Nadmiar absolwentów z dyplomami stwarza napór na biura również tych osób, którzy będą marnymi menedżerami, a byłiby doskonałymi fachowcami w zawodach wymagających zręczności manualnych. Byliby, gdyby nie zlikwidowano zasadniczych szkół zawodowych, wychodząc z nierealnych założeń, że cała populacja zdolna jest zdobyć wiedzę ogólną na średnim i wyższym poziomie. Znany satyryk Michał Ogórek niezmiernie trafnie scharakteryzował gwałtowną niechęć do fizycznej pracy w epoce konsumpcjonizmu. W Polsce Ludowej – jego zdaniem biura zajmowały połowę przestrzeni gospodarczej, a po upadku socjalistycznego przemysłu zostały same biura. Niezwykle trafne to spostrzeżenie, choć w krzywym zwierciadle odbite.

W wyniku transformacji ustrojowej skurczyła się niestety strefa wytwarzania dóbr, a rosnące z dnia na dzień bezrobocie władza łagodziła zwiększeniem miejsc pracy w budżetówce. W ten sposób zostały naruszone zdrowe proporcje między wielkością zatrudnienia w bazie produkcyjnej, a służebnej wobec niej nadbudowie. W ślad za zmianami własnościowymi przyszło rozwarstwienie dochodów osiągając najwyższy wskaźnik w Europie. Dotyczy to nie tylko białych i niebieskich kołnierzyków, lecz także emerytów, wśród których systemowo z roku na rok, rośnie przepaść między najlepiej uposażonymi z zupełnymi nędzarzami. Do szeroko rozumianej sfery budżetowej należy także zaliczyć Kościół, czerpiący pełną garścią z państwowej kasy na utrzymanie kapelanów, katechetów, misjonarzy i zakonów, mimo dopływu znacznych dochodów własnych z odzyskanego majątku i nieopodatkowanych opłat za świadczenie usług religijnych. Rozbudowana do granic absurdu sfera budżetowa pochłania coraz większą część dochodu narodowego i jest

głównym motorem generowania deficytu. Mimo znacznych dochodów z wyprzedaży majątku narodowego, potężną dziurę w budżecie trzeba łątać emisją wysoko oprocentowanych papierów dłużnych.

Reasumując: Kasa państwa polskiego przecieka jak dziurawy bak z benzyną. Przy tak poważnych ubytkach może wkrótce zbraknąć paliwa niezbędnego do utrzymania w ruchu pojazdu, którym wszyscy jedziemy. Trzeba, więc natychmiast uszczelnić, choćby te największe przecieki, dla wspólnego dobra. Niestety póki, co, mamy na Platformie coraz więcej, wygodnie rozpartych pasażerów bez biletu, niezwracających uwagi na postępujące słabnięcie wprawiającego ją w ruch” ludu pracującego miast i wsi”. A nieustanne pożyczanie pieniędzy na konsumpcję zazwyczaj kończy się bankructwem. Trzeba o tym pamiętać przed wyborami. W zalewie obietnic składanych nieodpowiedzialnie, przez aspirujące do władzy partie, nie słyhać jakoś o odbudowie gospodarki morskiej, wsparciu dla innowacyjnego sektora produkcyjnego, pobudzaniu eksportu, zrównoważeniu bilansów płatniczych z Chinami i Rosją i o innych konkretnych działaniach umacniających gospodarkę. Wygląda więc na to, że znowu przyjdzie nam wybrać mniejsze zło. Po władzę pcha się, bowiem całą siłą ortodoksyjna formacja prawicowa, ogłaszająca się, jako jedyna, słuszna siła przewodnia katolickiego narodu polskiego. Jej retoryka, jako żywo przypomina tę złowieszczą z czasów zamierzchłej komuny, wypróbowaną już do zachwalania zbankrutowanej IV RP. **Quod bonum felix faustumque sit.**

Krajobraz po bitwie

A.D.01.10.2011

Nie pierwszy to raz większość dorosłych Polaków wypięła się na demokrację, omijając w niedzielę z daleka lokale, w których oczekiwały na nich karty wyborcze z nazwiskami kilku tysięcy kandydatów, na beneficjentów panującego nam miłościwie od 22 lat systemu społecznego. Zgodnie z oczekiwaniami frekwencja okazała się wyraźnie niższa od tej z wyborów samorządowych. Zbrakło, bowiem motywacji dla potężnej armii uzależnionych od alkoholu i innych meneli, głosujących zazwyczaj w zamian za trunki, oferowane przez podwożących ich do obwodów głosowania kandydatów, szukających ścieżek dostępu do samorządowych pieniędzy. Wybór został dokonany na niekorzyść szturmujących po raz kolejny parlamentarne siedziska ortodoksyjnych konserwatystów, mocno wspieranych przez kler szukający sposobów na realizację swoich celów religijnych i materialnych, przy pomocy nakazów i sankcji państwowych, wymierzonych we wszystkich obywateli, również w tych pozostających poza sferą wpływów Kościoła. Nieznaczna większość uczestników wyborczego spektaklu udzieliła poparcia koalicji, sprawującej władzę w kraju przez ostatnie cztery lata, dając tym samym wyraz swego zadowolenia ze statusu materialnego, który osiągnęła bądź zdołała utrzymać za rządów liberalno-ludowego przymierza parlamentarnego. Nie przeszkodził im w udzieleniu poparcia rządzącej elicie fakt, że status materialny i komfort życiowy osiągnęli dzięki przejeźdżonym setkom miliardów

złotych pozyskanych z wyprzedaży majątku narodowego i postępującego wciąż, grożącego kryzysem finansowym zadłużenia państwa, oraz jego obywateli, na spekulujących rynkach finansowych. Taka postawa społeczeństwa wywodzi się, jako żywo od filozofii życiowej wyrażonej niegdyś słynnym zawołaniem, jedz, pij i popuszczaj pasa. Jest to zupełnie zrozumiałe, bo dla ludu zawsze ważniejszy jest dzisiejszy dostatek od przepowiedni przyszłej biedy, która może przyjść, ale wcale nie musi. Nic, więc dziwnego, że tak znaczny odłam społeczeństwa opowiedział się za kontynuacją dotychczasowej polityki przez ludzi pozostających w orbicie władzy, skoro panuje powszechne mniemanie, iż o państwowe długi powinno się troszczyć państwo, a te, które sami zaciągnęliśmy w bankach jakoś się spłaci. Taki a nie inny wybór determinował też brak sensownej alternatywy ze strony parlamentarnej opozycji.

Tak dalej jednak być nie może. Wiedzą o tym doskonale politycy, którzy odnieśli wyborczy sukces. Inaczej nieodwołanie pójdziemy w ślady Grecji, gdzie po latach popuszczania pasa dług osiągnął monstrualne rozmiary, a wpadający w panikę o swoje pieniądze wierzyciele nie chcą już więcej na ładne oczy pożyczać. Jeśli proces zadłużania nie zostanie zatrzymany czeka nas podobny do Greków los. Masowe bezrobocie, obniżenie wynagrodzeń, obcięcie emerytur i rent. Tym bardziej, że podobnie jak w Grecji, gdzie piękne kurorty i eleganckie hotele należą do zachodniego kapitału, także nasz z nazwy tylko przemysł i potężne sieci handlowe pracują na korzyść zagranicznych inwestorów, generując w kraju tylko miejsca pracy, zazwyczaj słabo opłacane. Na szczęście mają Polacy jeszcze czas ku temu, żeby zmienić ten wiodący w przepaść trend. W ciągu najbliższych trzech lat nie będzie przecież w kraju wyborów. Taka sytuacja stwarza rządzącym szansę na dokonanie głębokiej, być może bolesnej dla części elektoratu reformy finansów publicznych. Nie należy, więc dłużej wahać się przed wprowadzeniem kompleksowej przebudowy administracji państwowej i samorządowej, szkolnictwa i sądownictwa, oraz wszystkich innych służb publicznych, pod kątem zwiększenia efektywności ich działania i znacznego odchudzenia kadrowego, a miejsca pracy tworzyć w sferze produkcji rynkowej i eksportowej. Dobrze może się przysłużyć reformatorom, ułatwienie dostępu młodym ludziom do aż 360 zawodów, z mocno ograniczoną dziś przez szczelne korporacje możliwością ich wykonywania. Państwo musi wspierać inowacyjność w gospodarce i ekspansję eksportową naszych produktów, oraz promować sensowne inicjatywy, zmierzające do uzyskania nadwyżki w wymianie gospodarczej z zagranicą. Trampoliną dla takich pozytywnych działań musi być zaniechanie fetyszyzacji pieniądza, odejście od zbędnej celebry, pogoni za modnymi, lecz zbędnymi dla godnego życia gadżetami, za tym wszystkim, co świeci się i błyszczy, lecz rzadko niesie ze sobą jakieś wyższe wartości. Tylko czy się znajdzie taki odważny polityk, który zaproponuje nowy, tchnący, choć nieco altruizmem model rozwoju życia społecznego? Skończył się już beztroski czas odkładania rzeczywistych reform **ad calendas, Graecas**.

Co łaska panowie?

A.D.11.10.2011

Wciąż błąkają się po kraju powyborcze echa, a zwycięskie partie nie zdążyły jeszcze uformować rządu. Nie przeszkadza to wcale szykować pod adresem nowych decydentów żądań i postulatów w sprawie szerszego otwarcia państwowego sejfu, dla zaspokojenia rosnących potrzeb uprzywilejowanych uczestników życia społecznego. Kto pierwszy ten lepszy, nie od dziś wiadomo, Tym bardziej, że z próżnego nawet Tusk nie należy. Mając na uwadze taki stan rzeczy, najwyższe gremium apostołskie Kościoła katolickiego bez zbędnych ceregieli sformowało swoje wobec „polskojęzycznej” władzy finansowe oczekiwania. Nie przeszkadza hierarchom w stawianiu żądań kasowych fakt, że podczas kampanii wyborczej czynnie i biernie występowali przeciw aspiracjom do utrzymania władzy przez liberalno-ludową koalicję, wspierając zwalczających ich na wszelkie sposoby „prawdziwych Polaków” spod znaku orła w koronie i krzyża z Krakowskiego Przedmieścia. Nie widzą też rosnących zagrożeń ze strony wstrząsających raz po raz cywilizowanym światem torsji, wywoływanych przez spekulacje gigantycznych rozmiarów długami publicznymi, które łąda chwila mogą wtrącić zadłużone państwo polskie w otmet finansowych zawirowań. Widać ważniejsza dla czcigodnych biskupów jest wola powiększania bogactwa Kościoła i dobrostanu duchowieństwa, od troski o interes całego państwa, zrównoważony rozwój kraju, oraz stabilizację i spokój społeczny w Ojczyźnie. Otóż zapobiegliwi o swoje doczesne sprawy kapłani zaproponowali rezygnację, z wypłacanego im corocznie przez budżet funduszu kościelnego w wysokości około 90 milionów złotych, pod warunkiem ustanowienia 1% odpisu z podatku dochodowego na rzecz Kościoła, który mógłby im zagwarantować stały dochód w wysokości około pół miliarda złotych. Nie dociera do nich prawda, że po dokonaniu przez państwo zwrotu Kościołowi należnego mu, a także nienależnego majątku fundusz kościelny stracił rację bytu, jako że wypłacany był w formie rekompensaty za nacjonalizację dóbr martwej ręki. Poza tym transformacja ustrojowa przyniosła Kościołowi wielorakie korzyści. Oprócz dziesiątek tysięcy hektarów ziemi budynków i budowli do kościelnej kasy wpłynęły niemałe pieniądze w postaci opłat cmentarnych. W tym za miejsca na po pochówek i z tyłu procentowej taksy od wartości kosztownych nagrobków, fundowanych zmarłym przez bogacących się krewnych. Dochodzą do tego tradycyjne dochody z tacy, intencji mszalnych, opłat za chrzty, śluby i pogrzeby, datki pobierane podczas obchodu wiernych po Kolendzie, zbiórki płodów rolnych dla seminariów, ofiar zbieranych podczas wędrówki po domach obrazu Matki Boskiej i przy innych jakże licznych i częstych okazjach. Widać ojcowie kościoła uznali, że to zbyt mało, a źródła pozysku zbyt niepewne. Zatrzaszczyli się, więc o większy dopływ gotówki z budżetu państwa, nie bacząc na to, że w ten sposób dają niedobry przykład, stając na czele pielgrzymujących do wspólnej kasy z żądaniami niemożliwymi do zaspokojenia, bez dalszego podkopywania fundamentów finansowych państwa. Mimo tego, że domeną Kościoła są sprawy wieczne, wyrasta on z społecznego podłoża i podlega wszelkim pisanym i niepisanym prawom, jakie społeczeństwem rządzą. Trudno, więc wymagać od uprzywilejowanej grupy społecznej, jaką niewątpliwie są księża, żeby oparli się samoistnie pokusom wybujałego konsumpcjonizmu. Dlatego trzeba twardo odmówić klerowi finansowania mu życia w luksusie za pieniądze z państwowej kasy. Tym bardziej, jeśli się przed wyborami powiedziało, że nie będziemy klękać przed księdzem. Dotyczy to nie tylko kleru, ale także wszystkich innych uprzywilejowanych grup społecznych. Jedynym kryterium decydującym o społecznym statusie i zamożności człowieka powinna być, jakość wykonywanej przez niego pracy i jej przydatność dla społeczeństwa. A jedynym wyjątkiem od tej reguły solidaryzm społeczny wobec tych, których opatrność niedostatecznie wyposażyla do życia na tym świecie. Do takiego modelu musimy dążyć **pro publico bono**, Inaczej czeka nas kryzys, chaos, zamieszki i rewolucja.

Tyran na kolanach

. A.D.11.10.2011

W czwartek 20 października libijscy powstańcy po opanowaniu w boju miasta Syrta, wyciągnęli z ziemnej kryjówki, odartego z wszelkiej godności dyktatora, który przez 42 lata był panem życia i śmierci kilkunastu milionów swoich rodaków, oraz fundatorem i dysponentem groźnego ośrodka islamskiego terroryzmu. Jeśli prześledzić z bliska pasmo życia i panowania libijskiego dyktatora Muammara Kadafiego, to można w nim jak w lustrze dostrzec ciąg wydarzeń, demaskujących bezlitośnie paskudną i zafałszowaną złożoność współczesnego świata, rządzonego przy pomocy i za pośrednictwem siły pieniądza. W 1969 roku Kadafi, jako młody oficer stanął na czele rewolty, która obaliła króla Idrisa I, a jego wyniosła do władzy. Libia po przewrocie zaczęła powoli wchodzić w orbitę wpływów Związku Radzieckiego i państw obozu socjalistycznego. Zaowocowało to również w 1978 roku zaproszeniem go przez I sekretarza PZPR Edwarda Gierka, do złożenia wizyty w Polsce. Pokłosem tych odwiedzin była polska ofensywa gospodarcza na bezdrożach tego pustynnego państwa. Nasze firmy budowlane pozostawiły tam po sobie doskonałe drogi, których w Polsce tak dramatycznie brakowało, szczególnie w głębi powiatów i gmin. Kadafi okazał się zapalonym reformatorem i bardzo zdolnym hipokrytą. Wspierając się zbliżoną do socjalistycznej ideologią wydał „zieloną książkę” zawierającą propagandowe założenia tak zwanej libijskiej Dżamahirijji, czyli władzy ludu, umacniając jednocześnie kult własnej osoby i ustrój państwa oparty na tyranii. Szczególną pozycję wśród możnych tego świata zapewniały mu, położone blisko Europy spore zasoby ropy naftowej. Obfitość petrodolarów spływająca od naftowych potentatów zapewniała mu wszystko, co było mu potrzebne do utrzymania satrapii łącznie z najnowocześniejszą bronią i sprzętem wojskowym. Władcom zachodniej cywilizacji nie przeszkadzało rosnące okrucieństwo dyktatora wobec libijskiego narodu, dopóki ich interesy nie były zagrożone. Dopiero, kiedy nadzór na libijską ropą zaczął wymykać im się z rąk wysłali bombowce na jego twierdzę w Trypolisie. Ocalały dyktator zemścił się okrutnie, niszcząc podczas lotu z Londynu do Nowego Jorku samolot Pan American World Airways. Bomba odpalona przez agentów libijskiego wywiadu rozerwała 21 grudnia nad Lockerbie Beoinga 747, zabijając 259 podróżnych i 11 mieszkańców szkockiego miasteczka. Fala przerażenia i oburzenia, która wstrząsnęła światem nie przeszkodziła wielkim koncernom w interesach z jawnym zbrodniarzem, choć z pewnością świat bez libijskiej ropy mógł się z powodzeniem obejść. Kadafi oficjalnie persona non grata, nadal pozostawał dla zachodnich hipokrytów pożądanym partnerem gospodarczym. Z upływem czasu zdjęto odium ze strojącego się w szamerowany złotem mundur pułkownika i przyjmowano go bez wstydu, a nawet z honorami na współczesnych dworach w Afryce, gdzie uchodził za bohatera, a później także w Europie, rzekomej twierdzy praw człowieka. Zaspokajano jego fanaberie, pozwalając rozbijać namiot w centrach rządowych europejskich stolic. Obściskiwali go po bratersku Władimir Putin i całował serdecznie na oczach milionów

telewizjów Sylwio Berlusconi, dopóki mocno trzymał naftowy kurek w rękach. Na amatorskim filmie widać upokorzonego, proszącego o litość człowieka, szarpanego przez gromadę rozjuszonych mężczyzn. Nie ma w nim nic z butnego suwerena, szastającego życiem swoich poddanych, nie tak dawno jeszcze bijących mu pokłony. Rozpierzchli się gdzieś pochlebcy, przepadła osobista gwardia, zniknęli przyjaciele. W godzinie śmierci sponiewierany tyran musiał poczuć się gorzej niż zбитy pies, Daleko gdzieś w luksusowych gabinetach zacierali ręce władcy światowej finansjery. Zdążyli już znaleźć i uzależnić swoimi pieniędzmi nowych dysponentów libijskiej ropy. **Nemo propheta in Patria sua.**

Po tamtej stronie

A.D.29.10.2011

Od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie. Te słowa modlitwy towarzyszyły nam w życiu religijnym, powtarzane machinalnie podczas obrzędów liturgicznych. Miały przypominać o konieczności oczyszczenia się z grzechów, żeby przechodzić na drugą stronę w stanie łaski uświęcającej, tej gwarancji zbawienia. Właśnie, dlatego śmierć spodziewana miała być lepsza od śmierci nagłej, jakby sama w sobie nie była złem największym i ostatecznym. Powtarzaliśmy, więc za księdzem Janem Brachowskim słowa o zmartwychwstaniu i życiu wiecznym, ale w obliczu zejścia zawsze silniejszy był strach. Nie był to zwykły strach. Nie był to strach przed wielką zmianą z odzyskaniem świadomości w innym wymiarze, ale instynktowny, zwierzęcy, ślepy strach przed totalnym unicestwieniem wywołujący paniczną reakcję obronną w każdej sytuacji, nawet wtedy, kiedy nie ma już nawet cienia nadziei na powstrzymanie nieuchronnego biegu wydarzeń, bo czy ktoś chce czy nie chce wszystko, co miało początek musi mieć też koniec. Im bliżej końca tym mniej znaczą wpajane przez całe życie wiara i nadzieja, a rośnie obezwładniający człowieka lęk i bez reszty ogarnia świadomość. Strach przed unicestwieniem stanowi zaczątek i tworzywo wszystkich ruchów religijnych, obiecujących wiernym życie wieczne. Ta obietnica daje nadzieję, która jednak przepada gdzieś w godzinie próby, pod naporem płynącego z głębi jestestwa instynktu krzyczącego, że śmierć jest aktem wchłonięcia świadomości przez otchłań nicości. Śmiertelne drgawki podczas agonii nie są niczym innym, jak tylko potwierdzeniem zwycięstwa tego ślepego instynktu nad wiarą, iż po drugiej stronie jest jakaś kontynuacja, że w ogóle istnieje jakaś druga strona. W dzieciństwie śmierć kojarzyła mi się z intensywnym zapachem świeżo ściętych świerkowych gałęzi, powszechnie używanych do wyplatania wieńców pogrzebowych, z zaduchem zaciemnionych mieszkań, wypełnionych nasyconym zapachem dymu palących się świec, łagodnym i mdłym zapachem wosku i ostrym szczypiącym w oczy odorem stearyny.

Zmarły spoczywał w trumnie ustawionej wysoko na paradnym, używanym niezmiernie rzadko stole pokojowym. Przy trumnie na drewnianych kwietnikach z roślinami ozdobnymi, o liściach ciemnozielonych, dużych jak u chrzantu, obficie pleniącego się na tłustych glebach Magicznego Zakątka. W lichtarzach smętnie płonęły świece. Przedmioty

składające się na żałobny wystrój mieszkania często pochodziły od krewnych i sąsiadów, jeśli nie starczało tych znajdujących się w domu zmarłego. Ciasne na ogół mieszkania wypełniali przychodzący z różnych powodów ludzie. Najczęściej ze zwykłej ciekawości. Oczami szacowali wartość trumny i ubranie nieboszczyka. Studiowali zastygły wyraz jego twarzy, szukając śladów przebytego cierpienia, lub subtelnego uśmiechu wywołanego ulgą przychodzącą razem ze skonaniem. Wszędobylskim dzieciakom trudno było dostrzec twarz zmarłego. Z reguły widziały tylko wystające ponad krawędź trumny nowiutkie, żółte i gładkie skórzane zelówki butów, zakupionych specjalnie na okoliczność pochówku. Nikt nie śmiał złamać zwyczaju wyposażania nieboszczyka w fabrycznie nowe buty, choćby za życia chodził na ogół w dziurawych. Bywało, że z powodu ciasnoty w mieszkaniach wieko trumny wystawiano na zewnątrz, gdzie oparte o ścianę wieszczyło przechodniom wizytę bezlitosnej kostuchy, znanej im z wizerunku umieszczonego na czarnej, żałobnej, kościelnej chorągwi. Odarty z życia jej szkielet napawał takim strachem, że nie było zbyt wielu chętnych do noszenia sztandaru z jej podobizną. Już od samego słowa śmierć wiało grozą, więc należało jak najszybciej o niej zapomnieć tym bardziej, że nie dotyczyła przecież nas bezpośrednio. Wprawdzie ludzie umierali wokół nas, ale zdarzało się to wyłącznie innym: sąsiadom, znajomym, dalszym krewnym, lecz nie nam. Mimo nieuchronności zejścia z tego świata, nie wolno nam było myśleć nawet w najdalszej perspektywie, że nadejdzie taki dzień, kiedy wieko trumny zostanie oparte o ścianę naszego domu. Śmierć na ogół chadzała nocami i choć nie było wtedy pisanych nekrologów, wieść o jej wizycie pędziła rankiem lotem błyskawicy z domu do domu z ust do ust. Cmentarz zmieniał nieustannie swoje oblicze. Wśród grobów otoczonych zwykłą podmurówką przybывało nagrobków z wszechobecnego lastriko, choć tu i ówdzie pyszniły się już pomniki z szlifowanego na lustro drogiego kamienia.

Te granity, piaskowce i marmury o przedziwnych niekiedy kształtach, wyparły z czasem siermiężne grysowo-cementowe płyty. Zaczęło już brakować miejsca na mogiły, więc pozyskano dodatkową przestrzeń, przenosząc cmentarny płot bliżej krawędzi ulicy. Chodziłem tam nie raz, choćby na chwilę zadumy przed zniczem pamięci, oświetlającym słowa gorzkiej nadziei.- Wieczny odpoczynek racz im dać Panie, a światłość wiekuista niech im świeci na wieki wieków. Pochłonięty sprawami tego świata nie dostrzegłem, że ucieka mi coś ważnego, drogiego. Aż pewnego dnia idąc ulicami Woli zauważyłem, że wśród przechodniów pełno jest zupełnie nieznanymi mi ludzi, a tylko niekiedy zdarzyło mi się zobaczyć jakąś znajomą twarz, zmienioną jednak znakami czasu. Wtedy właśnie doznałem olśnienia, że to już nie jest moja Wola, w której znałem wszystkich mieszkańców. A oni, moi kuzyni, szkolni koledzy, nauczyciele, urzędnicy, sportowcy Wolanki, sprzedawcy ze sklepów i stacze sprzed obelisku Kościuszki, zrobili mi jakiś potworny kawał i przenieśli się na ten niewielki, piaszczysty pagórek za Rymarzem. Zaświtało mi w głowie, że tam jest teraz moje dzieciństwo i wczesna młodość. Wróciłem, więc na cmentarz i snułem się między grobami w nadziei, że usłyszę jakieś echa dawnego życia mojej wsi: Rżenie koni o poranku, skrzypienie studziennego kołowrotu, stukanie wydłubanych w lipowym drewnie sabotów wiekowego Wojciecha Bartyzela, fabryczny gwizdek wzywający robotników na dzienną zmianę. Może usłyszę kościelną sygnaturkę, ponaglącą idące na poranną mszę starsze kobiety, warkot nadjeżdżającego z Bełchatowa zdezelowanego autobusu. Wpadną mi w ucho klótnie kobiet, walczących o lepsze miejsce w kolejce do mięsnego sklepu i ujadanie psów nad stawem. Nic takiego się jednak nie zdarzyło.

Wokół mnie zgromadziły się tylko nazwiska na kamiennych tablicach, a nad nimi wisiała cmentarna cisza. Wtedy właśnie dopadł mnie lęk, przerażający strach przed nicością zaczajoną za ostatnim tchnieniem życia, za ostatnim doznaniem świadomości.

Nie do końca jednak złamało się moje ego pod naporem trwogi, bo gdzieś głęboko w świadomości tliła się iskierka nadziei, że przecież bez zmartwychwstania życie nie miałoby sensu. Może, więc trzeba wierzyć, że nadejdzie taki moment, kiedy Wszechmogący

Programista uderzy w kosmiczną klawiaturę, uruchamiając proces, który pozwoli odtworzyć każdą ludzką myśl, każde istnienie, każdą chwilę przeszłości, a siłą sprawczą tych zjawisk zachodzących w elementarnym tworzywie wszechświata staną się nagromadzone w czasoprzestrzeni zasoby wyższych uczuć, a szczególnie bezinteresownej miłości. **Felix qui potuit rerum cognoscere causas.**

Atak delfina. A.D.03.11.2011

Podczas kampanii wyborczej, co bystrzejsi obserwatorzy odnieśli wrażenie, że z charyzmatycznego suwerena polskiej prawicy jakby wyszło powietrze. Tezę o początku schyłkowej fazy w karierze politycznej Jarosława Kaczyńskiego potwierdzały uniki wodza PiS-u, przed publiczną debatą z głównym przeciwnikiem, urzędującym premierem Donaldem Tuskiem. Nie ulega wątpliwości, że młode wilki nieomylnie zwietryły słabnięcie przywódcy watahy i przewidując kolejną wyborczą porażkę zaczęły szykować się do przejęcia po nim sukcesji. Według przewidywań pretendentów właściwym momentem do zakwestionowania pozycji suwerena, miał być czas pełzającego niezadowolenia złąknionych władzy, partyjnych dygnitarzy po przegranych wyborach. Nie czekając na oczekiwany, niekorzystny wynik wyborczy partii, typowany na następcę prezesa eurodeputowany Zbigniew Ziobro umacniał swoją pozycję wśród partyjnych kolegów, wspierając podczas kampanii tych kandydatów na parlamentarzystów, których wcześniej pozyskał, rozdając posady i synekury, jako minister sprawiedliwości. Wydaje się, że głównym graczem w tej próbie partyjnego puczu jest inny europoseł Jacek Kurski, znany cynizm politycznego działacza, autor konkluzji o ciemnym ludzie, który kupi wszystko, co mu polityczni gracze zechcą podać na tacy do zaakceptowania. Potwierdza to fakt, że obaj zesłani przez wodza do Brukseli panowie, od dawna na ogół chodzą parami. Pierwsze starcie miało miejsce na powyborczym posiedzeniu Komitetu Politycznego PiS – u przy wyborze kandydatów do objęcia funkcji parlamentarnych. Rządzący jak dotąd żelazną ręką, w stworzonym przez siebie ugrupowaniu Kaczyński nie dopuścił do głosu delfina. Odrzucił także kandydaturę popieranego przez niego Arkadiusza Mularczyka na wicemarszałka Sejmu. Kości zostały rzucone kilka dni później, kiedy Ziobro rozpoczął swoisty dialog z szefem i dawnym mentorem za pośrednictwem mediów, żądając demokratycznej dyskusji wewnątrz partii i kwestionując jej zdolność w obecnym kształcie, do odniesienia kiedykolwiek wyborczego zwycięstwa. Na ripostę prezesa nie trzeba było długo czekać. Jarosław Kaczyński postąpił podobnie jak z innymi niedoszłymi reformatorami Prawa i Sprawiedliwości, takimi jak „trzeci bliźniak” Ludwik Dorn, Marek Jurek czy grupa założycielska partii Polska Jest Najważniejsza, stawiając ich od razu pod ścianą do odstrzału. Tym razem jednak wódz okazał się wyjątkowo dobrotliwy proponując niewdzięcznym odszczepieńcom „kompromis” polegający z grubsza na zobowiązaniu się do powstrzymania od publicznych wystąpień i oddaniu się do dyspozycji prezesa, co oznaczałoby praktycznie całkowitą marginalizację buntowników. Wygląda na to, że mosty łączące obie strony konfliktu zostały spalone i nigdy nie zostaną już odbudowane, a

wewnętrzny podział na frakcje ziobrystów i złogów dawnego Porozumienia Centrum przypieczętowany. Nieznoszący sprzeciwów prezes uruchomił, więc już system zniszczenia i lada chwila dojdzie do ostatecznej rozgrywki. Wydaje się, że szanse Zbigniewa Ziobry na choćby pomniejszenie znaczenia Jarosława Kaczyńskiego po prawej stronie sceny politycznej są, co najwyżej iluzoryczne. No chyba, żeby zyskał mocne poparcie ojca dyrektora Tadeusza Rydzyka, co jednak może nie wystarczyć mu do uratowania głowy podczas politycznej zawieruchy, którą sam zbyt wcześnie rozpętał. Ciekawe jest natomiast, jaki wpływ będzie miał ewentualny rozłam w Prawie i Sprawiedliwości na ukształtowanie się nowej konfiguracji sił prawicowych, skoro Kaczyński i Ziobro są zwolennikami tego samego agresywnego i mesjanistycznego, postsmoleńskiego nurtu grupującego najtwardszy elektorat polskiej prawicy. Obaj też są nieodmiennie kojarzeni z nieudanym epizodem IV Rzeczypospolitej i pomawiani o polityczną odpowiedzialność za śmierć Barbary Blidy, a związku z tym ciąży nad nimi realna groźba odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu. Jedno jest pewne. Cała reszta politycznego establishmentu z rosnącą ciekawością i cichym zadowoleniem przyjmuje harce zbuntowanych działaczy w formacji zbudowanej i dowodzonej przez Jarosława Kaczyńskiego. Patrząc z rosnącą nadzieją na ewentualne rozbitcie, lub choćby tylko osłabienie zdeorientowanego, twardego jądra prawicowego elektoratu.

Dramat prawicy **. A.D.08.11.2011**

Wszystkie znaki na medialnym horyzoncie zgodnie zapowiadają, że oto na naszych oczach rozpada się właśnie potężny i niewzruszony dotąd blok narodowo-katolicki, dominujący od lat po prawej stronie polskiej sceny politycznej. Destrukcja monolitu szybko postępuje, a temperatura towarzyszących jej newsów i komentarzy dochodzi do stanu wrzenia. Na medialnej płaszczyźnie, w atmosferze sensacyjnych igrzysk obserwujemy zmagania wybitnych destruktorów naszego życia politycznego. Przedstawienie zaczęło się od zdecydowanego ataku pretendenta do tytułu guru wszystkich „prawdziwych Polaków” Zbigniewa Ziobry, na pozycję osłabionego kolejną porażką, starzejącego się suwerena. Jakby na potwierdzenie moich słów z ostatniego felietonu Jarosław Kaczyński ujawnił informację o knowaniach Jacka Kurskiego, który jawi mu się, jako spirytus movens rewolucji pałacowej w szeregach Prawa i Sprawiedliwości. Musiało tak być skoro wódz już wcześniej odsunął na bok potencjalnych buntowników, wysyłając ich na lukratywne wygnanie do Brukseli. Kolejny dzień szarpaniny w PiS-ie utwierdza obserwatorów w przekonaniu, że buntownicy wcale nie chcą zakładać nowej partii wiedząc, że drogą rozłamu nie przybliżą się do najwyższych stanowisk w państwie. Po prostu zamierzają tak długo szarpać i nękać macierzystą partię, dopóki nie dostanie torsji i nie wyrzuci z siebie udręczonego założyciela. Wybór takiej strategii potwierdza oświadczenie delfina, że Prawo i Sprawiedliwość to również jego partia i nie zamierza jej opuszczać. Innym elementem tej cynicznej gry jest deklaracja o dążeniu do połączenia klubów parlamentarnych PiS-u i rozłamowej frakcji

ziobrystów, która przyjęła nazwę Polska Solidarna. Dobrze przemyślana i skalkulowana, perfidna akcja Ziobry i Kurskiego zaczyna przy pomocy kłamstw i insynuacji wkraczać w sferę absurdu. Trudno się jednak temu dziwić skoro obaj panowie dość długo terminowali u mistrza nadzwyczajnie biegłego w destrukcyjnych manewrach na politycznym placu boju. Przypominają o tym wpisy internetowych forumowiczów. Przy tej okazji opada szczelna dotąd zasłona z obłudy i hipokryzji okrywająca niezwykle skutecznie partię „prawdziwych Polaków i odsłania prawdziwe charakterystyki jej liderów, ceniących ponad wszystko władzę i profity z niej płynące. Wiernopoddańcze deklaracje składane latami rzekomo wielkiemu mężowi stanu zastąpiły teraz słowa wielkiej wobec niego ze strony puczystów łaskawości. Zawierucha na polskiej prawicy to prawdziwy dramat dla elektoratu, który nie tylko wiernie głośnie na swoich idoli, ale także maszeruje z pochodniami na Krakowskie Przedmieście wnosząc okrzyki: Jarosław Polskę zbaw! Układa i śpiewa piosenki z tekstem: Wystarczy cztery Ziobra i Polska będzie dobra. Natomiast dobrą stroną tej bezprzykładnej w historii polskiej demokracji awantury, może być ogólnonarodowa refleksja nad ewentualnymi skutkami powierzenia tym ludziom władzy w państwie. Kiedy ja myślę o takiej ewentualności najzwyczajniej w świecie ogarnia mnie niepokój **Quia ventum seminabunt et turbinem metent.**

Wstyd narodowy?

. A.D.12.11.2011

Gwałt niech się gwałtem odciska a ze słabością uczmy łamać się za młodu – te słowa wieszczki narodowej w innej wypowiedziane epoce i do innej odnoszące się sytuacji, nabrały aktualności po świątecznych zamieszkach w Warszawie. Stały się przestrożą i radą przed skutkami pobłażania łobuzerii, zakamuflowanej pod sztandarami patriotyzmu i narodowej godności. Tak się niestety składa, że im bardziej ktoś szczytnymi i szlachetnymi hasłami szermuje, tym bardziej nieczyste ukrywa pod nimi intencje. Niewiedzę o ludzkiej przewrotności można wybaczyć każdemu, ale nie władzy, która z założenia sama siebie uważa za wszystko wiedzącą. Dlatego nie może być usprawiedliwienia dla władz za dopuszczenie do recydywy ubiegłorocznych, listopadowych zamieszek na ulicach Warszawy, które za przyczyną rozzuchwalenia bezkarnością ich uczestników, wybuchły w tym roku ze zwielokrotnioną siłą. Wyrządziły też o wiele większą krzywdę ludziom i straty materialne społeczeństwu. Nie mogło wszakże być inaczej skoro przez cały rok prawicowe elity zamiast potępiać chuligańskie ekscesy młodzieżowych gangów, dewastujących stadiony sportowe, zaczęły przypisywać łobuzom szlachetne intencje kultywowania patriotyczno- narodowych wartości. Wsparcia moralnego i prawnego zakapturzonym złoczyńcom udzielili także czołowi politycy Prawa i Sprawiedliwości. Nie bez winy jest także prezydent Bronisław Komorowski, który nadając najwyższe odznaczenie Orła Białego byłemu senatorowi Zbigniewowi Romaszewskiemu podpisał się pod wsparciem, jakiego ten etosowy polityk udzielił hersztowi stadionowej, znarkotyzowanej dziczy niejakemu Staruchowi, przebywającemu aktualnie w

wiezieniu. Ciśnie się na usta pytanie, gdzie byli i co robili przez cały rok ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo państwa i dlaczego nie przygotowali stosownych zmian w ustawach, które mogłyby zabronić demonstracji ulicznych faszystowskim i lewackim formacjom, o których wiadomo, że demonstrują swoją rzekomą wyższość i poczucie siły za pomocą ulicznej rozróby. Po groźnych ulicznych zamieszkach słyhać głosy o narodowym wstydzie. Ten wstyd nie hańbi jednak całego społeczeństwa tylko tę jego część, która uważa się za naród. Tak to właśnie wydedukowała Zuzanna Kurtyka po przegranych wyborach senatorskich ogłaszając, że naród jest tylko częścią tego społeczeństwa, tę patriotyczną. Wypada, zatem powiedzieć; Niech się ten wybrany naród wstydzi za łobuzerię podpalającą samochody pod znakami Wszechpolaków i innych neofaszystowskich ugrupowań, wspieranych czynnie i moralnie przez zagranicznych pobratymców. Niech się wstydzą publicyści: Rafał Ziemkiewicz, Jan Pospieszalski i wielu innych głoszących rację i chwałę radykalnych, prawicowych ugrupowań. Niech się wstydzi premier, rząd i prezydent Warszawy za bezsilność wobec grających im na nosie bandytów w kapturach, przypominających jako żywo członków Ku Klux Klanu, wychodzących legalnie na ulice, żeby się fizycznie i psychicznie się wyżyć i zademonstrować pogardę dla słabszych i dla prawa, które ma chronić państwo i obywateli, ale nie chroni. Entuzjaści nowego porządku nazywali często młodych, wychowanych w Polsce, po politycznych i gospodarczych zmianach pokoleniem JP II. Myślę, że czas już zaniechać używania tego określenia ze względu na wielkość i szlachetność człowieka, który zasłużył sobie na lepiej wychowanych wielbicieli i naśladowców. **Elite ad deliberandum.**

Zderzaki Tuska

A.D.18.11.2011

W otoczce medialnych dociekań i spekulacji premier Donald Tusk, nieczym wytrawny iluzjonista wyciągnął z koalicyjnego kapelusza dziewiętnastu ministrów, którzy w marszu muszą się zmierzyć z nadciągającym od południa Europy kryzysem światowej gospodarki i finansów. Z kryzysem, który zaczyna szczerzyć kły i ostrzyć pazury, przed rychłym uderzeniem w kolejne unijne kostki domina. W składzie nowej Rady Ministrów trudno by szukać latających orłów. Jeśli nawet udałoby się jakieś znaleźć, to chyba tylko te zmodyfikowane, ostatnio popularne, znane z koszulek futbolistów narodowej reprezentacji. Tam nowe emblematy słusznie wprowadzono w miejsce prawdziwych orłów, upokorzonych długotrwałą degrengoladą kadry, wyselekcjonowanej przez trenera Franciszka Smudę. Bez przesadnego narzekania, w składzie osobowym rządu można jednak dopatrzeć się kilku całkiem niezłych fachowców, którzy wspólnie z niektórymi debiutantami mogą stworzyć zespół zdolny, do złagodzenia ataku zachłannych rynków finansowych, uzbrojonych po zęby w rządowe papiery dłużne i rozbuchane zobowiązania kredytowe, szalejącego od dawna na zakupach społeczeństwa. Mniej ważnym, bowiem jest, kto będzie dzierżył władzę, od tego, jaki program gospodarczy i społeczny Prezes Rady Ministrów zechce przy pomocy swojej ekipy wcielić w życie. W tym miejscu ciśnie się na usta pytanie, czy gabinet Platformy i PSL-u stać na dokonanie prawdziwych, może nawet przejściowo bolesnych dla

społeczeństwa reform. Papierkiem lakmusowym zdolności nowej ekipy do reformowania państwa będzie skuteczność działań obniżających deficyt budżetowy, dług publiczny i mało jeszcze znany wskaźnik Giniego, obrazujący rozpiętość między dochodami osiąganymi przez społeczne doły, a tymi będącymi udziałem śmietanki biznesowej. Skuteczne zmniejszanie nierówności społecznych mogłoby zaprocentować przyzwoleniem elektoratu, dla stopniowej likwidacji nieuzasadnionych przywilejów branżowych i emerytalnych, mocno obciążających budżet państwa. Uszczelnianie państwowej kasy trzeba jednak zacząć od oszczędności, w rozbudowanym ponad realne potrzeby państwowym i samorządowym aparacie urzędniczym. Nie chodzi o nadmierne zaciskanie pasa, ale o racjonalne gospodarowanie nie tak małymi przecież dochodami, które można jeszcze wzbogacić przez większą partycypację w utrzymaniu państwa ze strony sektora gospodarczego i finansowego, które przecież w największym stopniu korzystają z infrastruktury i bezpieczeństwa. Nie zawsze wielkie pieniądze dają gwarancję sukcesu. Przekonali się o tym sympatycy sportu olimpijskiego. Miliony złotych wydane na indywidualne przygotowania „pieszczochów” do Igrzysk Olimpijskich w Londynie nie zaowocowały ich wysoką formą sportową. Największe tuzy polskiego sportu blado wypadły na tegorocznych mistrzostwach świata. Nową minister Joannę Muchę czeka trudne zadanie, Tusk-team może odeprzeć atak spekulantów finansowych i odnieść sukces w dalszej perspektywie czasu tylko wtedy, kiedy uda mu się skupić większość Polaków wokół jakiegoś ważnego i mocnego wyzwania, które odsunie na dalszy plan wiarę w bożka chciwości, zaszczipioną polskiemu społeczeństwu na progu przemian ustrojowych.

Między fałszem i absurdem

A.D.24.11.2011

Według rzekomych mędrców i samozwańczych autorytetów, brylujących we wszechobecnych mediach elektronicznych, burzliwy w naszych czasach rozwój cywilizacji osiąga właśnie wyżyny doskonałości. Rozpędzony świat pokonuje w ekspresowym tempie progi kolejnych epok: przemysłowej, postindustrialnej, informatycznej. Całkiem inny jednak obraz rzeczywistości wyłania się tej matni fałszu i obłudy, jeśli się znajdzie jakąś szczelinę w otocze agresywnego marketingu, złocącego chorą tkankę społeczną, lichą farbą taniego blichtru. Mało, kto, niestety chce sobie w ten sposób psuć dobry nastrój tym bardziej, że społeczeństwo ślepo oddaje się przyjemności totalnej konsumpcji. Od czasów feudalizmu, pańszczyzny i poddaństwa nie było w naszym kraju tak głębokich podziałów społecznych i nierówności w dochodach. Rośnie przepaść między opływającymi w dobra tego świata kapitalistami, ludźmi władzy, beneficjentami uprzywilejowanych korporacji i celebrytami z jednej strony, a spauperyzowaną siłą najemną i całą resztą dołów społecznych. Szczególnie dotkliwie nowe porządki uderzyły w wielkoprzemysłową klasę robotniczą, która przetrwała szczątkowo tylko w dawnych socjalistycznych gigantach, takich jak Polska Miedź, Orlen, Kopalnia Węgla i Elektrownia Bełchatów i jest o dziwo klientelą polityczną radykalnej

prawicy. Cała reszta szeregów tej wielomilionowej armii pracy przepadła razem z przemysłową masą upadłościową PRL-u. Na naszych oczach ten sam kapitalizm, który na fali niezadowolenia z komuny powrócił do kraju dwadzieścia dwa lata temu na robotniczych plecach, odebrał swoim dobroczyńcom i nosicielom najpierw prawo do stałego zatrudnienia, potem ośmiogodzinny dzień pracy, a ostatnio przywileje branżowe i prawo do emerytur po ukończeniu 60 i 65 lat pracy. Czyż to nie prawdziwy chichot historii? W zamian za to, zniesmaczone mizérią życia w stanie wojennym społeczeństwo, zostało wciągnięte w chocholi taniec oszalałej konsumpcji. Na sfinansowanie uroków doraźnego dobrobytu nie wystarczyło jednak pieniędzy w wyprzedzaży majątku narodowego. Trzeba było zaciągać długi na zatkanie dziury budżetowej, z roku na rok rosnącej w zawrotnym tempie. Ojcowie założyciele nowego ładu społeczno-gospodarczego, lekkomyślnie i beztrosko oddali gospodarkę kraju na łaskę i niełaskę zachodniego kapitału. Transformacja ustrojowa, której kręgosłupem była prywatyzacja, dokonywała się w korupcyjnej otoczce, burząc ład moralny oparty na poszanowaniu państwowej własności, będącej efektem harówki lichy opłacanych dwóch pokoleń ludzi pracy.

Wielkim grzechem kolejnych rządów była rozrzutność i marnotrawstwo publicznego grosza. Słynne cztery wielkie reformy Buzka przygotowane i wdrożone bez ekonomicznych kalkulacji, nadały deficytowi budżetowemu charakter systemowy i stały się motorem wzrostu długu publicznego. Grzechem głównym tych nieprzemyślanych i nieuzasadnionych zmian był niesłychany przyrost zatrudnienia w sferze budżetowej. Powołana do życia armia zbędnych urzędników w szybkim tempie osiągnęła liczebność, znacznie przewyższającą połączone siły armii, policji i wszystkich innych formacji paramilitarnych. Towarzyszą im liczne brygady radnych, czerpiących skolko godno z deficytowych budżetów zadłużających się beztrosko samorządów. Przeglądając słynną listę postulatów stoczniovców, która w efekcie wyróciła do góry nogami socjalizm widać wyraźnie, że robotnicy nie tylko nic nie zyskali, ale stracili całkiem spory pakiet praw pracowniczych i stali się obywatelami drugiej kategorii. Jedynym znaczącym osiągnięciem tamtych dni społecznej burzy i naporu, było oderwanie Polski od zbankrutowanego obozu radzieckiego i dołączenie do lepszego, zachodniego świata.

Szkoda tylko, że akurat w tym czasie zachodnia cywilizacja robiła zwrot w stronę rozpasanego liberalizmu i bezmyślnego konsumpcjonizmu, opartego na nieograniczonym kredycie, generującego potwornie wysokie zadłużenie państwa i społeczeństwa. Instytucje finansowe dla zmylenia zwane rynkami, rozrosły się w międzyczasie do monstrualnych rozmiarów i zachowują się jak tkanka rakowa w organizmie człowieka. Wartość materialna oderwana od wkładu pracy stała się kategorią wirtualną. Tak zwane rynki finansowe kreują łuze pieniądza nazywane elegancko instrumentami pochodnymi, a spekulacyjny handel długami wymknął się spod kontroli emitentów papierów dłużnych i przemieszcza się niczym tsunami, doprowadzając do ruiny gospodarki kolejnych krajów. Zachodnia cywilizacja miota się na polu minowym między fałszem a absurdem. Polska jest mimowolnym uczestnikiem tych zmagania. Jesteśmy w mniejszym stopniu graczem, a w większym pionkiem w tej niebezpiecznej grze. Nikt jednak nie zwolni nas z odpowiedzialności za bezpieczne przejście przez historyczne zawirowania i meandry. Podany w zarysie przez premiera program działań dla nowego rządu zaledwie nieśmiało dotyka węzła splątanych problemów, trzymających w coraz bardziej krępującym uścisku nasze społeczeństwo. Pomija zupełnie największy z nich, samonakręcający się systemowo nieustanny **wzrost nierówności społecznych**. Bez rozwiązania tego problemu nic nie powstrzyma rosnącego zadłużenia, które wkrótce może doprowadzić nas do zguby. Nie da się, bowiem zacisnąć pasa biednym, popuszczając jednocześnie bogatym. Nie da się wyprowadzić społeczeństwa z kryzysu bez nośnej idei, która będzie oświetlać naszpikowaną przeszkodami drogę, do bardziej stabilnej i pewnej

przyszłości. W sejmowym ekspozycji premiera Donalda Tuska zabrakło niestety zarówno nośnej idei, jak i rzetelnej buchalterii. **Parcere subjectis et debellare superbos.**

Strefa populizmu

. A.D.07.12.2011

W naszej wypaczonej demokracji, przegrana walce o władzę w państwie formacja polityczna otrzymuje na pocieszenie status opozycji parlamentarnej, na prawach za nic nie odpowiedzialnej świętej krowy. Może wprowadzić i powinna wpływać na stan państwa przedstawiając w Sejmie dobre, lecz alternatywne w stosunku do rządowych projekty rozwiązywania bieżących problemów politycznych i społeczno-gospodarczych, lecz się tego nie ima. Po co się wysilać na tworzenie konkurencyjnego programu zarządzania państwem, skoro znacznie lepsze efekty propagandowe można osiągnąć, przez totalne negowanie wszystkich działań rządzącej większości, przy pomocy często wyssanej z palca czarnej propagandy, tworzonej tylko po to, żeby obrzydzić w oczach wyborców przeciwników politycznych aktualnie trzymających władzę. Zniechęcić obywateli do proponowanych przez nich reform, bez względu na ich merytoryczną treść i społeczną przydatność. Wobec takiej mentalności klasy politycznej państwo polskie utrzymuje setki wysoko opłacanych leni i próżniaków, których głównym zajęciem jest występowanie w mediach. Posłowie, senatorowie, oraz obsługujący ich urzędnicy byczą się za pieniądze podatnika. Wyznając i stosując zasadę, że im gorzej tym lepiej zajmują się dezinformacją, w celu wywoływania w społeczeństwie nastrojów niezadowolenia oraz nakłanianiem do demonstracji przeciw rządowi.

Na skutek rezygnacji z kłopotliwej, publicznej debaty o charakterze merytorycznym, demagogiczna opozycja wybiera taką płaszczyznę do zwarcia z rządem, gdzie tani populizm, wsparty kłamstwem, pomówieniem i insynuacją z powodzeniem wystarczy do grania na nosie władzy i poniewierania raz po raz kolejnych jej przedstawicieli. Nieważne, za co, ważne żeby walić w rządzących jak bęben przy każdej, nadarzącej się okazji. Takim bezpiecznym dla napastników polem do politycznych harców jest wrażliwy dla większości Polaków kanon o absolutnej nadrzędności niepodległości i suwerenności państwa polskiego, w stosunku do wszystkich innych priorytetów życia publicznego. Z braku zagrożeń dla narodowego bytu liderzy prawicowej, nacjonalistycznie nastawionej formacji, wprost prześcigają się w wymyślaniu i rozpowszechnianiu rzekomo czyhających i dybiących na dobro Rzeczypospolitej niebezpieczeństw.

Hasłem wywoławczym grupujących siły nawiedzonych obrońców niepodległości jest dziś strefa euro. Wszelkie inicjatywy prowadzące do umocnienia Unii, która jest wspaniałym osiągnięciem i dobrem wszystkich Europejczyków, wywołują natychmiastową alergię u zwolenników dezintegracji państw europejskich. Larum grają nie bacząc, że rozbitcie, a nawet osłabienie wspólnej Europy będzie prowadzić natychmiast do silnego uzależnienia naszego kraju, od któregoś potężnych graczy brylujących na światowym boisku.

Niechęć do Brukseli nie przeszkadza eurosceptykom w czerpaniu wielorakich korzyści płynących z integracji. Przypominam sobie rolnika w podeszłym wieku, który odmawiał przyjmowania emerytury argumentując, że nie godzi się przyjmować dziadowskich pieniędzy. Na tak spektakularny gest nie stać niestety przeciwników integracji, zarówno tych, co bogacą się zasiadając w unijnych gremiach, jak i tych, którzy kiedyś głosowali przeciw wejściu Polski do Unii, a dziś ochoczo pobierają niemałe pieniądze z tytułu rolniczych dopłat. Nie mając nic dobrego do zaoferowania Polakom, działając w imię zaspokojenia żądy władzy i manii własnej wielkości, nie zawahają się wyprowadzić ludzi na ulicę w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego w Polsce, w obronie rzekomo zagrożonej niepodległości. Szkoda tylko, że ten patriotyczny gest zostanie zaprezentowany trzydzieści lat za późno. Ktoś, kto wyprowadziłby w obronie wolności i niepodległości w grudniu 1981 roku, kilka tysięcy ludzi na ulice Warszawy byłby niekwestionowanym bohaterem narodowym. Ten sam wyczyn dziś musi być traktowany przez normalnych ludzi, jako polityczne nadużycie, zaś jego inspirator i przywódca, jako nieuleczalny maniak, niebezpieczny dla spokoju społecznego w państwie. **Mala causa silenda est.**

Cicha noc **.A.D.17.02,2012**

Święta Bożego Narodzenia stały się w erze wybujałego konsumpcjonizmu najważniejszym bodaj chwytem marketingowym. Od pewnego czasu zatraciły rangę długo i niecierpliwie oczekiwanego, tajemniczego i uroczystego przeżycia duchowego, na rzecz wydłużonego do ponad miesiąca cyklu intensywnej kampanii reklamowej. Zostały wykorzystane, jako motyw przewodni akcji handlowej, prowadzonej w formie zmasowanego ataku na kieszeń podekscytowanych, sztucznie wzbudzoną, świąteczną atmosferą klientów. W pełnej entuzjazmu inwazji konsumentów na kuszące świątecznym wystrojem handlowe świątynie, przejawia się mania nabywania, skwapliwie podsuwanych przez speców od namolnego marketingu bożonarodzeniowych prezentów. Promocyjno-reklamowy blichtr potęguje złudne wrażenie, że handlowcy pragną nas bezinteresownie uszczęśliwić, wysyłając między ludzi tysiące Świętych Mikołajów z prawie darmowymi prezentami. Niestety, życie boleśnie nas poucza, że nie ma nic za darmo, a za rzekome prezenty trzeba słono zapłacić. Wśród rozdających lekką ręką zafałszowane, świąteczne upominki jak zawsze nie brakuje polityków. Dodatkową okazję wzmacniającą marketingową aktywność liderów zabiegających o przychylność wyborców była w tym roku okrągła, trzydziesta rocznica ogłoszenia stanu wojennego. To bolesne dla narodu wydarzenie, nie od dziś budzi wśród Polaków kontrowersje i skrajnie odmienne odczucia. Dla jednych był to zamach przeciw dążeniom społeczeństwa do wolności, dla innych ratunek przed nieuchronnym rozlewem krwi. Skłócone na amen formacje postsolidarnościowe nie omieszkały, każda na swój sposób wykorzystać okrągłą rocznicę do podniesienia sobie słupków sondażowych. Licytowały się przy tym w potępianiu autorów, rzekomo bezprawnie wprowadzonego stanu wojennego i wykonawców akcji represyjnych wymierzonych trzydzieści lat temu, w strajkujących

robotników, inspirowanych przez tak zwaną demokratyczną opozycję. Nic tak nie podnosi samopoczucia partyjnych liderów jak zdyskredytowanie politycznych przeciwników. Premier potępiając peerelowskich generałów, jako sprawców represji wobec narodu mówił wzniosłe o braku wybaczenia dla łajdactwa, którego doświadczyło wtedy z ich winy społeczeństwo polskie. Słuchającym tej retoryki nasuwa się jednak nieodparte wrażenie, że służy ona do odwrócenia uwagi od aktualnych problemów państwa polskiego i płynących z nich zagrożeń. Chodzi szczególnie o wyparcie ze społecznej pamięci informacji o porażającym swoją wielkością długi publicznej i nie mniej groźnym zadłużeniu obywateli. Może, więc lepiej zostawić te łajdactwa wrednej komuny licznym zastępom historyków Instytutu Pamięci Narodowej. Trzydzieści lat to wystarczający szmat czasu, żeby ukoić ból pokrzywdzonych przez tamtą władzę ludzi. Wydaje się, że dziś należy raczej pochylić się nad krzywdą wyrządzaną ludziom każdego dnia, przez aktualną władzę i zadać sobie pytanie czy można odpuścić grzechy animatorom przemian ustrojowych odpowiedzialnym za wykluczenie i zepchnięcie na margines społeczny setek tysięcy obywateli? Czyż nie jest to łajdactwo, gdy niegdysiejsi obrońcy klasy robotniczej oskarżający komunistycznych prominentów o korzystanie z nienależnych, choć tak naprawdę dość skromnych przywilejów sami pływają się dziś w luksusie, a ich podopieczni dawno już zostali wyrzuceni na bruk. Nie rzadko też zasilili armię zdemoralizowanych alkoholików, spędzających czas przed sklepami, w oczekiwaniu na litościwych fundatorów, lub zwielokrotnili klientelę jadłodajni brata Alberta, oraz cuchnących noclegowni. Czyż nie jest łajdactwem doprowadzenie do ogromnej przepaści w dochodach, między prowadzącymi próżniacze życie spekulantami, a ludźmi utrzymującymi się z pracy własnych rąk? Jak to jest, że bogacze beztrudnie wydają po 3000 złotych na dobowy pobyt w hotelu, czyli kwotę stanowiącą równowartość dwóch miesięcy pracy robotnika, za którą musi on utrzymać całą, często liczną rodzinę? Jak nazwać rozdawanie jałmużny ludziom, których wcześniej ograbiło się z rezultatów ich ciężkiej pracy? Niewiele konkretnie ma też do zaoferowania opozycja parlamentarna. Szukając społecznego poparcia piętnuje wydarzenia z dalekiej przeszłości i wyprowadza swoich zwolenników na ulice, pod pretekstem uczczenia ofiar stanu wojennego, Nic nie ujmując ich pamięci mieszczą się oni w tym samym panteonie narodowym, co ofiary zamachu majowego, strajków chłopskich i więzienia w twierdzy brzeskiej. Śmierć i cierpienie zadane przez władzę sprawiają taki sam ból, niezależnie od tego, jaka opcja polityczna się tego dopuściła. Wydaje się, że politycy korzystają właśnie z przedświątecznego tumultu i wrzawy i bijąc w populistyczny bębenek starają się, co sił odwrócić uwagę obywateli od prawdziwych problemów, których im przysporzyli swoją niewiedzą, arogancją i chciwością, a których rozwiązać niestety nie potrafią, a może wcale nie chcą. Pozostaje, więc życzyć ludziom dobrej woli, żeby harce handlowców i polityków nie zagłuszyły im całkiem przesłania płynącego z Betlejem w tę szczególną, cichą noc.

Zdrowie czy mamona?

A.D.02.01.2012

Nowy roku, nowy roku daj nam szczęście, pokój. Tak śpiewała szkolna dziatwa w zamierzchłych czasach PRL-u. Piosenki i wierszyki dla dzieci o pacyfistycznym charakterze miały odwrócić społeczną uwagę od materialnych niedoborów, będących skutkiem intensywnego dojenia gospodarki naszego kraju przez „bratni” Związek Radziecki.

Czasy się zmieniły, lecz owo dojenie pozostaje nadal najskuteczniejszą metodą przywłaszczania sobie owoców cudzej pracy, czyli wyzysku człowieka przez człowieka. W epoce globalnej wioski metody ograbiania bliźniego swego doprowadzono do perfekcji. Pod osłoną marketingowego blichtru i ogłupiającej reklamy cementuje się zмова i współdziałanie porażonych chciwością bogaczy, dążących ciągle do powiększania zasobu posiadanych dóbr i polepszanie sobie dobrostanu. Tylko wtedy, kiedy dochodzi do ostrego konfliktu interesów pomiędzy suwerenami trzymającymi stery świata polityki i finansów, bezwzględny, dziki kapitalizm pokazuje swoją prawdziwą, wredną twarz. Tak się złożyło, że wraz z zafałszowanymi życzeniami Szczęśliwego Nowego Roku owe dominujące w życiu społeczno-gospodarczym siły, zafundowały nam noworoczny pasztet w postaci bałaganu w przychodniach zdrowia i aptekach, który jest rezultatem bezpardonowej walki o jak najkorzystniejszy podział pieniędzy, wyciskanych z żyjących w zatrutym środowisku i nieustanym stresie ludzi, zmuszonych do wydawania sukcesywnie rosnących kwot, na ratowanie coraz bardziej szwankującego zdrowia. Od pierwszego dnia 2012 roku rozgrywa się na naszych oczach żenujący spektakl, którego preludium miało miejsce w ostatnim kwartale ubiegłego roku, kiedy wdrażano nową ustawę o refundacji leków. W zaciśkach gabinetów trwały wtedy podchody i przepychanki o miejsce dla leków na nowej liście, objętej refundacją przez Narodowy Fundusz Zdrowia, tej części ceny leku, o którą została pomniejszona odpłatność poniesiona przez pacjenta. Teraz doszło do decydującego starcia między głównymi beneficjentami czerpiącymi zyski z lecznictwa.

W wyniku tej wołającej o pomstę do nieba szarpaniny szkody materialne i moralne ponoszą chorzy ludzie, którzy w wyniku szantażu lekarzy zmuszeni są do płacenia aptekarzom pełnej odpłatności za lekarstwa, które dotąd kupowali taniej dzięki budżetowym dotacjom. Podkreśkana przez media atmosfera niepewności i skandalu przyczynia się też do pogorszenia stanu zdrowia sfrustrowanych pacjentów, zmuszonych do korzystania z zasobów farmacji. Dotyczy to znacznej, a może nawet zasadniczej części naszego społeczeństwa. Najbardziej perfidne w tej brudnej wojence są oświadczenia wszystkich po kolei uczestników konfliktu, że rzekomo działają wyłącznie interesie chorych i oskarżenia o złą wolę pod adresem adwersarzy. To bezczelne imputowanie sobie roli obrońców chorych, przez goniących za zyskiem rynkowych graczy, lekarzy, farmaceutów i polityków sprawia pacjentom dodatkowy ból. Na dodatkowy ból można kupić dodatkowe leki. Tyle tylko, że trzeba za nie dodatkowo zapłacić. I o to właśnie w tej całej, niesławnej awanturze chodzi. **O tempora! O mores!**

Polska ante portas

A.D.15.01.2012

Początek Nowego Roku nie napawa optymizmem. Tuczące się na złych wieściach media ekscytują się newsami, które dalekie są od noworocznych życzeń pełnych wszelkiej pomyślności. Nic też nie wskazuje, żeby miały się spełnić głoszone przez polityków trzymających władzę, optymistyczne prognozy o możliwości przejścia suchą nogą, przez zalewający Europę kryzys. Wprost przeciwnie, wszystkie znaki w elektronicznych i papierowych publikatorach jednoznacznie wskazują, że sprawy idą w złym kierunku. Społeczny ferment rozpoczęli lekarze, znani z bezkompromisowości w dążeniu do spełnienia swoich, nieustannie rosnących materialnych żądań i z uchylania się od odpowiedzialności za niedbalstwo, niekompetencję, błędy w sztuce i korupcję. W ślad za nimi poszli aptekarze. Najgorsze jest to, że cała kasta medyczno-farmaceutyczna nazywana kiedyś służbą zdrowia, zapominając o swoim powołaniu, przystąpiła do ostrej walki z władzą, biorąc sobie za zakładników zdeorientowanych i sfrustrowanych pacjentów. W ślad za nimi ruszyły straże pożarne, miejskie służby porządkowe i straże graniczne, manifestując swoje niezadowolenie z braku podwyżek wynagrodzeń, na ulicach miast organizujących futbolowe Euro 2012. Protestujący funkcjonariusze zniżyli się w ten sposób do swoistego szantażu, dając do zrozumienia władzom, że niezaspokojeni w swoich żądaniach, mogą nie zadbać o bezpieczeństwo podczas największej sportowej imprezy, jaka kiedykolwiek odbyła się w naszym kraju.

Obraz postępującego bałaganu w państwie dopełniła samobójcza próba prokuratora wojskowego pułkownika Mikołaja Przybyła, dokonana w przerwie zwołanej przez niego konferencji prasowej. Ambitny prokurator skutecznie oskarżył przed sądami, blisko stu winnych korupcji w wojsku, na wielką skalę. W obliczu niemożności przekonania do swoich racji sięgnął, po dramatyczny gest nawiązujący do żołnierskiego poczucia honoru. Tragiczne to wydarzenie otworzyło oczy opinii publicznej na problem demoralizacji armii. Taki ciąg wydarzeń destabilizujących państwo, na początku drugiej kadencji koalicji Platformy z PSL-em budzić może zdumienie obserwatorów życia politycznego przekonanych, że pierwszy po 1989 roku sukces wyborczy partii aktualnie pozostających u władzy wróży stabilizację w państwie, przynajmniej na najbliższe trzy lata, do rozpoczęcia kampanii wyborczej przed elekcją Parlamentu Europejskiego. Niestety tak się nie stało za sprawą wrzenia pod efektownie lakierowaną fasadą III Rzeczypospolitej. Jeszcze niedawno premier Donald Tusk publicznie się zarzekał, że nie będzie klękał przed księdzem. Niestety kilka miesięcy później musiał zrezygnować z choćby niewielkiego tylko uszczuplenia przywilejów kleru. W dodatku został rzucony na kolana przez medyków mających za nic uchwalone przez Sejm prawo. Tak zwany protest pieczętkowy pozbawił pacjentów z winy lekarzy, należnych dopłat do leków, umieszczonych przez Ministra Zdrowia na liście leków refundowanych i zmusił rząd do rejterady.

Wygląda na to, że cały, rządowy program oszczędnościowy zawarty w zapowiedzianych reformach bierze w łeb. Znowu trzeba będzie pożyczać pieniądze od spekulantów, na kolejne podwyżki dla pracowników w niesłychanie rozbuchanej sferze budżetowej, a o jakiegokolwiek redukcji potężnego, niemal bilonowego długu publicznego nie może być mowy. Nie ma też szans na powstrzymanie jego wzrostu. Niewesołe to perspektywy dla społeczeństwa, którego połowa żyje w ubóstwie, a niekiedy w nędzy. W tej trudnej sytuacji przychodzi w sukurs postsolidarnościowym elitom, skazujący wyrok na generała Czesława Kiszczaka w procesie autorów stanu wojennego. Sąd skazał go na podstawie wykładni Trybunału Konstytucyjnego, wydanej w celach propagandowych. Według tej wykładni brał on udział w przestępczym związku o charakterze zbrojnym. No cóż, brzmi to całkiem groteskowo, jeśli weźmie się pod uwagę, że tę decyzję podjęły, przygotowały i wprowadziły najwyższe organy państwa uznawanego na całym świecie.

Nikt zdrowy na umyśle nie mógł oczekiwać przed jego ogłoszeniem sejmowej debaty, która przecież mogłaby stać się sygnałem do wybuchu wojny domowej. Tej oceny w niczym nie może zmienić fakt, że władze PRL-u utrzymywały w kraju represyjny system i naruszały prawa obywatelskie. Za represje powinni ponieść odpowiedzialność sądową wszyscy, którzy uczestniczyli w tym haniebnym procederze. Dotyczy to bezpośrednich sprawców krzywd uczynionym ludziom, jak również ich mocodawców na wszystkich szczeblach władzy.

Wywodząca się z „Solidarności” klasa polityczna przyjęła skazanie Kiszczaka z zadowoleniem i nadzieją, że odwróci to społeczną uwagę od fiaska, jakie poniosła nowa władza, doprowadzając do głębokich podziałów i nierówności społecznych. Wolność jest i owszem, ale dla bogatych, którzy w coraz większym stopniu zawłaszczają publiczną przestrzeń, spychając ubogich na margines życia społecznego. Prawo jest i owszem, ale dla tych, których stać na zatrudnienie wysoko opłacanych prawników. Ta zielona wyspa z dumą prezentowana na mapie przez rządzących, wśród objętych recesją krajów Europy, utrzymuje się na powierzchni, głównie dzięki dochodom z wyprzedaży majątku narodowego i emisji papierów dłużnych. Rozwarstwienie społeczne będące skutkiem uprzywilejowania tej części elektoratu, który zapewnia elitom utrzymywanie się u władzy, nieustannie generuje napięcia społeczne. Destrukcyjny charakter zmian ładu społecznego wspomagany niszczącym działaniem wszechobecnej korupcji, musi napawać niepokojem. **Nigro notanda lapillo.**

Wojownicy cyberprzestrzeni

A.D.01.02.2012

Konsumpcjonizm, który jawił się, jako najwyższe stadium rozwiniętego kapitalizmu, niezwykle szybko osiągnął swoje apogeum i wszedł w schyłkową fazę. Na naszych oczach targane wewnętrznymi sprzecznościami, bankrutuje właśnie państwo dobrobytu. Okazało się, że na dłuższą metę nie sposób pogodzić sprzeczności, które podzieliły współczesny świat. System dominujący dziś, w którym wszystko jest na sprzedaż, napędzany chciwością i żądzą zysku starł się z potężną, młodzieżową subkulturą, która chce mieć wszystko za darmo. Do starcia tych dwóch odmiennych światów doszło momencie, kiedy rządy rozwiniętych państw chroniące globalną finansjerę, idąc w ślad za jedynym supermocarstwem zdecydowały się podpisać i wdrożyć wielostronną umowę handlową o zwalczaniu piractwa medialnego i obrotu podrabianymi dobrami, znaną powszechnie, jako ACTA. Skala protestu i determinacja przeciwników wprowadzenia w życie restrykcji, wobec osób naruszających prawa twórców i właścicieli marek handlowych przerosła najbardziej pesymistyczne oczekiwania władz. Wirtualna grupa Anonymous występująca werbalnie przeciw korupcji, konsumpcjonizmowi i cenzurze, głosząca, że rządy powinny się bać swoich obywateli, zjednoczyła pod swoim wezwaniem tysiące młodych ludzi kontestujących ich zdaniem, represyjny system społeczny. Ten bunt przeciw establishmentowi, odwołując się do ideałów wolności przypomina słynny ruch hipisowski z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Z tym, że pokolenie dzieci – kwiatów było raczej pasywne, bez tak skutecznej broni

jak Internet. Dzisiejsi buntownicy dysponując nieograniczoną anonimowością i swobodą, w sieci posiadają swoje zbrojne ramię. Wojownicy cyberprzestrzeni nazywani swojsko hakerami zaatakowali, więc zdecydowanie i skutecznie strony rządowe, wprawiając w popłoch władze i ośmieszając liczne, wysoko opłacane służby powołane do zapewnienia bezpiecznego funkcjonowania państwa. Uderzając w newralgiczne miejsca obszaru sprawowania władzy wsparli mocno tym samym żywiołowe, uliczne protesty swoich kolegów internautów. Pod silną presją „anonimowych” rząd premiera Donalda Tuska skapitulował kolejny raz od triumfalnego rozpoczęcia drugiej kadencji. Ustępstwa wobec szantażu lekarzy i żądań płacowych służb mundurowych mocno nadszarpnęły już prestiż sprawującej władzę koalicji. Najbardziej dotkliwa jest jednak kolejna rejterada rządu w obliczu oskarżeń o ograniczenie praw obywatelskich, a szczególnie prawa do wolności w cyberprzestrzeni. Kładzie, bowiem cień na moralnej legitymacji władzy do powoływania się na etos „Solidarności”. Nie ma wolności bez” Solidarności”! Ten okrzyk znaczył początek drogi odejścia od komunizmu w kierunku nielicencjonowanej demokracji.- Nie ma wolności bez odpowiedzialności – odpowiadał uważany dziś za łamiącego prawa człowieka dyktator. Po trzydziestu latach ci sami bojownicy o wolność, aktualnie trzymający władzę atakowani są przez młode pokolenie za zakładanie obywatelom kagańca. Historia zatoczyła koło, potwierdzając stare porzekadło, że punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia.

Trudno się dziwić dzisiejszej młodzieży, że z taką determinacją broni darmowego dostępu do przyjemności oferowanych w Internecie. Jest to w zasadzie jedyna sfera życia, gdzie młodzi ludzie mogą się odnaleźć, po tym jak odebrano im prawo do stałej pracy i godziwego wynagrodzenia. Brak perspektyw na przyszłość mimo zdobytego wykształcenia, presja na emigrację zarobkową, bezwzględny wyzysk ze strony pazernych pracodawców – wszystko to stawia młodzież w opozycji do władzy i skłania do protestów, niekiedy drastycznych. Sprawujący władzę muszą sobie zdawać sprawę, że chaos ogarniający świat, kontestowanie prawa do znaków towarowych, łamanie prawa do ochrony dóbr intelektualnych jest częścią tego samego systemu społecznego, w którym wszechobecne, spekulacja i lichwa rujnują życie milionów ludzi spychając ich na społeczny margines. I taka jest niestety druga, wstydliwie skrywana strona pyszniącego się złotym blaskiem medalu. Już czas porzucić asekurancką metodę doraźnych napraw i szukać lepszego, kompleksowego rozwiązania.

Na krawędzi niemocy

A.D.10.02.2012

Konia z rzędem temu, kto dałby w miarę trafną odpowiedź na pytanie, dokąd zmierza państwo polskie? Mało tego, rodzą się poważne wątpliwości czy elity polityczne sterujące nawą państwową, mają jakąkolwiek wizję biegu wydarzeń wykraczającą poza kilka tygodni, a może nawet kilka dni. Trudno, więc wymagać od obserwatorów życia politycznego

zdefiniowania formy organizacyjnej społeczeństwa i skutków na przyszłość, wynikających z takiego jej funkcjonowania, skoro polityczni przewodnicy sami nie wiedzą gdzie idą. Odkąd rządowi Donalda Tuska przestała wystarczać ciepła woda w kranach, ze słusznej obawy o dogasający ogień pod kotłami, został on zmuszony do podjęcia prób zreformowania kulawego państwa. Rzecz w tym, że materia, czyli społeczeństwo okazała się nad wyraz oporna i niepodatna na systemowe zmiany, sygnowane mało nęcącą obietnicą rzekomo lepszej, lecz odległej przyszłości kosztem natychmiastowych i bolesnych dolegliwości. Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu – mawiają przeciwnicy wszelkich zmian. Rzecz w tym, że lepiej to już było. Wtedy, kiedy wzrastał poziom życia pewnej, znaczącej części społeczeństwa finansowany z łatwych źródeł, czyli wyprzedaży majątku narodowego i zaciąganiu długów bez opamiętania. Niestety dalej się już tak nie da. Przestrogą, która otworzyła wreszcie oczy decydentów stał się upadek lekkomyślnej i rozrzutnej Grecji, oraz sygnały o znajdujących się na krawędzi bankructwa innych krajach, w tym zasiedziały od dawna w strukturach unijnych Włoch, oraz bogatszych od nas Hiszpanii i Portugalii.

Cóż z tego, że część elit zaczyna rozumieć konieczność wprowadzenia znacznych oszczędności budżetowych, skoro nowobogacy biznesmeni i narcystyczni celebryci preferują rozrzutny styl życia, dając zły przykład gorzej sytuowanym warstwom społecznym. Do konsumpcji zachęcają media, przysgniatając wprost lawiną agresywnych reklam, zniewalających do kupowania towarów, często całkiem zbędnych. Dlatego każde działanie rządu prowadzące choćby do chwilowego obniżenia poziomu życia rodzi zdecydowany opór. Rządowi Platformy i PSL-u w krótkim czasie utarli nosa lekarze, służby mundurowe i internauci. Na podobny epilog zanosi się przy reformowaniu systemu emerytalnego. Po blamażu z obiecującym emerytom” złotą jesień” tak zwanym drugim filarem, nikt już nie daje się nabrać na obietnice bez pokrycia. Ustępujący pola kolejnym protestom premier, niedawno jeszcze podziwiany za zwycięstwo wyborcze, jawi się dziś, jako chłopiec do bicia. Wystarczy trochę na niego nakrzyczeć, żeby zmusić do porzucenia reformatorskich zapędów.

Tymczasem rzeczywistość skrzeczy. Nie ma, co się zachwycać statystycznym wzrostem PKB, który napędzany jest, przez ciągle wysoki popyt wewnętrzny finansowany w dużym stopniu kredytem. Z niewielką przesadą można stwierdzić, że 80 % obywateli zajmuje się biurokracją, zarządzaniem, pośrednictwem i handlem. Ropy i gazu dostarczają nam Rosjanie, a większość artykułów niezbędnych do życia produkują dla nas Chińczycy. Bilans handlowy z zagranicą jest dla nas od lat niekorzystny. Rośnie nieustannie dług publiczny.

Zasadnicze problemy naszego kraju spychane są na dalszy plan również za sprawą mediów, szukających taniej sensacji i poświęcających tak wiele czasu wierutnym bzdurom. Przykładem bezmyślności była kilkudniowa zadyma wokół niedoszłego meczu o Superpuchar, co miał się odbyć na Stadionie Narodowym. W środku zimy, przy dwudziestostopniowym mrozie, w isticie stachanowskim tempie układano wyhodowaną w cieplarnianych warunkach murawę, żeby mogło odbyć się spotkanie dwóch złożonych z przeciętnych kopaczy polskich drużyn. Gdzie te czasy, gdy zawody sportowe na otwartym powietrzu rozgrywano latem, kiedy trawa sama rośnie na boisku? Dziś założenie trawnika na piłkarskim stadionie kosztuje krocie, bo monstrualne dachy zasłaniają słońce, bez, którego nie ma wegetacji roślin. Trzeba, więc wymieniać darń kilka razy w roku jak miało to miejsce w Poznaniu. Kto zapłaci za tę bezmyślną rozrzutność? Kto policzy ile jest takich zdarzeń, składających się na obraz naszego państwa, w którym wszystko zaczyna stawać na głowie i kto za to zapłaci? Zwykli ludzie zaczynają gubić się w tym potwornym bałaganie eufemistycznie nazywanym demokracją. Przysgniatani lawiną zbędnych, nic nieznaczących słów, emitowanych natarczywie przez niezliczone media, gubią się zawieszani w przestrzeni między medialnym dobrostanem, a dotkliwie uwierającą rzeczywistością. W takim właśnie momencie opuszcza nas Wisława Szymborska, wielka poetka, mistrzyni oszczędnego słowa

bogato wyposażonego w treści, dźwigające zapomniane dziś wartości, bez których ludzkość jest tylko miotającą się bezładnie populacją.

Polska katolicka

A.D.28.02.2012

Zaraz po tym jak odsunięto komunistów od władzy wicepremier nowego, prawicowego rządu oświadczył publicznie, że „nieważne czy Polska będzie bogata czy biedna, ważne żeby Polska była katolicka. Było to oficjalne wezwanie nowej władzy do utworzenia państwa wyznaniowego. Priorytetem mocno forsowanym przez wpływowe Zjednoczenie Chrześcijańsko Narodowe stała się budowa państwa na religijnym, katolickim kręgosłupie. Wszystkie inne aspiracje w tym materialne, zrzucającego peerelowski gorset społeczeństwa miały zejść na dalszy plan. Rozwój wydarzeń bez reszty potwierdzał słowa Henryka Goryszewskiego. Zwycięscy hierarchowie przekuwali swoją duchową potęgę na materialny dostatek z widocznymi znamionami luksusu. Mocą zwykłej instrukcji wprowadzono religię do szkół, a wraz z nią tysiące etatów dla księży i cywilnych katechetów. Służby mundurowe i szpitale otrzymały duchowe wsparcie, w postaci całych zastępów opłacanych z budżetu kapelanów. Słynna Komisja Majątkowa zwracała Kościołowi zawiązką dobra przejęte przez państwo. Wydawało się, że rodzi się i rośnie w siłę państwo wyznaniowe. Dostojnicy kościelni zajęli poczesne miejsce wśród najważniejszych oficjeli na państwowych uroczystościach. Ceremoniał pokropku znalazł się w centrum społecznego zainteresowania. Kropidło i woda święcona wróciły na pierwszy plan, znacząc wielkość polskiego Kościoła pławiącego się w blasku niezwykłego papieża Polaka. Nie po raz pierwszy jednak potwierdziło się porzekadło o miłych złego początkach. Okazało się, bowiem, że para poszła w przysłowiowy gwizdek.

Kościół szybko uwikłał się w polityczne rozgrywki. Hierarchowie ni potrafili wznieść się ponad ideowe podziały i po rozgromieniu postkomunistów, w przygniatającej większości opowiedzieli się duszą i ciałem po stronie radykalnej formacji prawicowej. Tym samym stali się stroną w zmaganiach o władzę, prowadzonych przez wrogie sobie frakcje wywodzące się dawnej „Solidarności”. Zapominając o przestrodze: „nie graj Wojtek, nie przegrasz portek”, ponieśli wraz z sojusznikami z politycznej sceny kilka bolesnych porażek wyborczych. Cezurą były ostatnie wybory parlamentarne, które wprawdzie potwierdziły dość silne nadal poparcie społeczne dla Kościoła, ale też ukazały wyraźną i stałą tendencję spadkową jego wpływów. Okazało się, że ogarnięte konsumpcyjnym szaleństwem społeczeństwo, nie potrzebuje już noszących sutanny przewodników duchowych. Rząd dusz przejmują sukcesywnie i nieodwołalnie celebryci, oraz cudaki hasające na elektronicznych i wdzięczące się na gazetowych obrazkach. W rolę nowych świątyń wcieliły się galerie handlowe i hipermarkety.

Siłą sprawczą obyczajowych przemian jest wprawdzie wiejący z Zachodu potężny wiatr konsumpcjonizmu, nihilizmu i relatywizmu moralnego, ale nie w mniejszym stopniu Kościół sam sobie jest winien, skoro nie przedstawił oferty dla tej części wiernych, która nie

daje się nabrać na prymitywną, ksenofobiczną propagandę płynącą z toruńskich rozgłośni ojca dyrektora. Nie przyniosło też efektów poluzowanie rytualnych rygorów i obniżenie etycznych progów, żeby utrzymać szerokie rzesze wiernych kultywujących praktyki religijne. Zmiany w prawie cywilnym zapewniające kapłanom prawo do udzielania ślubów ze skutkiem prawnym, początkowo uznane za wielki sukces w efekcie Kościołowi na dobre nie wyszły. Okazało się, bowiem, że młode pary wcale nie garną się na ślubny kobierzec i roku na rok coraz częściej mieszkają sobie na „kocią łapę”. Ślubowanie przed ołtarzem jest wypierane, przez wpis na Facebooku informujący o zmianie statusu z „wolny” na „w związku”. Wstydlivym zjawiskiem stał się tak zwany sponsoring, czyli prostytutka wśród studentek. Brak sukcesów w ewangelizacji duchowni próbują sobie zrekompensować przymuszaniem wiernych do przestrzegania przykazań i zaleceń, przy pomocy sankcji egzekwowanych przez państwo. Hierarchowie wciąż naciskają na Sejm w sprawie ustanowienia takich regulacji prawnych, które mogłyby zapewnić przestrzeganie całkowitego zakazu aborcji, in vitro i stosowania środków antykoncepcyjnych. Dotyczy to także drastycznego ograniczenia handlu w niedziele i dni świąteczne. Szukanie wsparcia w aparacie przymusu to jednak dla Kościoła dotkliwa porażka. Cokolwiek groteskowo brzmią gorzkie żale duchownych o rzekomej dyskryminacji katolików w kraju, gdzie państwo hojną ręką łoży na potrzeby Kościoła utrzymując fundusz kościelny, wyznaniowe uczelnie, szkoły, katechezę i kapelanów. W Polsce gdzie katolicy zajmują w ponad dziewięćdziesięciu procentach stanowiska w rządzie, Sejmie i na wszystkich szczeblach administracji. W państwie, gdzie premier usankcjonował przed ołtarzem swoje małżeństwo, a prezydent ostentacyjnie obnosi się ze swoją religijnością.

Prawda jest jednak bezlitosna. Kurczy się i zanika religijność duchowa, ustępując miejsca fasadowej. Okazało się, że Polska katolicka to już była. Zaskakujące, że istniała za czasów represyjnej, zwalczającej wszelki kult religijny komuny. Z wewnętrznej potrzeby ludzie uczestniczyli w obrzędach religijnych. Powstrzymywali się od jedzenia na wiele godzin przed przystąpieniem do sakramentu. W ukryciu milicjanci i partyjni funkcjonariusze zawierali kościelne małżeństwa i wysyłali dzieci do komunii. Tamta Polska dała światu Wielkiego Papieża.

Droga do nikąd

. A.D.27.03.2012

Zgodnie z prawem zachowania gatunku rodzice poświęcają się dla dzieci nawet wtedy, kiedy muszą sobie odejmować od ust. Niestety rzadko kiedy dorosłe już dzieci są skłonne są do rewanżu starzejącym się, często zniedołężniałym rodzicielom, pozostawiając ich często na pastwie losu. Nie zmusza ich do tego, bowiem żaden wewnętrzny instykt podobny do macierzyństwa czy ojcostwa. W miarę rozwoju cywilizacji powstały, więc zabezpieczenia prawne wymuszające materialne świadczenia na rzecz osób w schyłkowym okresie życia.

Cywilno-prawny charakter tych rozwiązań czynił je daleko niedostatecznymi i ułomnymi, dlatego prawdziwie rewolucyjny charakter mało powstanie systemów ubezpieczeń emerytalnych gwarantowanych przez państwo. Na początku jednak emerytury były raczej

głodowe, a liczba beneficjentów mocno ograniczona ze względu na wysoko postawiony próg wiekowy i dość niską, średnią długość życia obywateli. Z biegiem lat pod naciskiem związków zawodowych systemy emerytalne obrosły w liczne, często niezasłużone przywileje. Ubezpieczenia społeczne w Polsce Ludowej były dodatkowo ważnym instrumentem sprawowania władzy. Wcześniejsze emerytury stanowiły rekompensatę dla niedostatecznie wynagradzanych górników, kolejarzy, nauczycieli, zachętę do pracy w niepopularnych profesjach i nagrodę za pozbawioną prestiżu służbę w resortach siłowych, stanowiących tarczę osłaniającą reżym. System emerytalny powoli zaczął nabierać cech patologicznych dzieląc ubezpieczonych na lepszych i gorszych bez merytorycznego uzasadnienia. Od zarania transformacji ustrojowej było już tylko gorzej. Upadek rodzimego przemysłu zaowocował milionami bezrobotnych, bez jakiegokolwiek szansy na stały dochód, pozwalający utrzymać rodzinę. Nowa władza nie znalazła pozytywnych rozwiązań dla regulacji zrujnowanego rynku pracy, postanowiła, więc odesłać sfrustrowanych pracowników na renty chorobowe i wcześniejsze emerytury, nakręcając spiralę wzrostu długu publicznego. Reforma powołująca drugi filar ubezpieczeń przyniosła zysk ubezpieczycielom, stratę emerytom.

Po latach beztrojskiego i bezmyślnego zadłużania państwa, władza pod presją powtórzenia się u nas greckiego scenariusza, rzuciła się do gwałtownego szukania oszczędności. Rząd premiera Tuska mógł wybierać pole do oszczędzania między redukcją absurdalnie rozdętej, pochłaniającej publiczne pieniądze biurokracji, a pomniejszeniem wydatków państwa na fundusz ubezpieczeń społecznych. Uderzenie we własne zaplecze polityczne nie wchodziło w rachubę, dlatego pozostało szukanie oszczędności przez podniesienie wieku emerytalnego. Wydaje się, że nie tędy droga. Być może Norwegowie czy Niemcy żyją na tyle długo, żeby zdążyć nacieszyć się świadczeniem emerytalnym po 67 roku życia. Niestety schorowani obywatele naszego kraju nie mają takich szans, szczególnie mężczyźni żyjący krócej od kobiet. Wynika z tego, że po utracie prawa do pracy większość robotniczej braci utraci także prawo do emerytury. Jak się to ma do 21 postulatów, które stały się zaczynem do obalenia w Polsce komunizmu, jak do etosu Solidarności i Orłów Białych dla jej przywódców? Zaganianie do pracy ludzi starych nie może być remedium dla upadającego w Europie państwa dobrobytu, mającego swoje korzenie w kolonialnym ucisku i wyzysku *gastarbeiterów*. Niewydolny staje się system, w którym młodzi ludzie zaczynają na poważnie pracować dopiero po ukończeniu 25 a nierzadko 30 roku życia, a prowadzą życie seksualne ledwie kończąc 15 lat. Niepotrzebnie przez wiele lat zbijają baki w nieefektywnie uczących szkołach i uczelniach, z powiększającą się do granic absurdu ilością dni wolnych od nauki. Do młodzieży świat należy, stary robi, młody leży – to złośliwe nieco, ludowe porzekadło zdaje się zyskiwać na znaczeniu, kiedy wyobraźnia podsuwa obraz wylegującego się przez cztery miesiące w roku studium dwudziestopięciolatka i pucującego mu buty sześćdziesięcioletniego zgreda. W cywilizacyjnym zamęciu, zatrutym środowisku, przy spożywaniu podtruwającej organizm żywności sześćdziesięcioletkowie mogą i powinni pracować, ale tylko na pół gwizdka z możliwością pobierania częściowej emerytury. Jest dziesiątki innych, lepszych od podnoszenia wieku emerytalnego sposobów, na znalezienie dodatkowych środków zabezpieczających przed krachem wypłaty emerytur. Należałoby zacząć od likwidacji rozlicznych i kosztownych, a nieuzasadnionych przywilejów emerytalnych. Pokusić się o ściągnięcie składek od nieuczciwych pracodawców. Przeznaczyć na emerytury dochody z prywatyzacji. Uszczelnić przeciekające jak sito budżety państwa i samorządów. Odbudować etos społecznej pracy na rzecz państwa i lokalnych społeczności.

Zamiast rzeczowych i konkretnych działań na rzecz rozwiązania problemu zaopatrzenia ludzi na starość mamy w kraju cyrk emerytalny. Zdeterminowany rosnącym niebezpiecznie długiem publicznym rząd, stara się ratować sytuację najbardziej kontrowersyjnym sposobem, przez podniesienie wieku uprawniającego do świadczenia emerytalnego. Nieśmiało i po cichu wspomina też o likwidacji niektórych tylko przywilejów.

Zamiary te ze zrozumiałych względów wywołują niezadowolenie społeczne skwapliwie podsycane przez opozycję. Zamiast wspólnie szukać najlepszego z możliwych do przyjęcia rozwiązań Jarosław Kaczyński wyprowadza podburzonych ludzi na ulice, choć sam będąc u władzy szykował zmiany w tym samym kierunku. Nie mniej obłudny jest Leszek Miller, który jako premier zafundował emerytom podwyżkę świadczeń o 3 złote, bezczelnie i cynicznie obiecując w następnym roku wzrost dziesięciokrotnie wyższy. Na tym tle, wzywanie polityków opozycyjnych do przeprowadzenia referendum jawi się, jako zwykłe awanturnictwo. Siłą rzeczy każdy z nas wynosi własny interes ponad interes państwa i tylko wbrew naszej opinii demokratycznie wybrana władza może wprowadzić takie rozwiązania, które naruszając interesy pojedynczych osób i grup, okażą się w dłuższej perspektywie czasu korzystne dla całego społeczeństwa. Cała klasa polityczna przez swoją niekompetencję, zaniechanie i bezmyślność jest odpowiedzialna za kryzys finansów państwa. Poza tymi, co rządzą, także ci, którzy głośno krzyczą, obiecując gruszki na wierzbie w dążeniu do zdobycia władzy. Nie bez winy w anarchizacji społeczeństwa są media, które zachowują się jak wilki, które poczuły krew. Na medialnej arenie roi się od jałowych dyskusji prowadzonych przez polityków kierujących się zasadą, że im gorzej dzieje się w kraju tym lepiej dla nich. Tym bliżej im do władzy, tłustych synekur, ciepłych etatów, szemranych interesów, zaspokojenia chorych ambicji osobistych. Pomagają im w tym dziennikarze szukający, ale nawet kreujący okazje do poniesienia słupków oglądalności, zwiększających szanse na pozyskanie reklam. Motorem tego żalosego spektaklu jest chciwość a paliwem mamona.

Mięsny jeź **A.D.26.04.2012**

Po pokonaniu zawirowań, na dziejowym zakręcie lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, polska nawa płynąca ku przyszłości weszła w niebezpieczną, wąską i burzliwą cieśninę między Scyllą a Charybdą. Wyszarpując sobie stery z rąk, wprowadziła tam nasz kraj gromada etosowych sterników. Dryfując na fali przemian ustrojowych i społecznych Polska dostała się między dwa bieguny: zenady i urojeń. Symbolem jednego jest idiotyczny mięsny jeź, na drugim leży zakłamanym mit smoleński. Wyraźny przechył w stronę jednej z tych opcji grozi katastrofą na znacznie większą skalę niż ta, której uległa osławiona” Costa Concordia”.

Himalaje głupoty i absurdu najwyraźniej widać w elektronicznych mediach. Komercyjne stacje telewizyjne serwują większość swoich produktów, na poziomie schlebiającym najbardziej prymitywnym gustom. Jednym z liderów w tej dziedzinie jest Polsat, ze swoim programem „Pamiętniki z wakacji”, tak głupim, że aż śmiesznym. Właśnie tam, obdarzona widoczną nadwagą Beata zaserwowała na talerzu przekładanec ułożony z wędlin, stylizowany na mięsnego jeża, przy pomocy cienkich parówek udających kolce tego zwierzaka.

Mięsny jeź, mięsny jeź, ty go zjesz – to słowa debilnej piosenki, która dzięki mediom, zrobiła szaloną furorę wśród internetowej popkultury, wynosząc natychmiast „bohaterów” tej marnej farsy na piedestał dla celebrytów. To jeden z przejawów, wcale nie największy, ale bardzo typowy, tępoty umysłowej społeczeństwa, wychowanego w duchu

bezmądnego, wybujałego konsumpcjonizmu. Debilizm, bowiem, został wyniesiony na słupkach oglądalności do rangi pożądanej cechy u widzów, dostarczającej telewizorom złotodajnych reklam.

Ów mięsny jeź stał się na jakiś czas wyznacznikiem bieguna trywialności i żenady, pogoni za zbędnymi gadżetami, życiem dla użycia, pozbawionym głębokich przeżyć, wywoływanych na ogół przez bodźce, niedostępne dla ludzi niezdolnych do przyswojenia sobie wyższych wartości. Na tym biegunie skupia się współczesna elita aspirująca do miana wyższych sfer, dotknięta jednak przypadłościami: chciwości, nihilizmu i rozwiązłości moralnej. Z rzekomo gwiazdorskich wyżyn dostarcza konsumentom newsów w postaci lekko strawnej papki.

Wcale nie mniej groźnie prezentuje się drugi biegun. Wręcz przeciwnie, wygląda na monolit osadzony na pamiętających Średniowiecze fundamentach. Najpotężniejszymi filarami wspierającymi tę odporną na racjonalne argumenty społeczną konstrukcję, są mitomania kołtuństwo i zabobon. Ta sławetna triada jest pochodną ciemnoty i zacofania, lecz mieszczą się w niej także ludzie formalnie wykształceni, ale postrzegający świat przez pryzmat ciasnych opłotków. Ciężar gatunkowy tej formacji podnosi do potęgi, wsparcie znaczącej, liczącej się części katolickiego duchowieństwa.

Te dwa zasadnicze odłamy społeczne mają, a jakże swoją polityczną reprezentację wywodzącą się z postsolidarnościowych elit. Wprawdzie całe społeczeństwo uczestniczy w konsumpcyjnym szaleństwie, ale tylko odłamu liberalny, związany z Platformą Obywatelską do tego się przyznaje. Obóz przeciwny, konserwatywno-wyznaniowy, zwany ludem pisowskim także oddaje się uciechom tego świata, lecz za zasłoną fasadowej pobożności i sztucznego patriotyzmu. Władzę nad tym nurtem sprawuje frakcja Jarosława Kaczyńskiego. Wprawdzie niekwestionowanym guru tej formacji jest redemptorysta Tadeusz Rydzyk, człowiek ważniejszy w Kościele od wielu biskupów, bez którego woli nic ważnego nie dzieje się na prawicy, ale prezes PiS-u wykorzystując jego poparcie hasa na politycznej scenie, nawołując do buntu przeciwko wybranym demokratycznie funkcjonariuszom państwa polskiego. Jako paliwo do podsycania rosnącego w Polsce zamętu, służy mu niczym nie poparta teoria zamachu na prezydenta Lecha Kaczyńskiego, w którym jego zdaniem maczali palce: Władimir Putin i jego polscy wasale Bronisław Komorowski i Donald Tusk?

Awanturujący się polityk nie przyjmuje do wiadomości, że on sam był jednym z największych „kreatorów” wojenki o władzę, która ośmieszyła Polskę w oczach trzeźwo patrzących na świat Europejczyków i dała początek podwalinom pod bałagan w państwie, na gruncie, którego doszło do smoleńskiej tragedii. Dziś dufny w poparcie potężnego prawicowego elektoratu nadal jątrzy, żądny zemsty za śmierć brata, do której sam się pośrednio dość mocno przyczynił. Niestety, już tak jest, że ludzie nie nienawidzą nas za to, co im uczyniliśmy, tylko za to, co oni nam zrobili

W demokratycznym państwie prawnym jest miejsce na różnorodność kulturową i religijną. Mogą żyć obok siebie i ze sobą ludzie o najróżniejszych poglądach społecznych, religijnych i politycznych. Potrzebna jednak jest wola do wypracowania kompromisu i znalezienia konsensusu. Niestety tak nie jest. Rzucanie obelg na politycznych adwersarzy, odsądzanie ich od czci i wiary wzmacnia atmosferę nienawiści, która zawsze prowadzi do bolesnych rozwiązań nabrzmiałych problemów międzyludzkich, Niekiedy na bazie przelanej, bratniej krwi.

Wydaje się, w obliczu ostatnich demonstracji, wywołanych przez Rydzyka i Kaczyńskiego w Warszawie, że niezmiernie trudno będzie doprowadzić do wyciszenia ciągle podgrzewanych emocji. Utrzymanie równego dystansu między tendencją do postawy czysto konsumenckiej, a fanatyczno-mistyczną będzie niezmiernie trudne. Politykowi, który tego dokona potomni z własnej i niewymuszonej obelgami woli, wystawią zapewne okazały pomnik na Krakowskim Przedmieściu. Jeśli jednak się nie uda pozostanie nam na pocieszenie debilny mięsny jeź i kwaśne piwo do wypicia, którego sami sobie nawarzymy.

Koniec